



tammara webber
autorka bestsellerowej serii „Tak blisko”

Świat bez Ciebie

tammara webber

Świat bez ciebie

Tłumaczenie
Ewa Bobocińska



Rozdział 1

Reid

Moja dziewczyna dotąd nie powiedziała o mnie swoim rodzicom.

Od tygodnia spotykamy się, ale potajemnie; nie wychodzimy nigdzie razem, jak to było jesienią. Jestem pełen uznania dla sposobu, w jaki chciała spędzić ten czas, nie chcę się jednak ograniczać do siedzenia z nią w domu. Dori jest jak nowa zabawka, którą nie mogę się nikomu pochwalić – do dupy tak myśleć i mówić. Tyle że ona tylko przewraca oczami, jeśli o tym wspomnę.

Tak czy owak, John jest jedynym z mych przyjaciół, który wie o moim nowym statusie: w stałym związku; no, Chelsea Radin – gwiazda partnerująca mi w ostatnim filmie – uśmiechała się domyślnie, widząc nas razem podczas ostatnich kilku dni nakazanego przez sąd wolontariatu w budynku Habitat. Przypuszczam, że ona wie. Szczególnie odkąd przyłapała nas, kiedy wychodziliśmy z alkowy z boku budynku, i zobaczyła rozluźniony koński ogon i zarumienioną twarz Dori oraz mój uśmiezek samozadowolenia.

Stoimy z Johnem na obrzeżu boiska i w tym momencie on postanawia poruszyć sprawę mojego sekretne go związku, bo jego wyczucie chwili jest takie samo jak takt – nie istnieje.

– To kiedy zamierzasz ujawnić światu swój tak zwany związek?

Poziom hałas w Staples Center sprawia, że nasza rozmowa pozostaje poufna, co nie oznacza, że mam ochotę dyskutować o Dori w środku osiemnastotysięcznego tłumu – nie mówiąc już o obecności kilkuset kamer, które transmitują mecz dla wielomilionowej widowni. Na dodatek słowo „związek” John wymawia takim tonem, jaki większość ludzi rezerwuje dla CHORÓB WENERYCZNYCH. Potem niewinnie mruga oczami, kiedy rzucam mu miażdżące spojrzenie. Podejrzewam, że ta minka przez wiele lat działała na jego ojca, dopóki nie zrozumiał, że John to młodsze wcielenie jego samego.

– Co? Reid Alexander ma dziewczynę. – Przy ostatnim słowie jego głos opada – co nie znaczy bynajmniej, że szanuje mój nakaz milczenia – raczej sam fakt jest zbyt wstrząsający, by mówić o nim pełnym głosem.

Patrzę na rzut za trzy punkty, chybiony. Obaj klniemy.

– To wiadomość warta krocie, brachu! Co mi za to dasz?

Jeśli John czeka na moją odpowiedź, to może sobie czekać do usranej śmierci.

Kobe dostaje karę za przekroczenie kroków – co nigdy mu się nie zdarza – opadam na swoje miejsce i krzyżuję ramiona na piersi.

– Gówno. – To przekleństwo oddaje aktualny stan moich uczuć do Lakersów i Dori, kocham ich i ją, a oni mnie olewają.

John trąca mnie łokciem i uśmiecha się.

– Daj spokój, stary, przecież wiesz, że jestem chodzącą dyskrecją. – Dziwne, ale to prawda. Ponieważ nie zaczynam się od razu wywnętrzać, John rzuca domysły. – Więc to już koniec? O to chodzi? Koleś, mówiłem przecież, że to nie potr...

– Nie powiedziała jeszcze rodzicom.

Kątem oka widzę zbaraniałą minę Johna, gapi się na mnie, jakbym nagle zaczął do niego gadać w obcym języku, i czeka na przykład.

– Czuję się jak bohater jakiegoś pieprzonego sitcomu na dobranoc – dodaję, obserwując mecz.

John unosi brew.

– Czekaj. Ty mówisz poważnie. To jest powód? Że nie powiedziała rodzicom? Mógłbym wymienić setkę dziewczyn, które byłyby uszczęśliwione, gdybyś umówił się z nimi – raz. A ta jedna, którą uczyniłeś swoją dziewczyną, nie rozповіда o tym na prawo i lewo?

Wzruszam ramionami, choć czuję się urażony, że John ujmuje to w ten sposób. Jak mówiłem, takt nie jest jego najmocniejszą stroną.

Potrząsa głową.

– Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym jakaś dziewczyna weźmie Reida Alexandra pod pantofel... Oj! Koleś! – Gromi mnie wzrokiem i rozciera ramię, bo dałem mu mocnego kuksańca. – Co takiego jest w tej dziewczynie, że budzi w tobie agresję?

Śmieję się, bo akurat pokazują nas na ekranie zawieszonym nad środkiem boiska. Najwyższy czas zacząć udawać, że to wygłupy, a nie bójka, która mogłaby stać się główną atrakcją wieczoru, odbierając palmę pierwszeństwa Lakersom i Jazzom.

– Kamera!

John natychmiast przestawia się i odgrywa wygłupy dużo lepiej niż ja.

– To było ostatnie ostrzeżenie, stary. – Przeznaczony dla kamery uśmiech nie kryje ostrego tonu mojego głosu. – Nie mów o niej w ten sposób. – Ma szczęście, że posiniaczyłem mu tylko biceps, zamiast przefasonować facjatę.

– Mówiłem o tobie – warczy John w odpowiedzi, uśmiechając się równie szeroko jak ja.

Brooke

– Pani Cameron? Tu Bethany Shank. Zlokalizowałam go.

Nie powinnam odbierać telefonu od niej w trakcie pedikiuru, ale kiedy zobaczyłam na wyświetlaczu jej nazwisko, nie mogłam się oprzeć ciekawości. Wiedziałam, że nie ma szansy, by to była wiadomość głosowa. Wynajmując prywatnego detektywa, oczekiwałam znalezienia mojego dziecka. To jasne oczywiście, że się tego spodziewałam. A jednak ta wiadomość dosłownie zwała mnie z nóg. Serce zaczyna mi walić tak mocno, jakbym wstrzyknęła sobie w żyłę espresso.

– Tak szybko...

Kobieta, która akurat wyciera moją stopę, udaje, że nie słucha, co mówię do telefonu; ciekawe, czy słyszy oszalone bicie mojego serca.

– Mówiłam, że to nie potrwa długo, jeśli da mi pani wolną rękę w prowadzeniu poszukiwań.

– I co teraz? – Znalazłam go. Ręce zaczynają mi się trząść, choć udaję pewną siebie. Jaka szkoda, że nie jestem teraz w domu, że nie mogę położyć się albo zacząć krążyć po pokoju – wszystko jedno, byle tylko nie siedzieć z nogą opartą na kolanie obcej kobiety, trzęsąc się jak przerasowiony pekińczyk mojej matki, który sika ze strachu, kiedy ktoś kichnie.

– Mam szereg dyskretnych informacji. Nie na telefon. Woli pani przyjść jutro do mojego biura, czy żebym ja przyszła do pani?

Okay, to czterolatek. Ile informacji można o nim zebrać? „W końcu przestał moczyć się w łóżko”. „Czasami wpada w złość”. „Nauczył się przedszkolu pisać swoje imię”. „Ma normalne życie”. Na tej ostatniej informacji zależy mi najbardziej: chcę po prostu wiedzieć, że ma normalne życie, żebym mogła spokojnie zająć się własnym.

Po części czuję się przez to ostatnią idiotką. Tyle że od kilku miesięcy miewam koszarne sny związane z dzieckiem, którego nie chciałam zobaczyć ani nawet wziąć na ręce, zanim mój adwokat i pracownik socjalny przekazali go rodzinie adopcyjnej. W tych snach trzymam go na rękach, a on patrzy na mnie. A potem zalewa się łzami, płacze tak, jakby pękało mu serce, a ja po przebudzeniu pogrążam się w bezbrzeżnym poczuciu winy.

Nie mam powodu czuć się winna – najmniejszego powodu. To dlaczego, do diabła, śni mi się, że on płacze? I dlaczego budzę się z twarzą mokrą od łez?

Chcę po prostu zamknąć ostatecznie ten rozdział. Zamknąć... i może zobaczyć jego zdjęcie.

– Zakładam, że wszystko u niego w porządku. Mam rację?

Jeśli usłyszę choćby zdawkowe potwierdzenie, poprzestanę na tym. Jeśli u niego wszystko w porządku, obejdzie się bez szczegółów. Nawet zdjęcie to nie jest dobry pomysł. Właściwie wcale nie chcę wiedzieć, czy jest bardziej podobny

do mnie, czy do Reida.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy spotkały się osobiście. Przełączę panią do administratorki w celu umówienia spotkania. – Bethany Shank jest obojętna i bezosobowa, to dla niej typowe. Ale jej lakoniczne odpowiedzi są bardziej irytujące – i alarmujące – niż zazwyczaj. Pozostawiają również niewielką niteczkę niedopowiedzenia, za którą muszę pociągnąć.

– Dzieje się coś złego?

Nieoczekiwana pauza, zamiast natychmiastowego zaprzeczenia, którego się spodziewałam, sprawia, że nagle pragnę być sama. Teraz, już. Z grymasem niechęci patrzę na głowę pedikiurzystki – bo dlaczego, na litość boską, tak długo trwa osuszanie jednej stopy?

Kobieta podnosi wzrok, jakby wyczuwając moje utkwione w niej spojrzenie, i blednie.

Zakrywam palcami telefon.

– Może mi pani dać chwilę? Dziękuję.

Po jej odejściu proszę Bethany Shank, żeby powtórzyła.

– Doradzam spotkanie w biurze, pani Cameron. – W tle słyszę stukanie klawiatury jej komputera. – Widzę, że mam jutro wolny termin o trzeciej po południu.

To mi się wcale nie podoba. Ona nie odpowiada na moje pytanie, co oznacza, że jednak dzieje się coś złego. I trybiki w moim mózgu zaczynają wirować jak szalone: upośledzenie umysłowe... stan terminalny... śmierć?!

– Nie. Dzisiaj. Proszę przyjść do mojego mieszkania.

Moja Prywatna Detektyw wzdycha ciężko do telefonu, jakbym rzucała jej pod nogi kłody, które niszczą jej Bardzo Ważny Plan Dnia. Czekam w milczeniu, aż ona uzna się za pokonaną.

– Dzisiaj będę wolna dopiero o siódmej...

– Siódma mi odpowiada. W takim razie do zobaczenia.

W połowie jej westchnienia przerywam połączenie. Gdybym nie była akurat w trakcie zabiegu spa w Beverly Hills u najbardziej wziętej pedikiurzystki na świecie, zmusiłabym ją, żeby mi powiedziała wszystko od razu i nie musiałabym czekać trzech godzin.

– Gotowa na masaż z oliwą? – Pedikiurzystka wróciła, troszeczkę wystraszona.

– Jasne. Ale zmieniłam zdanie w sprawie francuskich tipsów. Francuskie tipsy są dobre na lato. A teraz mamy prawie luty. Chcę czerwone. Krwistoczerwone.

Kiwnęła głową.

– Tak, oczywiście, pani Cameron.

Rozdział 2

Reid

– Zostań. – Przetaczam Dori pod siebie, unieruchamiam jej nadgarstek nad głową i całuję głęboko, żeby nie mogła od razu powiedzieć „nie” – choć wiem, że to zrobi. Ale, całkiem bez sensu, czuję się sflekowany, kiedy to właśnie mówi.

– Reid – mruczy mi prosto w usta – wiesz, że nie mogę zostać.

Patrzę w jej bardzo ciemne oczy, gotów do walki. Frustracja dławi mnie w gardle.

– Nie jesteś dzieckiem, Dori. Masz prawie dziewiętnaście lat. Więc tak, możesz.

Puszczam jej nadgarstek, a ona podnosi rękę do mojej twarzy, wsuwa mi palce we włosy i obejmuje czaszkę.

– Powiem im. Naprawdę im powiem. Nie wierzysz mi?

Oczywiście w tym momencie trafia mnie szlag i chrzanię wszystko.

– Prawdę mówiąc, nie. Nie ufam ci. Bo wyjeżdżasz do Berkeley w przyszłym tygodniu. A poza tym, kiedy poprzednio zaufałem ci w kwestii twoich rodziców i nas, zawiodłaś mnie.

Jej ręka opada, a między brwiami pojawia się drobniutka zmarszczka.

– Tym razem jest inaczej niż wtedy.

Staczam się z niej i opadam na plecy, bo chciałbym jej wierzyć, ale mam ciągle w tyle głowy – i z przodu także – że niedawno spędziłem kilka najbardziej żalonych miesięcy w życiu, przekonany, że już jej więcej nie zobaczę. Nie zgadzam się na przeżywanie tego powtórnie.

– Jasne – mówię.

I tak, zdaję sobie sprawę z tego, że zachowuję się jak ostatni dupek i że to nie najlepszy sposób, by dostać od niej to, czego chcę. Patrząc realnie, Dori nie pasuje do schematu, nie działa na nią to, co zwykle działa na całą resztę świata – to jedna z rzeczy, którą w niej kocham – ale nie potrafię myśleć logicznie, kiedy jestem tak olewany.

Dori wstaje z łóżka i poprawia garderobę, satysfakcjonująco przekrzywioną po naszej przerwanej, zaimprovizowanej sesji. Niech diabli porwą moją złość, bo gdyby nie ona, Dori zostałaby jeszcze z pół godziny. Sam osobiście spieprzyłem wszystko, zachowując się jak czepliwy pisklak. Ta myśl wywołuje nowy przyływ niepotrzebnej złości. Wygląda na to, że nie potrafię jej powstrzymać.

– Już późno. Pójdę – mówi Dori, stojąc przy łóżku, a ja gapię się w sufit.

Moje bardziej przenikliwe alter ego błaga, żebym dał już spokój, ale tkwiący we mnie pełen arogancji gówniarz nie przestaje się dąsać. To nie ja się myślę, tylko

ona. Ona również to wie, dlatego słyszę jej płacz, kiedy odwraca się i wychodzi.

Cholera.

W dziesięć minut później uspokajam się i przyznaję w duchu, że jestem gnojkiem skoncentrowanym wyłącznie na sobie. Dzwonię do niej, ale nie odbiera, rozłączam się, kiedy odzywa się poczta głosowa. Fantazjuję, że stoję przed jej rodzicami i wywalam im całą prawdę – wystarczy wsiąść do samochodu i pojechać za Dori do jej domu – i mimowolnie zaczynam chichotać. Bo ona jeździ tak wolno, że byłbym na miejscu przed nią, choć wyruszyła w drogę dziesięć minut wcześniej.

Biorę sobie z kuchni jakąś przekąskę i zaczynam przeglądać Internet, co zajmuje mi co najmniej czterdzieści pięć minut, a potem próbuję znowu zadzwonić do Dori. Wiadomość głosowa numer dwa. Klikam. Odpowiadam na e-mail od George'a i sprawdzam fanpage. Wygląda na to, że John miał rację w kwestii liczby dziewczyn, które dałyby sobie rękę uciąć, żeby choć raz się ze mną przespać. Ale żadna z nich mnie nie zna. Jestem dla nich tylko przystojną twarzą, seksownym ciałem, ucieleśnieniem marzeń i choć cenię sobie ich wsparcie – takie jakim jest – nie przywiązuję najmniejszej wagi do ich powierzchownych ocen.

Słuchając wesołego, melodyjnego głosu Dori, zachęcającego mnie po raz trzeci do pozostawienia wiadomości, opuszczam głowę i czekam na sygnał do rozpoczęcia nagrania, w jednej ręce trzymam telefon, a drugą kładę na karku, jakbym chciał w ten sposób wlać sobie do głowy odrobinę rozumu.

– Dori, przepraszam. Obiecałem ci, że będzie tak, jak ty chcesz i złamałem obietnicę. Po prostu... Ufam ci bardziej niż komukolwiek wcześniej. Może to ci nie mówi zbyt wiele – albo za mało – ale to prawda.

Zaciskam zęby. To, co ja rozumiem jako zaufanie, a co rozumie ona, to dwie różne sprawy. Jesteśmy parą i próbujemy pogodzić ze sobą nasze temperamenty, wiarę, życie. Podczas gdy ona stara się odzyskać nadwątloną wiarę we wszystko, ja staram się, z dość miernym skutkiem, nauczyć się ufać w ogóle.

– Nie skreślaj mnie. – Wciskam „zakończ” i kładę się na środku łóżka. Chciałbym nauczyć się trzymać gębę na kłódce, kiedy jestem wkurzony.

Z największym wysiłkiem powstrzymuję się, żeby nie cisnąć telefonem przez cały pokój, i koncentruję się na liczeniu. Mój terapeuta (kolejna nowość) jest nieugięty w kwestii stosowania metody „koncentracja-i-liczenie”, żeby zapanować nad złością i nie działać pod wpływem impulsu. Upiera się, że mam to ciągle powtarzać, aby weszło mi w nawyk. Metoda działa w najlepszym razie sporadycznie – szczególnie, kiedy zapominam o jej zastosowaniu. Jak wtedy, kiedy Dori leżała obok mnie kilka minut temu. Niech to szlag.

Kiedy dzwoni telefon, zalewa mnie fala ulgi.

– Cześć.

– Mam nowiny. Jesteś sam?

Chwilę trwa, zanim się orientuję. Głos jest znajomy, ale to nie Dori.

– Brooke?

Ciężkie westchnienie.

– Czy ty nigdy nie sprawdzasz, czyj telefon odbierasz? Jesteś sam, czy nie?

Zamykam oczy i zaczynam bezgłośnie odliczanie terapeutyczne. Tak bardzo nie działa.

– Jestem sam. – Zaciskam zęby i czekam, żeby powiedziała, co ma do powiedzenia. Nie jestem w nastroju do rozmowy z Brooke Cameron. Żebym mógł ją tolerować, muszę mieć sporą zdolność do panowania nad sobą, a chwilowo nie mam ani odrobiny na zbyciu.

– Prywatna detektyw znalazła go.

Jego?

O, cholera. Dzieciaka.

– Szybko.

– Taaa. Musimy pogadać. Możesz wpaść?

Brooke zajmowała zawsze bardzo wysoką pozycję na liście osób nie do wytrzymania. Przełknąłem cisnącą mi się na usta ripostę: swoją teorię na temat powodu wymyślenia telefonu – żeby mieć możliwość uniknięcia osobistych spotkań z osobami, których nie chcemy widzieć. Stawiam dziesięć do jednego, że Alexander Graham Bell miał problemy z eks-mażonką albo z nieznośną teściową.

– Kiedy?

– Teraz?

Zerkam na zegarek.

– Brooke, jestem zmęczony. – I, co ważniejsze, mam nadzieję, że Dori lada chwila zadzwoni. – Czy nie możesz mi po prostu powiedzieć przez telefon? – Nie jestem przyzwyczajony do prowadzenia z nią przyjaznych rozmów – a przynajmniej tak przyjaznych, jak to w ogóle możliwe między mną i Brooke. A to samo w sobie jest już kuriozalne.

– Cholera, Reid. W takim razie zapomnij. – Zaczyna cedzić słowa przez zęby, z czego wnoszę, że jednak ją splawiłem, choć starałem się tego nie robić.

– Nie bądź taka.

– To znaczy jaka, do licha? – Wypuszcza z płuc powietrze. – Sprawa jest ważna, a ty mnie splawiasz. Mogłam się tego spodziewać. Naprawdę jesteś sam, czy tylko tak mówisz?

Przesuwam rękę po włosach i zamykam oczy. Nie ma takiej metody na świecie, która pomogłaby w kontaktach z Brooke Cameron. A już na pewno nie koncentracja-i-liczenie.

– Dlaczego miałbym w tej sprawie kłamać?

– A dlaczego nie odpowiadasz na pytanie?

– Bo już na nie odpowiedziałem.

Orientuję się, że jest naprawdę wkurzona, bo nie rzuca mi natychmiastowej

riposty.

– Dobrze. Oto nowina. – Jej głos jest dziwnie zdławiony. Teraz, kiedy mówię ciszej, słyszę, że płakała. Co, do licha? Czyżby coś dzisiaj wisiało w powietrzu? – On jest w rodzinie zastępczej.

– Co? – Siadam, trybiki w mojej głowie obracają się jak szalone.

– Okazuje się, że ludzie, którym go oddałam, to odmóżdżone ćpuny i CPS odebrał im dziecko.

– Co?

– Przestań to w kółko powtarzać! Nie masz nic więcej do powiedzenia?

– Cóż, prawdę mówiąc, nie. Daj mi chwilę. Jezu, naprawdę CPS? Masz na myśli ludzi, którzy odbierają rodzicom dzieci maltretowane?

– Tak, Reid. To właśnie miałam na myśli.

Całe życie przemknęło mi przed oczami – to, co z niego zostało. Bo uderzyło mnie nagle, że nie powiedziałem o tym wszystkim Dori, jeszcze nie. Wcale. Przez cały ubiegły tydzień nie znalazłem odpowiedniej chwili, żeby poruszyć temat czteroipółletniego syna, którego miałem z Brooke. Syna, do którego ojcostwa nie przyznawałem się ani wobec Brooke ani wobec samego siebie, jeszcze kilka tygodni temu. Syna, którego Brooke oddała do adopcji zaraz po urodzeniu.

Po tym, co spotkało Dori w szkole średniej, nie mogłem ujawnić jej tej części swojej przeszłości mimochodem, a nigdy nie byłem mistrzem wycucia chwili. Nie wspominając już o tym, że nigdy nie powiedziałem o tym żywej duszy. Ani Johnowi, ani rodzicom, nikomu.

– Ja pierdzielę.

– Właśnie – mówi Brooke. Nie ma o niczym pojęcia.

W ciszy spowodowanej naszym obopólnym szokiem rozlega się buczenie mojego telefonu i tym razem sprawdzam wyświetlacz. Dori oddzwania.

– Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń jutro.

– Dobrze. – Brooke przerywa połączenie, odkładając naszą rozmowę na później. A ja przełączam się na Dori.

– Dori, przepraszam...

– Powiem im jutro, z samego rana. Proszę, postaraj się zrozumieć – to dla nich trudne, szczególnie po wypadku Deb. To nie chodzi o ciebie, naprawdę. Oni cię nie znają. Boją się tylko, że zostanę skrzywdzona, to jedyny powód takiej reakcji. – Dori wyrzuca z siebie te słowa jak wyuczoną przemowę, przepraszająco, jakby się broniła. – Możliwe, że będą chcieli z tobą porozmawiać.

Rodzice, którzy chcą ze mną porozmawiać. Ha! Ja nie tylko rozważam taką możliwość, ale jestem na to zdecydowany. Oto istota światów alternatywnych.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, Dori – zapewniam, zgodnie z prawdą. – I nie powinienem cię zmuszać, żebyś im powiedziała – dodaję, nie do końca zgodnie z prawdą.

– Owszem, powinieneś. Ja również nie dotrzymałam słowa. Obiecałam, że nigdy nie będę się ciebie wstydzić – i nie wstydzę się, Reid – ale w twoich oczach tak to musiało wyglądać. Przepraszam.

Aż do chwili, kiedy to stwierdzenie padło z jej ust, nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie tak się czułem. Dori potrafiła mnie dotknąć w takich miejscach, których nigdy nie uważałem za podatne na zranienie, i ukoić bóle, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Skąd się u niej brała taka empatia?

– Chciałbym, żebyś tu teraz była – mówię. Nie jestem w stanie skoncentrować się na niczym poza potrzebą wciągnięcia jej pod siebie i odgradzenia się od świata zewnętrznego.

– Przed chwilą byłam, wiesz – odpowiada.

Mądrała. Boże, jak ja jej pragnę.

– Tak, wiem. Jezu, jestem pie... uh, idiotą.

Serce mi się ściska, kiedy słyszę schrypnięty śmieszek, jakim reaguje na moje urwane w pół słowa przekleństwo.

– A gdybym tak podjechał niepostrzeżenie do twojego domu i wszedł przez okno twojej sypialni?

Znowu ten śmiech.

– Nigdzie nie mógłbyś podjechać niepostrzeżenie tym swoim samochodem – a już z pewnością nie w mojej okolicy. A pod moim oknem na pierwszym piętrze nie ma żadnego drzewa ani trejażu, po którym mógłbyś się wspiąć.

– Ale myślisz o tym, prawda? – pytam, cicho chichocząc.

Wypuszcza z płuc powietrze, co brzmi jak śmiech.

– Tak.

– Chcesz usłyszeć, co bym zrobił, gdyby twój tata okazał się bardziej przewidujący i zainstalował trejaż albo posadził drzewo pod twoim oknem?

– Może – mówi cichutko, a ja wyobrażam sobie, jak wciąga do ust pełną dolną wargę.

– Może?

– Okej. Tak. Powiedz.

W tym rzecz – właśnie w tym. Dori nie udaje wstydlivej panienki. I dlatego sama myśl o tym, że mogłaby mnie odepchnąć, jest nie do zniesienia. Bo w jej wypadku, inaczej niż Brooke, to nie byłaby gra obliczona na przyciągnięcie mojej uwagi. Dla Dori żegnaj to żegnaj, a ja nie pozwolę, by do tego doszło.

– Zamknij oczy i wyobraź sobie te odpowiednio usytuowane konary, tuż pod twoim oknem.

– Uhm, okej.

Kładę się, rozluźniam i wdycham jej subtelny zapach, który pozostał jeszcze na poduszce.

– Zostawisz otwarte okno – to, w stronę którego płynie ryba. Będzie późno

i mimo najlepszej woli nie zdołasz powstrzymać senności, czekając na mnie. Bezszelestnie przemknę przez mroczny pokój do twojego łóżka, prowadzony promieniem księżycy. – Rozkoszuję się obrazem Dori, skulonej pod kocem, i moje palce same zaciskają się na skołtunionej pościeli, na której leżę. – W czym sypiasz?

– Tylko w T-shircie – szepcze.

Powoli, z sykiem wciągam powietrze przez zęby, choć moje ciało szaleje. Po raz pierwszy w życiu mam nadzieję, że urok nowości szybko przeminie – a przynajmniej odrobinę osłabnie – bo ilekroć pomyślę o dotknięciu Dori, nie mogę już myśleć o niczym innym.

– Zdejmę z siebie koszulę, zanim cię odkryję. Ostrożnie przesuвам opuszkami palców po twoim ciele. Budzę cię w ten sposób – bardzo, bardzo powoli. – Każdy nerw w moim ciele jest całkowicie rozbudzony. – Co wtedy zrobisz?

– Sięgam po ciebie. – Jej głos jest tak cichy, że muszę nadstawiać uszu, aby usłyszeć jej słowa. – Biorę cię za rękę i wciągam do łóżka.

Temperatura rozmowy natychmiast podskakuje o kilka stopni.

– Podoba mi się to, co mówisz. Nadal mam na sobie dzinsy, a ty ten podkoszulek. – Zastanawiam się, czy wystarczy jej odwagi, by kontynuować ten rodzaj gry, choć jeszcze sześć miesięcy temu musiałbym chyba być kompletnie pijany, aby pomyśleć, że robi to kiedykolwiek. Albo że skończy się na tym, iż będę chciał być z nią w stałym związku.

Po ostatnim weekendzie nieaktualne stały się wszystkie zakłady w kwestii tego, do czego każde z nas jest zdolne.

– To są te dzinsy zapinane na suwak? – Jej słowa, ciche i jakby zdyszane, brzmią w moich uszach jak pieszczota.

– Jeśli tego chcesz, to tak.

– W takim razie rozepnę guzik... – Jej głos jest schrypnięty i cichy, waha się, a ja już widzę rumieniec zalewający jej twarz.

– Zsuniesz je na dół stopą, pocierając nią przy tym moją nogę – dopowiadam, żeby jej pomóc – a ja w tym czasie wsuwam ręce pod twój podkoszulek.

– Och? – Brakuje jej tchu, a ja jestem już kompletnie napalony.

– Ten z MADD – precyzuję i robię pauzę, bo Dori wybucha śmiechem. – Wiesz, on jest trochę podniszczony. Opuszkami palców gładzę twoje piersi... a potem pochylam głowę i smakuję je przez ten cieniutki czerwony materiał.

– Ach... – dyszy Dori.

– Jedną ręką sunę w dół, po żebrach, miednicy, nic nas nie dzieli... i co teraz?

Niech mnie licho, jeśli ona nie dyszy. Ja również.

– Czy ty... czy masz na sobie bokserki, czy slipki?

Uśmiecham się.
– Żeby było sprawiedliwie, powiedzmy, że nic.
– Och, cudownie.
Tłumię śmiech.
– Hmm, a co z...?
Śmieję się cicho.
– Dori, Dori, zawsze odpowiedzialna, nawet gdy fantazjuje. Przyniosę ze sobą całe opakowanie. Jesteś zabezpieczona. Co teraz?
– Reid. Pragnę cię. – Jej głos to czysta frustracja, kocham to.
Mój jęk współgra z jej tęsknotą.
– Słonko, pozwól, że udzielę twoim drobnym, zręcznym paluszkom kilku sugestii, które możesz wprowadzić w życie w czasie, gdy ja na wiele sposobów będę ci mówił, jak ja pragnę ciebie.

Brooke

Mimo że Reid nie miał do powiedzenia nic pożytecznego, czuję ulgę, że w ogóle mogłam porozmawiać z kimś o tym. O nim. A kto nadawałby się do tego lepiej niż dawca spermy?

Możliwe, że będę musiała przestać postrzegać Reida w ten sposób, przy założeniu że on zechce się włączyć w tę sprawę, co nie jest wcale takie pewne. Trudno mi sobie wyobrazić, że on uznaje to dziecko i ogłasza wszem i wobec, że jest jego ojcem. Naprawdę trudno.

Dzisiaj poznałam imię swojego syna. River. Tak samo jak świetnie zapowiadający się młody aktor, którego karierę przerwała śmierć. Obiecujące życie zgasło przedwcześnie, na chodniku przed klubem w LA, przez narkotyki – ni mniej, ni więcej. Bajeczne.

Bethany Shank, zamiast wysłać mi plik jpeg, przyniosła ze sobą wydrukowane zdjęcie w formacie osiem na dziesięć. Jestem przekonana, że chciała zobaczyć moją reakcję. Nie zdobyła u mnie punktów takim wścibstwem. Położyła zdjęcie na blacie kuchennego stołu i przesunęła je w moją stronę, a ja patrzyłam, ale nie mogłam go dotknąć. Moją pierwszą myślą było: „Nie. To nie może być on”. Teraz, wiele godzin później, ta instynktowna reakcja nie uległa zmianie, choć wiem, że jest niewłaściwa.

Patrzę na jego podobiznę i nie muszę już ukrywać swojej reakcji, bo jestem sama. Mogę przestudiować każdy szczegół jego wyglądu.

Mały chłopczyk kuca przy chroniącym przed cyklonem ogrodzeniu pokrytym szpetnymi zaciekami rdzy. W rączce trzyma patyk – jak narzędzie, nie jak broń; używa go, jak sędzę, do kopania albo rysowania na ziemi. W tle jest

jeszcze dwoje innych dzieci, marnutki plac zabaw i bezbarwna jak mysz kobieta w średnim wieku, rozmawiająca przez telefon komórkowy.

W porównaniu z moim przyrodnym bratem, starszym zaledwie o kilka miesięcy, chłopczyk wydaje się drobny. Poniżej normy. Ubrany byle jak, z brudną buzią i brudnymi rączkami. Włosy ma ogolone niemal do gołej skóry, więc trudno rozeznaczyć ich kolor – ale z uwagi na jego DNA na pewno jest blondynem. Jasne brwi potwierdzają słuszność tego domniemania. Łysa główka nadaje mu jeszcze bardziej bezbronny wygląd niż drobna sylwetka.

Ja w dzieciństwie ukrywałam się za zasłoną włosów. Wysuwałam naprzód podbródek i obserwowałam, jak świat przesuwa się pomiędzy jasnymi kosmykami, udając obojętną na język ciała moich coraz smutniejszych rodziców i ich rozmowy o niezbyt starannie zakamuflowanej, tak łatwej do rozszyfrowania treści. Przewidywałam ich koniec, zanim oni sami go dostrzegli i planowałam po ich ostatecznym rozstaniu odejść z ojcem.

Nie znałam jednak kilku kluczowych elementów tej układanki, podobnie zresztą jak matka. Żadna z nas nie przewidziała istnienia innej kobiety – mającej wkrótce zostać trzecią żoną mojego ojca. I syna, którego miała mu urodzić. Tak rozpoczęło się trzecie małe imperium taty, które unieważniło drugie. Unieważniło mnie.

A teraz trzymam w ręce nieruchomy obrazek, z którego River patrzy na mnie tak, jakby wyczuwał nakierowany na niego obiekt z potężnym zoomem optycznym. Jakby wiedział, że po drugiej stronie tego obiektu jestem ja. Jego oczy nie są jasnoniebieskie jak lód, nie odziedziczył ich po mnie i moim ojcu. Są ciemnoniebieskie, jak oczy Reida. Ciemne jak niebo o zmierzchu, w ostatniej sekundzie gasnącego dnia. Usta również odziedziczył po Reidzie. Ale nos jak guziczek ma po mnie.

Bóg spletał mi paskudnego psikus. To brudne, rachityczne, źle ubrane dziecko to mój syn, a obraz jego życia, jaki rysował się w mojej wyobraźni – w tych chwilach, kiedy w ogóle o nim myślałam – był jednym wielkim kłamstwem. Myślałam, że będzie otoczony troskliwą opieką. Upragniony. Kochany.

Cztery godziny temu, siedząc naprzeciw Bethany Shank, za nic w świecie nie chciałam się rozplakać, choć piekły mnie oczy.

– Chcę go zobaczyć. – Usłyszałam wypowiedziane przez siebie słowa i głośno wciągnęłam powietrze. Ona była nie mniej ode mnie zaszokowana tym żądaniem.

– Cóż, nie podejmujemy decyzji pod wpływem emo...

– Ja. Chcę. Go. Zobaczyć – oświadczyłam i przygwoździłam ją zimnym jak lód spojrzeniem. – Proszę się dowiedzieć, co należy zrobić, żeby do tego doprowadzić.

Odchrząknęła i uśmiechnęła się obojętnie.

– Aranżowanie spotkań nie należy do obowiązków detektywa, pani Cameron.

Starsza ode mnie o dobre dziesięć lat pani Shank to kolejna kobieta, która pomyliła się i wzięła mnie za humorzystą hollywoodzką gwiazdkę. Pozwalam światu myśleć, że jestem zepsuta i łatwowierna. Przeważnie jest to dość zabawne i pozwala z niekłamaną satysfakcją obserwować szok na twarzach ludzi, siedzących po drugiej stronie stołu podczas negocjowania kontraktu. Za zamkniętymi drzwiami sal konferencyjnych staję się nieodrodną córką swojego ojca. Moja agentka i menadżer już o tym wiedzą. Szefowie niektórych studiów również.

Unoszę brew.

– Sugeruję, żeby włączyła to pani w zakres swoich obowiązków, pani Shank. Kobieta prostuje się na krześle i szczeka jej nieco opada.

Pochyliam się do przodu i wbijam w nią skoncentrowane spojrzenie.

– Jest pani detektywem. Proszę panią o przeprowadzenie dochodzenia. Niepokoi się pani o dodatkową rekompensatę? Oczekuje pani podwyżki uposażenia? Zapewniano mnie, że jest pani najlepsza w branży. Nie chciałabym wyprowadzać z błędu następnych potencjalnych klientów.

Na twarzy Bethany Shank maluje się osłupienie osoby pozbawionej nagle niczym nieusprawiedliwionego poczucia wyższości. Po dziesięciu minutach opuszcza moje mieszkanie, zapewniając, że skontaktuje się ze mną następnego dnia i poda więcej informacji.

Zaraz po jej wyjściu padam na kanapę i odgrzebuję wspomnienia, do których nigdy nie zamierzałam wracać.

Pojechałam do Teksasu i zamieszkałam u macochy na sześć miesięcy przed porodem. Rodzice byli poirytowani i pełni niedowierzania, kiedy odmówiłam przeprowadzenia aborcji – jakbym buntowała się tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Czego ty chcesz, Brooke? – Matka ciska butami na drugi koniec pokoju, ale to mnie zarzuca się napady złości. – Niezależnie od tego, co próbujesz udowodnić, skutek będzie odwrotny do zamierzonego. Zrujnujesz sobie życie. Zrujnujesz. – Po czym następuje porażająca cisza, niedomówienie; łatwo dośpiewać sobie resztę.

Nie wypowiedziałam słów: „Tak jak ja zrujnowałam twoje?” To zbyt łatwe. Już dawno nauczyłam się nie wystawiać na ciosy jak bezrozumna męczennica.

– Nie chcę go zatrzymać – prychnęłam. – Nie jestem głupia.

Jej oczy zwężyły się. Z równą biegłością jak ja potrafiła wykryć podkłady wrogości kryjącej się pod czuimiś słowami.

– A gdzie zamierzasz zamieszkać jako niezamężna nastolatka w ciąży? Bo na pewno nie w moim domu.

Czułam, że chciała mnie otrzeźwić i otworzyć mi oczy na przerażające konsekwencje. I naprawdę byłam przerażona, choć za nic nie chciałam tego po sobie pokazać.

– Zamieszkać z Kathryn – oświadczyłam, dumnie unosząc głowę.

Nie rozmawiałam jeszcze z Kathryn, bo nie sądziłam, że matka posunie się tak daleko.

Z twarzy matki w jednej chwili odpłynął wszelki kolor – zawsze tak reagowała na jakąkolwiek wzmiankę o mojej więzi z kobietą, którą ojciec porzucił, gdy moja matka zaszła w ciążę. Błagała go, żeby zostawił żonę i dwie córki, i zrobił to.

Sumiennie wypełniał obowiązek utrzymywania kontaktów z Kelley i Kylie – ale poza domem. Jego córki nigdy nie przekroczyły naszego progu, więc przez pierwsze lata mojego życia poprzednia rodzina ojca pozostawała gdzieś na peryferiach mojej świadomości, wydawała się nie w pełni realna. Byłam za mała, żeby zrozumieć, że moja matka to cholerna dziwka, która rozbija czyjaś rodzinę. Uświadomiłam to sobie dopiero w wieku przedszkolnym.

Kelley, wówczas jedenasto- czy dwunastoletnia, wygrała stanową nagrodę pisarską i Kathryn nalegała, żeby jej ojciec – mój ojciec – uczestniczył w ceremonii i zademonstrował, jaki jest dumny z córki. Moi rodzice stoczyli prawdziwą bitwę, pełną gorzkich słów, z powodu nietypowej prośby jego eks-małżonki. Moja matka, biegając z pokoju do pokoju, wykrzykiwała o swoich prawach jako jego obecnej żony, a ojciec, w poczuciu winy – ciężkim i dotkliwym, jak wszelkie spóźnione żale – odrzucał jej żądania.

W końcu wszyscy troje wzięliśmy udział w uroczystości, która nie miała nic wspólnego z moją matką czy ze mną. Tamtego ranka matka zabrała mnie do salonu fryzjerskiego, w którym zajęto się naszymi włosami i paznokciami, jakbyśmy miały uczestniczyć w wielkiej gali. W centrum handlowym wybrała identyczne stroje dla nas obu i śmiała się przed lustrem w przymierzalni, że wyglądamy jak siostry, a nie jak matka i córka.

Mój ojciec i jego była żona siedzieli obok siebie; pasował do niej znacznie lepiej niż do mojej mamy. Tworzyliśmy rząd pełen napięcia, fałszywe świadectwo współpracy porozwodowej: ja, mama, tata, Kathryn i Kylie, która co chwila wychylała się i rzucała mi mroczne spojrzenia, dopóki matka nie szepnęła jej do ucha czegoś, co sprawiło, że jej twarz pokryła się szkarłatem.

Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy, był, jak sądzę, entuzjazm ojca, kiedy wywołano nazwisko Kelley i jego córka wyszła na scenę. Wsadził dwa palce w kąciki ust i zagwizdał tak samo, jak kiedyś na boisku piłki nożnej, gdy wyłuskałam piłkę spod nóg przeciwnika i strzeliłam gola. Nie wiedziałam, że mógł

czuć to samo w stosunku do kogoś innego.

– Kenneth – syknęła mama i pociągnęła jego rękę na dół.

Zaczęli się kłócić, najpierw po cichu, opluwając się słowami i strojąc gniewne miny, potem głośniejszymi, aż wreszcie tata złapał mamę za łokieć i wyciągnął ją w przejście pomiędzy rzędami, a potem wyprowadził z audytorium. Szeroko otwarte oczy Kylie uświadomiły mi, że nie jest przyzwyczajona do takich zachowań, które dla mnie były chlebem powszednim. Kiedy program dobiegł końca, a moi rodzice jeszcze nie wrócili, zaniepokojona Kathryn przygryzła wargę i trzy razy zerknęła w stronę wyjścia.

W końcu pojawiła się Kelley, trzymając w rękach drewnianą statuetkę z wygrawerowanym na umieszczonej z przodu płytce z brązu z jej nazwiskiem i powodem wyróżnienia.

– Zobacz, mamo, prawidłowo napisali moje imię! Gdzie tata? Pójdziemy teraz na mleczne koktajle?

Kathryn spojrzała na mnie i na dwa puste miejsca pomiędzy nami, a potem przeniosła wzrok na przejście, w którym nadal nie było moich rodziców.

– Nie wiem, gdzie podział się twój ojciec, ale nie możemy zostawić Brooke samej.

Kelley i Kylie popatrzyły na mnie, a ja na nie. Ich czyste, niebieskie oczy miały taki sam kolor jak moje. Taki sam jak oczy mojego ojca. Naszego ojca. Po raz pierwszy w życiu dotarło do mnie, że mam siostry. Kylie rzucała mi mordercze spojrzenia, kiedy jej matka tego nie widziała.

Miałam siostry, które mnie nienawidziły.

– Po prostu weźmy ją z sobą! – powiedziała Kelley i wzruszyła ramionami.

W ten sposób zaczął się mój osobliwy związek z poprzednią rodziną ojca.

W jedenaście lat później to właśnie do Kathryn zwróciłam się z prośbą o pomoc. A Kathryn przyjęła mnie pod swój dach, zatrudniła prawnika do przeprowadzenia adopcji i pomogła mi przejrzeć albumy sporządzone przez potencjalnych rodziców adopcyjnych – wszyscy mieli piękne, białe zęby, nieskazitelne domy i zaplecze finansowe, wszyscy obiecywali zapewnić przyszłość pełną miłości jakiemuś szczęśliwemu dziecku.

Tyle że dokonałam złego wyboru, prawda? Nie mogłam wybrać gorzej.

Odmawiałam czytania książek o położeniu, więc nie wiedziałam, czego się spodziewać po urodzeniu synka. Kathryn próbowała mnie uprzedzić o możliwych fizycznych i psychicznych konsekwencjach porodu, ale ja ignorowałam jej ostrzeżenia i upierałam się, że mój osobisty trener i ja poradzimy sobie z problemami fizycznymi, a co do tak zwanych zaburzeń psychicznych – przecież nie będę tęskniła za dzieckiem, którego nie chciałam, to czyste szaleństwo.

Następnego dnia podpisałam formularz i mój prawnik oraz pracownik socjalny odeszli z dzieckiem. A ja leżałam w łóżku na porodówce, obejmowałam

rękami swój obolały, niegdyś płaski brzuch jak bochenek chleba i udawałam, że nie doskwiera mi poczucie dziwnej pustki. Nie chciałam zobaczyć dziecka ani wziąć go na ręce, ale przyzwyczaiałam się do tego, jak się we mnie rusza. Zaledwie tydzień temu widziałam wyraźnie jego stópkę wypychającą brzuch poniżej linii żeber. Zafascynowana i przerażona dotknęłam palcem tej wypukłości i natychmiast się cofnęła.

Do oczu napłynęły mi łzy i zaczęły spływać po policzkach. Ten jeden jedyny raz pozwoliłam sobie na płacz po stracie dziecka, któremu lepiej będzie beze mnie, tak jak mnie bez tego chłopaka bez serca, z którym przedtem byłam związana. Patrząc na stojący w rogu pokoju nieużywany fotel bujany, przysięgłam sobie, że po wyjściu stąd raz na zawsze zamknę ten rozdział życia. Zostawię za sobą przeszłość i pójdę naprzód, będę żyła własnym życiem i robiła fantastyczną karierę. Zapomnę o tym, co było, zapomnę, gdy tylko opuszczę mury szpitala.

W dwa dni później moje piersi były obrzmiałe i ociekały mlekiem. Doktor wspomniał o takiej możliwości, ale ja nie wierzyłam, że naprawdę tak się stanie. Moje głupie ciało uznało jednak, że mam dziecko do wykarmienia. A nawet tuzin dzieci, biorąc pod uwagę ilość pokarmu.

– Co, do diabła? – Wypląkiwałam się Kathryn. – Co to ma być, do licha? – Czułam się tak, jakby ktoś wetknął dwie piłki futbolowe pod rozciągniętą do granic możliwości skórę moich idealnych kiedyś piersi.

– Kochanie, twoje ciało nie wie, że go nie masz.

Prychnęłam z oburzenia.

– To obrzydliwe! Zrób coś, żeby przestało! – Z moich obolałych brodawek ciekło, mleko płamiło podkoszulek, a ja siedziałam na podłodze i płakałam. Cała moja dawna siła zniknęła wskutek burzy hormonalnej, której nie mogłam kontrolować. Zdradziło mnie własne ciało.

Kathryn wezwała doktora, który odmówił przepisania mi czegokolwiek poza środkiem przeciwbólowym, którego nie chciałam brać. Przez trzy tygodnie zmagaliśmy się z moimi cycami gigantycznymi jak w komiksie, Kathryn dawała mi paczki mrożonych jarzyn, które przyciskałam do nich, oglądając telewizję lub czytając scenariusze.

Kylie, która przyjeżdżała do domu na weekendy, sugerowała, żebym myślała o tym jak o swego rodzaju kontuzji sportowej.

– Właściwie przez te cycy naprawdę siedzisz na ławce rezerwowych – stwierdziła i obie zaniósłszy się histerycznym śmiechem, a Kathryn tylko pokręciła głową i przyniosła mi dwie nowe torebki mrożonego groszku.

– Już nigdy nie spojrzę na groszek tak jak dawniej – zauważyła, przykładając lodowate torebki do moich piersi; poprzednie wyrzuciła do śmieci, rozmrożone i sflaczałe.

Kathryn. Jej właśnie mi teraz potrzeba. Bez dalszego namysłu sięgam po

telefon.

– Brooke, jak się masz, kochanie? – Wystarczyło tych kilka słów z jej ust, żebym zaczęła ryczeć. Cholera! – Jestem tutaj – mówi, czekając, aż zrezygnuję z szukania pudełka chusteczek higienicznych i użyję dekoracyjnego ręcznika, żeby wytrzeć potok łez i ciekący nos. Dobrze, że nie planowałam żadnego wyjścia na wieczór.

– Znalazłam go, Kathryn. Znalazłam go i wydaje mi się, że... on mnie potrzebuje.

– Powoli, Brooke. Kogo znalazłaś?

Pociągam nosem do telefonu, jeszcze nie jestem gotowa mówić otwarcie.

– Och. Och.

Właśnie dlatego zadzwoniłam do macochy. Jest taka przenikliwa, tak dobrze mnie zna. Nie poinformowałam jej nawet, że szukam Rivera, ale kiedy powiedziałam, że go znalazłam, ona zrozumiała od razu.

Rozdział 3

River

Jestem mały. Jestem cichy. Chciałbym być niewidzialny.

W swoim starym domu chowałem się, kiedy ktoś przychodził. Raz spałem na tapczanie koło mamy, kiedy wpadł jej przyjaciel Harry. Harry jest wielki i wredny i nienawidzę go najbardziej na świecie. Nakryłem się na głowę. Wstrzymałem oddech i znieruchomiałem.

Ale on ściągnął ze mnie koc.

– Ten bezwartościowy stworek ciągle tutaj?

Kiedy złapał mnie za rękę, zacząłem kręcić głową, aż jego obraz całkiem zamazał mi się przed oczami. Nie jestem stworkiem. Nie jestem.

Roześmiał się, z ust mu śmierdziało jak z kosza na śmieci pod zlewem.

– Takie stworki jak on są jeszcze bardziej cherlawe, kiedy je ogolić na zero.

– Jego ręka była jak szpony, nie mogłem mu się wyrwać, choć szarpałem się najmocniej, jak mogłem.

– Harry, daj mu spokój. – Oczy mamy patrzyły zezem, ale jej usta nie zaciskały się jak wtedy, kiedy miała mnie skrzyknąć albo zbić. Nigdy nie biła zbyt mocno, ale nie lubiłem jej, kiedy wpadała w szał. Czasami przytulała mnie potem i przeproszała.

Harry jeszcze mocniej ścisnął moją rękę, zupełnie jakby chciał ją złamać na pół. Ciekawe, jaki byłby dźwięk, gdyby to zrobił.

Jego palce wyglądały jak łapy kościotrupa.

Kiedyś znalazłem kości na podwórzu, pod jakimiś starymi deskami. Miały kształt ptaka, ale były płaskie. Wykopałem je bardzo ostrożnie i zaniósłem mamie, ale ona zacisnęła usta w twardą linię, skrzywiła się i krzyknęła, żebym zabrał to brudne świństwo z jej kuchni. Wykopałem dziurę w ziemi, włożyłem tam kości i zasypałem, bo umarłych trzeba grzebać w ziemi.

Szkielety to mnóstwo kości, z których tworzy się jakąś całość. Raz widziałem człowieka-szkielet na Halloween. Siedział na krześle, jakby na kogoś czekał. Miał duże czarne dziury zamiast oczu, ale wyglądał tak, jakby się uśmiechał. Nie miał wnętrzości, mózgu ani serca. Był pusty.

Harry wyglądał jak ten szkielet, tylko ubrany w porozciągany podkoszulek okrywający całe ciało. Mama ciągle mu powtarzała, że nie ma serca. A kiedy nie było go w pobliżu, mówiła mi, że nie ma mózgu. Nie wiem, czy miał wnętrzości.

– Czy on w ogóle mówi? – Harry patrzył na mnie jak na pluskwę. Jakby miał ochotę mnie rozdeptać.

– Właściwie nie. – Mama westchnęła, bo była przeze mnie smutna.

– Chłopak w jego wieku nie mówi? Więc jest debilem? Powinnaś dać mi go na tydzień. Już ja go nauczę mówić.

Patrzę na mamę, wzrokiem mówię jej „nie”. Obiecuję spojrzeniem, że będę grzeczny, codziennie. Będę robił wszystko, co każe.

– Ten mały gówniarz nie jest nawet do ciebie podobny. Na pewno jest twój?
– I znowu wybucha śmiechem, a ja próbuję nie wdychać smrodu spod zlewu.

– Jest adoptowany.

– Adoptowałaś go? Dlaczego, do cholery, to zrobiłaś?

Mama patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

– Chyba chciałam mieć dziecko. Rodzinę.

– Cholera, kobieto... tylko nie zaczynaj mi tu znowu płakać po swoim starym, bo wstanę i wyjdę!

Oczy mamy otworzyły się szeroko.

– Nie będę. Nie. – Jej głos był roztrzęsiony.

– Uhm.

Palce Harry’ego rozluźniły nieco uchwyt, więc wyrwałem się i popędziłem w stronę schodów. Serce waliło mi tak mocno, jakby chciało wyskoczyć. Szumiało mi w uszach tak głośno, że nie byłem pewien, czy słyszę swoje kroki, czy jego. Wpadłem do pokoju mamy, drzwi garderoby były otwarte. Wśliznąłem się w ciemność i zamknąłem za sobą drzwi. Na czworaka przemykałem wśród jej butów, ubrań i śmieci leżących na podłodze.

Znalazłem swoje miejsce w samym rogu i podciągnąłem kolana pod brodę. Tęskniłem za swoim kocykiem, a w żołądku burczało mi z głodu, ale nie zamierzałem zejść na dół. Dopóki Harry nie wyjdzie. Dopóki mama nie przyjdzie mnie szukać.

Wendy nigdy nie zapomina ugotować obiadu. Jem, aż mam pełny brzuch, ale i tak chowam jedzenie do serwetki i zabieram do pokoju, który dzielę z Jerrym i Seanem. Czasami zaglądam do kuchennego kosza na śmieci i tam również znajduję jedzenie. Chowam wszystko w pokoju. W pudełku pod łóżkiem, albo w swojej szafce, w butach.

Wendy wzdycha ciężko, kiedy je znajduje. Prawie zawsze znajduje, choć czasem zabiera jej to kilka dni.

– Fuj, co za okropny smród! Boże Wszechmogący! River, nie musisz już chować jedzenia. Tutaj dostajesz trzy posiłki dziennie. Nie wiesz o tym? – Zatyka sobie nos i wrzuca kanapkę z kurczakiem do torby na śmieci. Musiałem rozerwać ją na trzy części, żeby zmieściła się do butów.

Kiwam głową i patrzę w ziemię.

Wendy nie zezuje i nigdy mnie nie bije, ale kiedy znajduje jedzenie, jest

smutna. Kiedy śni mi się coś złego, lekko potrząsa mnie za ramię, żeby mnie obudzić. I zawsze powtarza:

– Tutaj jesteś bezpieczny.

Nic nie odpowiadam. Nigdy nic nie mówię. Przez to także jest smutna.

Ale ja nadal chowam jedzenie i płaczę w nocy, i tęsknię za mamą, choć przykro mi, że Wendy jest przeze mnie smutna. Tak jak mama była przeze mnie smutna.

Dori

Właśnie powiedziałam rodzicom, co Reid zrobił dla Deb jesienią. Są zaszokowani i wdzięczni, ale to nie zmienia ich opinii o nim i jego stosunku do mnie.

– Wykorzystuje swoje pieniądze, żeby cię kupić. – Mama potrząsa głową, przerażona. – On ma nieograniczone środki finansowe, my nie moglibyśmy sobie pozwolić na opłacenie prywatnego pokoju, ale dla niego to żadne wyrzeczenie. Nie musi się specjalnie dla ciebie wysilać.

Zerkam na nią.

– Co musiałby zrobić, żeby cię do siebie przekonać?

Mama krzyżuje przed sobą ramiona jak tarczę, opada na krzesło i wpatruje się ponuro w blat stołu.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Zawsze będziemy się martwić, że w końcu zostaniesz skrzywdzona.

– Mamo, w życiu zdarzają się okropne rzeczy, którym nie jesteśmy w stanie zapobiec. Nie istnieje żadna siła wyższa, która by sprawowała nad wszystkim kontrolę...

– Och, Dori. – Tata ma łzy w oczach. – Straciłaś wiarę? Naprawdę?

Wbijam wzrok we własne ręce, bo nie mogę powiedzieć prawdy, patrząc mu prosto w oczy.

– W tej chwili wierzę tylko w to, że Reid kocha mnie, a ja jego. Być może pewnego dnia i to przestanie być prawdą. Ale my wszyscy wierzyliśmy, że Deb zostanie kiedyś lekarzem. Wierzyliśmy, że pobiorą się z Bradfordem i będą razem szczęśliwi. Ona również w to wierzyła. Zawsze sądziłam, że w przyszłości, kiedy stracę ciebie i mamę, będę miała oparcie w Deb. Że będziemy dzieliły wspólny ból. Teraz będę musiała przejść przez to sama. Chyba że jutro ktoś nie zatrzyma się na czerwonym świetle i straciecie również mnie...

– Dori! – Mama gwałtownie chwyta powietrze, podnoszę wzrok i widzę przerażenie na jej twarzy. – Nie mów tego. Proszę, nie mów tego.

– Ale to prawda. Deb po prostu potknęła się i upadła, a jej życie właściwie

dobiegło końca. – Widząc rozpacz, malującą się na twarzach rodziców, kończę: – Nie jest już sobą i nie mogę udawać, że jest inaczej. Nie ma nic pewnego. Nic nie jest z góry przesądzone. – Tata zamyka oczy, a mnie jest przykro, że sprawiam mu ból. Ale muszę się postarać, żeby zrozumieli, co czuję, i nauczyli się akceptować mnie taką, jaka jestem. – Wiem tylko, że jestem kochana przez rodziców i przez psa. – Kładę rękę na pomarszczonym łbie Esther, a ona trąca nosem moją dłoń. – I jestem kochana przez Reida. Nie chcę myśleć, co będzie za dziesięć lat, czy za dwa lata, czy choćby za tydzień.

Rodzice wymieniają spojrzenia i domyślam się, że przedyskutowali już wspólną strategię na wypadek, gdyby nie udało im się wybić mi z głowy Reida. Rodzicielski Plan B.

– Okej, Dori. Okej – mówi tata. – Czego ty... czego ty oczekujesz od nas?

Wiem, że niełatwo będzie o kompromis, ale podejmuję próbę.

– Chcę, żebyście dali mu szansę. Nie zgłaszalibyście żadnych obiekcji, gdyby na jego miejscu był Nick.

– Nick nie jest znanym na całym świecie kobieciarzem! – woła mama impulsywnie i jej słowa aż nazbyt łatwo osiągają swój cel.

Moja odpowiedź jest powściągliwa, ponieważ boli mnie oczywiście, kiedy myślę o tych wszystkich dziewczynach, z którymi Reid był, i o tych wszystkich, które mógłby mieć.

– Reid nie kochał tamtych dziewczyn. Kocha mnie.

– Masz absolutną rację: nie kochał ich. I nie szanował. – Mój ojciec rumieni się, ale nie kończy na tym. – Skąd możesz wiedzieć, jakich kłamstw im naopowiadał, żeby zaciągnąć je do łóżka?

– Wiem tylko, co mówi mnie.

– Właśnie – prychna tata.

– On nie musi kłamać czy opowiadać niestworzonych historii, żeby mieć w łóżku dziewczyny.

Mama kieruje na mnie badawczy wzrok.

– I to cię nic nie obchodzi? A może jednak?

Esther kładzie pysk na moim udzie i wpatruje się we mnie z niepokojem. Psa uspokajam bez trudu poklepywaniem, ale nie jestem w stanie ukoić lęku rodziców, przekonać ich, że nie mają racji. Atmosfera jest niesamowicie napięta, ich opiekuńczość – tarcza, za którą zawsze się czułam swobodnie – zmieniła się w twarde wędzidło. Kiedy próbuję je poluzować, zaciska się wokół mnie.

– Wierzę w to, co on mówi. Wierzę, kiedy zapewnia mnie o swoich uczuciach. A skoro już o tym mowa, to wyłącznie moja sprawa, czy wierzę w jego słowa, w jego uczucia i w jego czyny. Moja i niczyja więcej. – Tę deklarację wygłaszam mocniejszym głosem i uświadamiam sobie, że w ten właśnie sposób wszelkiego rodzaju rebelie nabierają mocy – poprzez deklaracje.

Oczy mamy zwięzają się i wiem, o co zapyta, zanim jeszcze ubiera to w słowa.

– Dori. Czy ty i on...

– Mamo! Proszę, nie pytaj o to, czego nie chcesz wiedzieć, bo ja nie zamierzam cię okłamywać. Już nigdy.

Jej twarz staje się maską klęski, rysy układają się w wyraz całkowitej rezygnacji.

– Więc spodziewasz się, że będziemy siedzieli cicho, kiedy ty angażujesz się w plugawy związek z... celebrytą. – Jej głos załamuje się, ale mama brnie dalej: – Z młodym mężczyzną, który cię wykorzysta i porzuci, kiedy się tobą znudzi...

– Jeśli to jest to, w co chcecie wierzyć. Jeśli sądzicie, że jestem do tego zdolna.

– Już nie wiem, do czego jesteś zdolna, Dori – rzuca mama.

Wzdycham.

– Widzę. Może nigdy nie wiedziałaś.

Niewykluczone, że to najprawdziwsze słowa wypowiedziane dzisiaj przez kogoś z nas.

Kiedy otwieram drzwi, on zdejmując okulary przeciwsłoneczne i wchodzi do środka, piękny jak zawsze. Starał się zakamuflować – wygląda na tyle zwyczajnie, na ile to możliwe w jego wypadku: spod naciągniętej nisko na czoło ulubionej czapki Lakersów wysuwają się kosmyki jasnych włosów, opadających na twarz i wijących się wokół uszu i skroni. Ma na sobie dżinsy. Granatowy podkoszulek, niezbyt obcisły, nie maskuje jednak szerokich ramion i rzeźbionego torsu.

Przyciskam twarz do jego piersi. Przyciąga mnie do siebie, obejmuje ramionami i bierze głęboki, swobodny oddech, a ja wtulam się w niego. Wiem, że nic nie jest pewne. Nic nie trwa wiecznie, choćbym najbardziej tego chciała. Ale w tym momencie kocham tego chłopaka i wiem, że on kocha mnie, nie obchodzi mnie, że w pewnym momencie to przestanie być prawdą.

Ale moi rodzice? Przypominam sobie słowa, które padły z naszych ust i te, które nie zostały wypowiedziane i jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że mogliby kiedykolwiek zaakceptować go – zaakceptować nas.

– Hej. – Odwraca czapeczkę daszkiem do tyłu i unosi mój podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy. – Co jest?

Znowu chowam twarz na jego piersi i mamroczę:

– Jak mogłam liczyć, że to się uda.

Reid obejmuje dłońmi moje ramiona i odsuwa mnie od siebie, żeby mi spojrzeć w oczy.

– Nie wierzysz w mój urok, Dori? Ciebie zdobyłem, prawda? Choć sądzę, że

lepiej nie ujawniać twoim rodzicom niektórych moich atrybutów. Twojej obsesji na temat moich dzinsów na przykład, w opisie mogłaby sporo stracić.

Parskam śmiechem pełnym niedowierzania. To nigdy się nie uda. Nie przestając go obejmować, przygryzam wargę i pytająco unoszę brew, czekam.

– A nie możemy po prostu uciec z domu?

Jego wargi rozciągają się w uśmiechu, a w oczach pojawia się łobuzerski błysk.

– Pewnie. Dokąd? Do Paryża? Madrytu? Wiesz, w Melbourne jest teraz lato.

Zupełnie nie przywykłam do takich surrealistycznych rozmów. Wiem, że on bawi się moimi zahamowaniami, podsuwa mi rozwiązania, z których nigdy nie skorzystam, i zdaje sobie z tego sprawę, ale gdybym zadała to pytanie na poważnie, to żadne z tych miejsc nie byłoby nieosiągalne. Kilka dni temu zagadnął mnie o moje urodziny, które przypadają za miesiąc. W pół godziny później poruszył temat samochodów, ale ta próba subtelnego podpytania mnie, jakie typy przekładni i kolory lubię najbardziej, wypadła po prostu humorystycznie.

Nie bardzo wierzyłam, że naprawdę rozważał kupno tak kosztownego prezentu, lecz rzuciłam uwagę, że w Cal samochód nie będzie mi potrzebny.

– Hmm, tak – mruknął, zaabsorbowany grą komputerową. Myślałam, że to koniec tematu, ale w jakiś czas później, kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole, zapytał, jak zamierzam poruszać się po Berkeley bez samochodu.

– Doskonałym transportem publicznym. I zabieram ze sobą swoje dwa kółka.

Zamarł, ręka z widelcem pełnym spaghetti znieruchomiała w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Dwa kółka? Rower?

Śmieję się.

– Nie, inny rodzaj dwóch kółek. Jestem tajną członkinią Hell's Angel¹. Masz ochotę na przejażdżkę moim Harleyem?

Piszczę, kiedy Reid ściąga mnie z krzesła i sadza sobie na kolanach.

– Tak. Mam ochotę – szepcze mi do ucha, obejmując mnie w pasie rękami.

W tym momencie do kuchni wparowuje ojciec, obwieszczając swoją obecność brzękiem naczyń, stawianych na blacie z masywnego drewna. Udaje, że nie zauważa nas przy stole w kompromitującej sytuacji.

Pukam się palcem w podbródek i udaję, że rozważam ucieczkę z domu do Melbourne. Albo i dalej.

– Chyba powinnam zapakować kostium do pływania.

– Mmm. Coraz lepiej. Masz bikini?

– Nie.

Dołeczek pojawia się w kąciu jego ust, kiedy uśmiecha się półgębkiem.

– W takim razie powinniśmy najpierw zrobić zakupy. – Dotyka wargami

moich ust w momencie, gdy mój tata – który nie zamierza dłużej udawać, że nas nie widzi – przechodzi z holu do swojego gabinetu i chrząka.

– No, to się udało. – Sarkazm to ulubiona forma obrony Reida.

Wiem, że mama i tata bywają nieugięci. Nie oczekiwałam od nich, że będą udawali zachwyty, skoro są tak przeciwni mojemu związkowi z Reidem, nie spodziewałam się jednak, że tak otwarcie okażą swe uprzedzenie. Moi altruistyczni rodzice, którzy nakłaniali córki do odrzucenia rasizmu, bigoterii i nietolerancji, których obie z Deb przez całe życie starałyśmy się naśladować. Teraz muszę stawić czoła temu, że ich tolerancja nie obejmuje osób sławnych i bogatych.

Boję się podnieść wzrok na Reida – zobaczyć, jak się czuje po krótkim, uwłaczającym przesłuchaniu, jakiemu poddali go moi rodzice. Wydaje się kompletnie niewzruszony tym, co i jak mówili – no, w każdym razie znacznie mniej niż ja. Ja jestem wściekła i zażenowana.

– Przykro mi. Nie wiedziałam, że to będzie takie nieprzyjemne.

– Nieprzyjemne?

– Za słabe określenie?

– Troszeczkę.

Moi rodzice poszli do swojego pokoju, zostawiając nas w rzęście oświetlonej bawialni. Cichy szmer ich głosów wskazuje, że zostawili drzwi otwarte – niewypowiedziana wskazówka, że Reidowi nie wolno postawić nogi na schodach, nie mówiąc już o wejściu do mojej sypialni.

Nie zachowywali takiej czujności cztery lata temu, kiedy chodziłam z Colinem, który wydawał im się przyzwoitym, godnym zaufania chłopakiem – co nie znaczy, że mam do nich pretensję o to, że nie dostrzegli, co się kryło za tą miłą fasadą. Chciałabym tylko, żeby zrozumieli, iż jednym z powodów, dla których szanuję Reida jest to, że on – jak na ironię – jest uczciwy, nie ukrywa tego, kim jest i czego chce, cokolwiek to jest. Chyba właśnie dlatego wierzę mu, kiedy mówi, że mnie pragnie. Że mnie kocha.

– Hej. – Trąca mnie kolanem i przyciąga bliżej. – W porządku?

– A u ciebie?

Uśmiecha się półgębkiem.

– Daj spokój. Chyba nie sądzisz, że drobna rodzicielska reprimenda mogłaby mnie powstrzymać? Powinnaś lepiej mnie znać. Żyję dezaprobata. Tego się ode mnie oczekuje. Moi fani pomyśleliby, że umieram czy coś w tym rodzaju, gdyby rodzice zaczęli nagle mnie aprobować.

Rozdział 4

Brooke

Podróż to dla mnie nic nowego. Przemieszczanie się z jednego miejsca w drugie via rozmaite lotniska jest uciążliwe, jak wszelkie wyjazdy, ale to po prostu coś, co trzeba znieść, co nie powinno powodować paniki, na litość boską. A jednak na trzy godziny przed odlotem robi mi się niedobrze na samą myśl o lądowaniu w Austin.

Jednokołowa torba Louisa Vuittona już stoi przy drzwiach frontowych, a za dziesięć minut dołączy do niej druga, gotowa do transportu na LAX². Odwlekam telefon do Reida, ciągle jeszcze nieprzyzwyczajona do dzielenia się z nim informacjami. Bo to graniczy z zaufaniem – czymś absolutnie nienaturalnym w kontaktach z Reidem Alexandrem. Ale obiecałam, że będę go informowała na bieżąco, więc wybieram jego numer, spodziewając się, że włączy się poczta głosowa.

A on tymczasem odebrał telefon, irytująco radośnie.

– Hej, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

Trzymam telefon między ramieniem a uchem i wrzucam kosmetyki z toaletki do torby podróżnej, a potem zaciągam suwak.

– Wiesz, że rozmawiasz z Brooke, prawda?

– Tym razem spojrzalem na wyświetlacz. Jesteś ze mnie dumna?

Jakim prawem on jest taki cholernie wesolutki? No, tak. Przecież to Reid Alexander, pozbawiony poczucia odpowiedzialności za cokolwiek.

– Spojrzenie na wyświetlacz przed odebraniem rozmowy to raczej wątpliwy powód do dumy, Reid, choć zapewne musisz chwytać każdy, który ci się trafi.

Zignorował mój przytyk.

– Czego się dowiedziałaś?

Czy ja naprawdę rozmawiam z Reidem, czy to ktoś obcy wszedł w jego ciało? Jest taki radosny, że z pewnością nie doskwiera mu żadna choroba.

– Bethany przyniosła mi jego zdjęcie...

– Naprawdę? Wow.

– ...i, jak ci już mówiłam, jest w rodzinie zastępczej. Długoterminowej rodzinie zastępczej.

– Co to znaczy „długoterminowej”?

– Jego matka adopcyjna została sądowo pozbawiona praw rodzicielskich kilka miesięcy temu. Jej mąż nie żyje od dwóch lat, Bethany sprawdza, na co zmarł, choć to nie ma większego znaczenia. Po jego śmierci ta kobieta zaczęła brać metamfetaminę i przestała się przejmować, kogo przyprowadza do domu.

Dwukrotnie była wysyłana przez sąd na przymusowe leczenie, ale za każdym razem uciekała, więc już nigdy nie odzyska dziecka. – Na myśl o dwuletnim Riverze, który został bez ojca, z matką narkomanką, wpycham do torby dwie pary dżinsów ze znacznie większą siłą, niż to konieczne. – Nie wiem, gdzie ona teraz jest – w więzieniu, w jakiejś melinie, czy puszcza się na ulicy za codzienną działkę – i nic mnie to nie obchodzi.

– Jezu. Wow.

Przewracam oczami, słysząc drugie już „wow”. Nie mam nastroju na jego niedowierzanie. Jestem absolutnie pewna, że straci dotychczasowy chłód, gdy tylko mu powiem, co zamierzam zrobić.

– Jadę do Austin.

Gdyby dało się usłyszeć znak zapytania, usłyszałabym go w słuchawce.

– On tam jest – na południe od Austin.

– Więc wybierasz się do Austin, żeby... co? – W głosie Reida pojawiła się podejrzana nutka, już nie jest taki wygadany, najwyraźniej zaczyna łapać.

Powiedziałam Kathryn i Bethany Shank, że ta wyprawa wypływa po części z poczucia odpowiedzialności, a po części z ciekawości, ale to naciąganie prawdy. To dziecko, którego nigdy nie widziałam i nigdy na wzięłam na ręce, przyciąga mnie z niesamowitą siłą, jakby to była grawitacja. Dziwne, ale czuję łączącą nas więź, która przez cztery lata objawiała się jedynie w dniu jego urodzin. To wcale nie czysta ciekawość ciągnie mnie do Teksasu i doskonale o tym wiem.

– Jadę, żeby sprawdzić, jak wygląda jego sytuacja. Chcę się dowiedzieć, czy mogę go odzyskać.

Cisza. Martwa cisza. Żałuję, że nie mogę cofnąć tych słów. Okazuje się, że Reid jest jedynym człowiekiem, któremu wywaliliam całą prawdę.

– Brooke, dziecko to nie para sandałów od Lanvina. Nie można tak po prostu złożyć zamówienia i odebrać go później u Barneya. Zrzekłaś się praw do niego. Teraz może zostać adoptowany przez kogoś innego, prawda? Oddałaś go...

– Wiem, Reid. Myślisz, że o tym nie wiem, do cholery?

Nienawidzę sposobu, w jaki to ujął – oddałaś go. Jakby ta decyzja nie wymagała ode mnie sporego poświęcenia, jakby to spłynęło po mnie jak woda po gęsi, jak po nim.

– Okej, okej. Ale nikt nie pozwoli ci ponownie zburzyć jego życia, żeby po prostu...

– Zburzyć jego życia? On jest w rodzinie zastępczej. A ja jestem jego matką.

Znowu cisza, jestem chyba zaskoczona własnym stwierdzeniem nie mniej niż on. To jasne, że on nie czuje takiego zobowiązania, jakie czuję ja, ale to nigdy nie był jego problem. Jego wyuczone przeprosiny, nieważne skąd płynące, aż tak daleko nie sięgają.

– Słuchaj, nie oczekuję od ciebie żadnego zaangażowania ani niczego w tym

rodzaju, okay? Nie domagałam się uznania przez ciebie ojcostwa cztery i pół roku temu i nie będę się domagała dzisiaj – co nie oznacza, że nie będzie żadnych spekulacji medialnych...

– Brooke! Chyba nie myślisz poważnie o wyjeździe do Austin i przywiezieniu go do LA? A co z twoją karierą? Masz dwadzieścia lat. I jesteś singielką.

Mogłam przewidzieć, że on niczego nie zrozumie.

– Czyżbyś nie słyszał o takim zjawisku jak samotna matka? A poza tym, nie sięgam myślą tak daleko. Wiem tylko, że on mnie potrzebuje i jadę. Mam w dupie, co ktoś mógłby o tym pomyśleć, także ty. Po prostu w razie potrzeby wyprzesz się swojego ojcostwa. Jestem pewna, że Graham i Emma nic nie powiedzą, a poza nimi nikt nie wie. Muszę już iść. Na razie, Reid.

Naciskam „zakończ” i rzucam telefon na łóżko.

Nadal nie lubię wymawiać imienia Grahama. Ani myśleć o nim. Przyciskam palce do mostka, mocno, bo czuję ból. Zawsze mnie boli, gdy o nim myślę.

Pogoda w Austin jest o tej porze roku podobna do tej w Los Angeles, choć trochę bardziej zmienna. Zwijam w rulon żakiet i wciskam go obok dżinsów. A potem nieruchomieję na myśl o Riverze. Będzie potrzebował ubrań. I zabawek. I mydła. I czego tam jeszcze dzieci w jego wieku potrzebują. Specjalnego jedzenia? Niani? Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia! Ogrom podjętej decyzji przytłacza mnie, wypełnia cały pokój, insynuuje, że nie mogę tego zrobić.

Przegram. Tak czy inaczej, przegram.

Przez całe życie słyszałam w głowie tę samą przepowiednię i już dawno nauczyłam się ją ignorować. W wieku piętnastu lat postanowiłam zostać gwiazdą filmową i jestem nią. Kieruję swoją karierą i życiem osobistym tak, jak uważam za stosowne i nikt – ale to nikt – nie będzie mi mówił, co mam robić. Czasami daję dupy – jak z Grahamem. Ta porażka kosztowała mnie utratę przyjaciela i nigdy tego nie przeboleję.

– Cholera – mruczę pod nosem, ściągam z łóżka drugą walizkę i wyrzucam z myśli Grahama Douglasa. Znowu.

Jeśli po przyjeździe do Austin stwierdzę, że istnieje jakaś realna alternatywa dla odzyskania przez mnie syna, rozważę to. W przeciwnym razie będę musiała zmierzyć się z cholerną rolą samotnej matki.

Reid

Cholera! Cholera, cholera, cholera!

Dzisiaj wieczorem mamy z Dori po raz pierwszy pokazać się razem publicznie. Zostały nam już tylko dni do jej wyjazdu do Berkeley, oddalonego od LA o pięć

śmiertelnie nudnych godzin jazdy. Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym jej powiedzieć tuż przed wyjazdem, to: „A na marginesie – jestem ojcem, tak jakby”.

Ale im dłużej będę to ukrywał, tym gorzej.

Chyba że nigdy się o tym nie dowie.

Prawdopodobieństwo, że Brooke rzeczywiście przywiezie dzieciaka do domu, jak szczeniaka ze schroniska, jest nader niewielkie. Abstrahując już od implikacji prawnych odzyskania przez nią praw do syna, pozostaje niekwestionowanym faktem, że Brooke Cameron nigdy dobrowolnie nie zbliżała się do dzieci. Nawet dziecko Grahama było dla niej wyłącznie środkiem do osiągnięcia celu – niedogodnością, którą musiała tolerować, żeby być z nim. O ile wiem, ma młodszego przyrodniego brata, urodzonego już po naszym rozstaniu, ale nigdy nie widziałem żadnego jej zdjęcia z nim. Tyle że to akurat może być skutkiem unikania przez nią kontaktów ze znieawidzonym ojcem.

Czy Dori darowałaby mi to? Nie zamierzam publicznie uznać swojego ojcostwa, niezależnie od tego, jak bardzo prywatnie czuję się winny.

Chryste! Nawet nie mogę tam teraz pojechać. Dori została porzucona przez chłopaka ze szkoły średniej, a to, co się wydarzyło między Brooke a mną, pozornie niewiele się różni od jej doświadczeń. Z wyjątkiem tego, że Brooke powiedziała mi, iż jest w ciąży, a ja potem ją porzuciłem.

Ja pierdołę! Gdybym był religijny, ukrzyżowałbym sam siebie.

Życie było znacznie prostsze, kiedy nie wiedziałem, co to sumienie.

Brook ma teraz pełną kontrolę nad tym, co będzie się działo, a ja nigdy nie lubiłem takiego scenariusza. Jest zmienna i impulsywna – to niebezpieczne połączenie, chociaż zapewniała, że nikomu nie powie. Graham i Emma mnie nie wydadzą, choć mogę sobie wyobrazić ich dezaprobatę, gdybym przypadkiem na nich wpadł.

Kiedy dowiem się, co Brooke zamierza, powiem Dori.

Albo nie.

Dobry plan.

Dori: Co robimy? Jakies wskazówki, proszę? Albo po prostu powiedz. Nie wiem, co na siebie włożyć.

Ja: Zwyczajny obiad, a potem impreza u mojego przyjaciela Johna.

Dori: Impreza?

Ja: Nic wielkiego. Jeśli nie masz ochoty iść, to nie musimy.

Dori: Nie. Jeśli masz ochotę, to chodźmy. Co mam włożyć?

Ja: Co zechcesz.

Dori: Zawsze tak mówisz!

Ja: I zawsze mówię szczerze.

Rozdział 5

Dori

Stan mojej siostry nie uległ zmianie w ciągu tych pięciu miesięcy, które upłynęły od wypadku i, jeśli wierzyć prognozom, nie należało się spodziewać żadnych zmian. Pozostawała w stanie wegetatywnym, egzystowała, ale nic poza tym.

Moi rodzice przestali w końcu błagać Boga o cud podczas każdej modlitwy przy stole, więc nie musiałam przetykać słów, od których skręcał mi się żołądek. Teraz proszą już tylko Boga o opiekę nad nią – ta modlitwa porusza ostatnie struny wiary, jaka jeszcze we mnie pozostała, choć uważam, że ma się nijak do faktu, że ona w ogóle znalazła się w tym stanie.

Tego popołudnia odwiedzam Deb, żeby zabić czas dzielący mnie od spotkania z Kaylą i Aimee i kolejną transformacją Kopciuszka. Przycinam łodyżki tulipanów, które kupiłam po drodze i relacjonuję ostatnie wydarzenia w moim życiu. Idzie mi już lepiej, choć nadal te jednostronne rozmowy wydają mi się przekombinowane. Kiedy tata, mama albo Nick przychodzą ze mną, milczę, chyba że odpowiadam na jakieś ich słowa skierowane do mnie. Głaszczę Deb po ręce, pomagam ją karmić, nucę jej ulubione piosenki, szczotkuję jej włosy – ale mówię do niej tylko wtedy, kiedy jesteśmy same, jak teraz.

– Dziś wieczorem idę z Reidem na obiad – informuję ją, a każdemu słowu towarzyszy szcęk nożyczek odcinający po calu z każdej łodyżki.

Kilka dni temu, gdy tylko Reid ponownie pojawił się w moim życiu, zdradziłam prawdę o odrodzeniu się naszego związku w cichym pokoju Deb. Czułam się jak tchórz, wyznając sekret wyłącznie mojej niemej, niereagującej siostrze i nikomu więcej. Teraz rodzice już o nim wiedzą, ale są tak uprzedzeni do Reida, że powstrzymuję się od rozmowy z nimi na jego temat. I znowu moją jedyną powiernicą jest Deb.

Ile bym dała za jej przytomną radę zamiast tego milczenia! Nie mam pojęcia, co myślałaby o Reidzie i naszym związku, ale powiedziałyby mi o tym otwarcie, bez owijania w bawełnę. I w końcu wspierałyby mnie w realizacji każdej podjętej przeze mnie decyzji. A tymczasem znam tylko punkt widzenia strapionych rodziców i zachwyconych celebrytą przyjaciół. Żaden z nich nie wydaje mi się wiarygodny.

– Wybieramy się też na imprezę. Szaleństwo, prawda? Ja na hollywoodzkiej imprezie. Jego przyjaciel John nie jest celebrytą, ale wydaje mi się, że to snob i karierowicz. – Uderza mnie nagle otrzeźwiająca myśl, jakby Deb ją wypowiedziała. – Ale pewnie nie powinnam go osądzać, bo większość ludzi to

samo pomyśli o mnie. Albo i gorzej. – Poszukiwaczka złota.

Wygładzam miękkiego koc na łóżku Deb i przysiadam obok niej.

– Nie mam pojęcia, co dzisiaj włożyć, więc zaprosiłam Kyle i Aimee, żeby wpadły dzisiaj i zrobiły fatalną robotę. – Śmieję się cicho na wspomnienie ich identycznej reakcji; obie dosłownie oniemiały na wieść o Reidzie i naszym zbliżającym się debiucie. Chyba nigdy nie widziałam, by jedna z nich zaniemówiła, a już na pewno nie obie w tym samym momencie. Po pięciu sekundach potoczył się przerażający dialog o projektantach, palecie barw, trendach w obuwiu i fryzurach i wszelkich innych powodach, dla których z takimi oporami poprosiłam, by wpadły.

Kiedy ostatnim razem dałam im wolną rękę w kwestii moich ciuchów i makijażu, obudziłam się w łóżku Reida z najgorszym kacem, jaki można sobie wyobrazić.

Istnieją gorsze możliwości – do jednej z nich o mało nie doszło. W stanie całkowitego upojenia alkoholowego o mało nie opuściłam nocnego klubu z nieznanym, który mógł się okazać psychopatą. A tymczasem obudziłam się do miłości jak z bajki. Która, w co nadal wierzę, jest prawdziwa.

Aimee i Kayla przez dziesięć minut kłóciły się ze sobą, jakby mnie przy nich nie było, zanim zdecydowały się na turkusowy jedwabny top z perełkami przy szyi i na dole (Kayli), parę ciemnych, opiętych dżinsów nieznanego mi marki (Aimee) oraz zamszowe czekoladowe botki (również Aimee), na szczęście na płaskim obcasie. Naturalnie nawet przez pół sekundy nie brały pod uwagę żadnego z moich ciuchów.

– Nie – mówi Aimee. – Niiieeee. Nie możesz wkładać swoich rzeczy, kiedy wychodzisz gdzieś z nim. Nie żartuję. Nigdy.

Postanawiam martwić się tym później. Teraz nie mam czasu.

Próba wyperswadowania Kayli wykorzystania jej gigantycznego pudła kosmetyków do mojego makijażu jest daremna, ale osiągamy kompromis w kwestii względnie naturalnego wyglądu, kiedy przypominam jej, że Reid widywał mnie zawsze prawie bez makijażu.

– Z wyjątkiem tego skacowanego wieczoru – dodają i obie odwracają wzrok, pełne żalu, że spuściły mnie z oka w klubie.

– No, nie róbcie takich zboliałych min, dziewczyny! – Z pewnym onieśmieleniem zwracają ku mnie wzrok, a ja stanowczo potrząsam głową. – Tamtej nocy to ja sama podejmowałam głupie decyzje. Miałam więcej szczęścia niż rozumu, że Reid mnie zauważył. Nie mam do was pretensji i nigdy nie będę miała. Po prostu nie przywykłam do mocnego makijażu, a chcę się dzisiaj czuć swobodnie.

Naprawdę powiedziałam swobodnie? To kompletnie nierealne pragnienie.

– Zauważyłaś, że powiedziała przed chwilą „Reid” takim tonem, jakby mówiła „Clark” czy „Josh”? – zwraca się Aimee do Kaylii, na co ta kiwa głową. Obie wzdychają, a ja staram się nie przewracać oczami.

Od przybycia Kayli i Aimee do czasu, gdy przyjechał po mnie Reid, mama jest podejrzanie nieobecna. Zniknęła za zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców, zanim wróciłam do domu po wizycie u Deb i dotąd nie wyszła. Tata spełnia ojcowskie obowiązki, otwiera drzwi i rzuca nienagannie uprzejme, choć lakoniczne powitanie.

– Dobry wieczór, Reid.

Słyszę odpowiedź Reida i staję u szczytu schodów, a Kayla i Aimee następują mi na pięty.

– Dobry wieczór, panie Cantrell.

– Pastorzcie Cantrell – poprawia go ojciec, bez złośliwości, ale również bez cienia sympatii, z jaką zwracał się do Nicka, którego poprosił: „Mów mi Doug”.

– Pastorzcie Cantrell – powtarza Reid, niezrażony i wypuszcza z ręki dłoń mojego ojca, kiedy pojawia się w polu widzenia. Rozpływam się na jego widok, chociaż widzieliśmy się wczoraj. Niebieska koszula z zapinanym na guziczki kołnierzykiem i džinsy wydają się swobodnym strojem, ale założę się o dwadzieścia dolarów, że on doskonale wie, iż ten odcień błękitu idealnie podkreśla kolor jego oczu.

Jeśli dopisze mi szczęście, to Kayla, która dosłownie kładzie się na moich plecach, nie zrzuci mnie ze schodów.

– Aimee – piszczy Kayla. – To. Naprawdę. On.

Oczy Reida przesuwają się po mnie, lustrują mnie od stóp do głów i z powrotem, nieśpiesznie i nie przejmując się wrażeniem, jakie jego nagłe pojawienie się mogło zrobić na moim ojcu, czy każdej z moich zwariowanych na tle gwiazdora przyjaciółek.

– Pięknie – mówi i bierze mnie za rękę, a ja odczuwam przyływ wdzięczności dla przyjaciółek i ich czarodziejskich zdolności, dorównujących zdolnościom matki chrestnej z Kopciuszka.

Reid

– Gotowa? – pytam i to nie po raz ostatni tego wieczora. Stoimy w krótkiej kolejce samochodów czekających na obsługę.

Dori odpina pas, bierze głęboki oddech i prostuje ramiona, jakby szykowałą się do startu w igrzyskach olimpijskich, a nie do wieczornej imprezy. Zwraca na mnie ogromne brązowe oczy i kiwa głową.

– Gotowa.

Tłumię śmiech i pochylam się, żeby pocałować ją w skroń.

– Niedługo będzie po wszystkim; szybko stracimy urok nowości. Obiecuję. – Szansa, że te słowa okażą się prawdziwe, wynosi pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Równie dobrze mogą okazać się całkiem fałszywe, ale w kwestii swoich obietnic wolę być optymistą.

– Okej – mówi Dori. Bardzo poważnie, z zaufaniem. I dlatego właśnie wybrałem na dzisiejszy debiut jedno z miejsc, do których chodzą celebryci, kiedy chcą poczuć się trochę jak zwyczajni ludzie – zwyczajni bogaci ludzie, którzy nie chcą być fotografowani w każdym miejscu, do którego się udadzą. Chateau Marmont.

Paparazzi nie są wpuszczani na długi brukowany podjazd, nie mówiąc już o schodach, czy wewnątrz lokalu. Aparaty są całkowicie zakazane w sali restauracyjnej i tego zakazu ściśle się tu przestrzega, w przeciwieństwie do wielu innych miejsc w Hollywood. Co nie znaczy, że obsesyjni fani nie łamią od czasu do czasu obowiązujących tutaj zasad, za co bywają wyrzucani. Obiad w patio to jednak spotkanie w ciemności, przy świecach. Trzeba szczęścia, żeby w tych warunkach zrobić dobre zdjęcie telefonem komórkowym bez flesza.

Facet z obsługi bierze kluczyki od kierowcy przed nami i podaje mu bilet, a ja przesuвам ręką wzdłuż ramienia Dori i ujmuję jej dłoń.

– Byłaś już kiedyś tutaj?

Śmieje się, jakby to było najzabawniejsze pytanie, jakie w życiu słyszała.

– O, nie. Ale wiele o nim słyszałam. To się liczy?

– Hmm. Przyznaję ci pół punktu za wiedzę. Coś mi się zdaje, że powinniśmy zaplanować weekend w penthousie. A może wolałabyś jedną z chat?

Uśmiecha się do mnie.

– Jedną z chat? – To oczywiste, że byłaby bardziej zaintrygowana trzeszczącym, ustronnym bungalowem z lat trzydziestych XX wieku niż wysokim, luksusowym apartamentem z patio wychodzącym na Bulwar Zachodzącego Słońca i zachodni stok wzgórza Hollywood. – To propozycja jak z bajki. Czy mam włożyć czerwony kapturek i wziąć ze sobą koszyk piknikowy?

– Tylko pod warunkiem, że powiesz: „Och, Reid, jaki wielki...”.

– Przestań! – Ze śmiechem zasłania mi ręką usta. – Nie waż się kończyć tej myśli!

Przesuвам palcem wzdłuż krzywizny jej ucha i wiem, że się zaróżowiło, choć trudno określić kolor w mrocznym wnętrzu samochodu.

– Obawiam się, że na to już trochę za późno.

Wydyma wargi, uroczo zawstydzona, i zmienia temat.

– Wynajmowanie apartamentu w mieście, w którym mieszkasz, wydaje mi się niezbyt praktyczne, ale to pewnie normalne wśród celebrytów.

– Nigdy tego nie robiłaś? – Ostatnim razem, kiedy zamieszkałem w hotelu w LA, zrobiłem to na usilną prośbę Brooke, kiedy jej kunsztowny plan odbicia Emmie Grahama nie wypalił.

Dori wzrusza lekko ramionami i wbija wzrok w przestrzeń przed sobą, a ja przypominam sobie, że ten palant, jej chłopak ze szkoły średniej, zabrał ją do motelu, gdy miała piętnaście lat, a w miesiąc później ją rzucił, bo skończył osiemnaście lat i mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za seks z nieletnią.

Najchętniej stłukłbym tego idiotę na kwaśne jabłko, choć minęły już prawie cztery lata.

– Wygląda na to, że mam nowy cel w życiu: nauczyć Dori być niepraktyczną.

Potrzęsa głową, zdeprymowana.

– Nie wiem, Reid, ten cel wydaje się nieosiągalny. – Lokaj otwiera drzwi samochodu i Dori wysiada natychmiast, przyjmując jego dłoń. Jest kłębkim nerwów. Wątpię, czy zdoła się rozluźnić przez cały wieczór. Bóg jeden wie, czy uda mi się namówić ją do rozładowania napięcia na sposób Reida Alexandra – kieliszkiem czegoś starego i kosztownego.

– Wyzwanie przyjęte, Dorcas Cantrell. – Wyskakuję z samochodu, obchodzę go dookoła, obejmuję jej ramiona – i prowadzę ją do środka. Wyzwanie przyjęte.

Zamawiam na przekąskę schłodzonego kraba i awokado oraz butelkę Torrontes. Dori prosi o szklankę wody. Na mojej skinienie głową kelner przynosi butelkę markowej wody, odkorkowuje ją i nalewa do szklanki z całkowicie nieprzeniknioną miną. Dori unosi brew, układa usta w wyraz „niepraktyczne” i patrzy na mnie z uśmiechem. Uśmiecham się w odpowiedzi. Nie ma nawet pojęcia, do jak niepraktycznych rzeczy jestem zdolny, jeśli chodzi o nią.

Pod koniec posiłku troszeczkę się rozluźnia. Patio, dzięki bujnej roślinności i światłu świec, wydaje się miejscem przytulnym i intymnym pomimo tłumy ludzi. Nie było, oczywiście, żadnych fleszy aparatów fotograficznych, nikt też nie zwracał na nas specjalnej uwagi, poza kelnerami – z których każdy obsługiwał nas z tym samym uprzejmym, beznamiętnym wyrazem twarzy.

W innych lokalach LA już tak nie będzie. Wkrótce Dori będzie musiała stawić czoła badawczym spojrzeniom w miejscach publicznych, które są nieodłączną częścią chodzenia z celebrytą. Miała już przedsmak tego minionego lata, po incydencie w patio – ale to jeszcze nic.

Nie zamierzam jednak mówić jej o tym.

Kiedy przyjeżdżamy do Johna, jego apartament w wieżowcu zdaje się pękać w szwach. Nie tak się umawialiśmy, kiedy prosił, by pierwsze publiczne pojawienie się Dori miało miejsce w jego mieszkaniu. (Kolejna rzecz, której jej nie mówię – że zorganizowaliśmy z Johnem tę imprezę specjalnie, żeby wprowadzić ją do naszego towarzystwa w miejscu mniej publicznym.)

– Wow – mruczy Dori i opiera się o mnie. – Twój kumpel ma mnóstwo przyjaciół.

John ma nie tyle przyjaciół, ile grono przydatnych znajomych i wszyscy ci znajomi otwarcie wytrzeszczają na nas oczy od chwili, gdy podajemy kurtki dziewczynie przy drzwiach i zaczynamy przedzierać się przez tłum. Zmierzam w kierunku, z którego dobiega tubalny śmiech Johna, słyszalny pomimo głośnej muzyki, i czuję, jak Dori ściska moją rękę, jakby nasze palce były zrośnięte.

– Reid, witaj, brachu. Gdzie...? O, jest. – John uśmiecha się, kiedy dostrzega Dori za moimi plecami. – Jeszcze drobniejsza, niż zapamiętałem.

Dori zachowała jedyne mgliste wspomnienie o Johnie, ponieważ ich jedyne spotkanie miało miejsce podczas najbardziej pijanej nocy w jej życiu – jeśli nie jedynej pijanej nocy w jej życiu. Odpowiada mu uśmiechem, ale nadal ściska kurczowo moją dłoń. Przesuwam rękę za jej plecy, żeby przyciągnąć ją bliżej. Może i jest zaokrąglona i silna, ale John ma rację – przytulona do mojego boku wydaje się malutka.

– Hej, John. Strasznie tu dużo ludzi – mówię znacząco. Uzgodniliśmy koło dwudziestu osób, a tymczasem po mieszkaniu snuje się dwa albo i trzy razy tyle, niektórzy goście wylewają się aż na balkon.

John z uśmiechem wzrusza ramionami.

– Co mam powiedzieć? Jestem popularnym facetem. – Łapie dwa smukłe kieliszki szampana z blatu i podaje nam. – Witaj, Dori. Słyszałam, że zrobiłaś porządnego człowieka z mojego obecnego tu kumpla.

Biorę kieliszek, podczas gdy Dori leciuteńko potrząsa głową.

– Och, ja nie...

John zręcznie oddziela ją ode mnie, przysuwa się i z uśmiechem wciska jej kieliszek do ręki.

– No, weź. Możesz wypić. Albo nie. – Kładzie rękę w dole jej pleców i rzuca przez ramię. – Oddam ci ją za chwilę, brachu. Może. – Porusza znacząco brwiami, więc gromię go surowym spojrzeniem.

– John. – W moim głosie pojawia się ostra nuta, ale on mnie ignoruje, drań.

Podchodzi do najbliższej grupki.

– Claude, Nichole, znacie dziewczynę Reida? To Dori. Rodowita mieszkanka LA, studentka Cal, o wiele za bystra dla niego. Czekam tylko, aż zmądrzeje, żeby mu ją odbić.

Brwi unoszą się, oczy otwierają się szerzej, kilku osobom opadają szczęki. Słyszę swoje imię szeptane wraz z powtarzającymi się słowami „jego dziewczyna” oraz spekulacjami „Kim ona jest?”. John strategicznie osłania Dori przed spojrzeniami kilku dziewczyn, które mierzą ją wzrokiem i szepczą coś do siebie, wyraźnie naćpane. Jestem absolutnie pewien, że przynajmniej z jedną z nich spałem. Cholera.

Ale ludzie, do których się zwrócił, uśmiechają się i szybko otrząsają się z wrażenia. Oboje są pracującymi dorywczo aktorami i cierpliwie czekają, by stanąć w świetle reflektorów, a to typowe dla Johna, że stara się mieć takich młodych obiecujących na oku. Tak samo było ze mną.

– Och! Dori? Miło cię poznać – mówi Nichole.

– Dziękuję. – Dori uśmiecha się, trzymając ten kieliszek szampana przed sobą jak tarczę. John nie wypuszcza jej drugiej ręki z zagięcia swego ramienia.

– Nie wiedziałem, że Reid ma dziewczynę – zwraca się do niej Claude z zaciekawieniem. – Chyba od niedawna?

– Rzecz w tym, że to w ogóle coś bez precedensu – odpowiada za nią John, dumny, że to on może przekazać najświeższą nowinę. I prowadzi ją do następnej grupy, a ona rzuca mi przez ramię rozbawione spojrzenie. Nabieram przekonania, że doskonale sobie ze wszystkim poradzi.

Rozdział 6

Brooke

Kathryn zaproponowała, że przyjedzie po mnie na lotnisko, ale samolot ląduje koło północy, a ja mam o dziewiątej rano umówione spotkanie w centrum miasta. Nie ma najmniejszego sensu jechać po nocy na peryferia Austin tylko po to, żeby w kilka godzin później wlec się z powrotem w korkach w porze porannego szczytu. Wolałam wypożyczyć samochód i zarezerwować hotel, nie określając terminu wyjazdu – co normalnie załatwiłaby moja agentka czy manager, ale nie poinformowałam żadnego z nich nawet o wyjeździe z LA, nie mówiąc już o podaniu przyczyny tego wyjazdu. Wściekliby się tylko i zaatakowaliby mnie przez telefon rozlicznymi powodami, dla których nie powinnam jechać.

Jest takie powiedzenie: lepiej przeproszać po fakcie niż prosić o pozwolenie. To mogłoby być oficjalnym mottem Brooke Cameron.

Lubię latać pierwszą klasą, bo jako pierwsza wchodzę do samolotu i jako pierwsza z niego wysiadam – a to oznacza znaczne ograniczenie lub wręcz brak kontaktów ze współpasażerami. To luksus, za który chętnie płacę. Dzisiaj siedziałam w jednym rzędzie z dzieckiem jakiegoś muzyka. Niejasno go sobie przypominam, ale nie pamiętam, która z legendarnych męskich dziwek jest jego ojcem. Gapił się na mnie z zainteresowaniem, ale nie jestem pewna, czy mnie rozpoznał. Sprawdziłam go, kiedy wdał się w awanturę z kierowniczką lotu na temat, czy wolno podać mu alkohol na pokładzie. (Ale to jest pierwsza klasa! – Wrzeszczał, jakby ona o tym nie wiedziała.) Wystarczył jeden szybki rzut oka, żeby stwierdzić, że chłopak miał najwyżej szesnaście lat.

Wkładam stopery do uszu, wyglądam przez okno i ignoruję szczeniaka. A on wkrótce pogrąża się bez reszty w krwawej strzelance na laptopie, co tylko potwierdza moje przypuszczenia co do jego wieku.

Kiedy lądujemy w Austin, wszystkie sklepy lotniskowe są już zamknięte, ławki przy bramkach puste, a w szerokiej, wypolerowanej do połysku powierzchni podłogi odbijają się równomiernie rozmieszczone żółte światła głównej hali przylotów. Ogromny metalowy szyld pod kolekcją kolorowych gitar obwieszcza, że moje rodzinne miasto to „Muzyczna Stolica Świata”.

Ekspozyty kolekcji zdają się stać na straży karuzeli bagażowych, nieruchomych z wyjątkiem jednej – przypuszczalnie mojego lotu. Nie zarejestrowałam bagażu, więc nie muszę się zatrzymywać. Dreszcz mnie przejmuje w tym ogromnym, prawie bezludnym pomieszczeniu, a moja absurdałna wyobraźnia – rozbudzona dwugodzinnym obserwowaniem krwawej gry wideo – podsuwa mi wizję jakiejś zombi-apokalipsy.

Uciekam przez opustoszałe lotnisko do wskazanego wyjścia, gdzie już czeka przy krawężniku zamówiony samochód, by zawieźć mnie do miasta, które kiedyś tak dobrze znałam.

W ciągu ostatnich sześciu lat wracałam tu tylko trzykrotnie – po raz pierwszy, żeby urodzić Rivera, po raz drugi, żeby nakręcić film *Szkolna дума* i po raz trzeci na sesję fotograficzną promującą film. Austin i ja urosliśmy i zmieniliśmy się od czasu, gdy tu mieszkaliśmy, czy nam się te zmiany podobają, czy nie.

Mogę odtworzyć swoje kroki, ale nie mogę się cofnąć i wybrać innej drogi. Na to jest już o wiele za późno.

Miałam piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy wyjechałam na zdjęcia plenerowe bez nadzoru rodziców. Reid, młodszy ode mnie o rok, był jedynym członkiem zespołu w podobnym wieku. Jako odtwórcy ról drugoplanowych mieliśmy tylko kilka scen i często byliśmy zostawiani sami sobie. Szybko zawarliśmy sojusz, żeby nie umrzeć z nudów.

Pewnego popołudnia w pierwszym tygodniu zdjęć siedziałam na schodkach swojej przyczepy i obserwowałam, jak próbował wykonać pewną ewolucję na deskorolce, którą przywiózł ze sobą. Raz za razem śmigał po betonie, zahaczał o brzeg deski i wykonywał podskok, ale nigdy nie udawało mu się na niej wylądować.

Był taki śliczny. Taki pewny siebie. Taki zdeterminowany. I robił to tak fatalnie.

Kiedy za piątym razem znów mu się nie udało i klapnął na tyłek, zaczęłam się śmiać. Skrzywił się, wytarł krew z łokcia i rzucił mi wyzwanie.

– A może ty byś spróbowała, skoro myślisz, że to takie łatwe?

Nie powiedziałam mu, że moja przyrodnia siostra, Kylie, była utalentowaną skateboarderką, więc umiałam robić tę ewolucję od dziesiątego roku życia. Wysłuchałam jego wyjaśnień, udając ignorancję. Był zaskoczony, kiedy puściłam się biegiem, zanim wskoczyłam na deskę i rozpędziłam ją jeszcze bardziej. Wytrenowanym ruchem stopy odwróciłam deskę, wylądowałam na niej swobodnie i przemknęłam obok niego ze zwycięskim uśmiechem na ustach.

Kiedy podszedł do mnie, zeszłam z deski, podniosłam ją i oddałam mu. Zamiast wziąć ode mnie deskę, nakrył moją dłoń swoją i zbliżył się z rozjaśnionymi oczami.

– To było super – powiedział. – I tak piekielnie podniecające. Mam ochotę, sam nie wiem?... pocałować cię, czy coś.

– Okej – mruknęłam, z mocno bijącym sercem, może na skutek wysiłku fizycznego, a może oczekiwania na pierwszy pocałunek. Albo z obu tych

powodów.

Jeśli Reid był zaskoczony moją natychmiastową zgodą, to nie pokazał tego po sobie. Podszedł bliżej, objął mnie w pasie obiema rękami, pochylił się i pocałował mnie w usta. Ten pocałunek przypominał raczej serię drobnych całusów, każdy lepszy od poprzedniego.

Nie wiedziałam wówczas, że i dla niego był to pierwszy pocałunek w życiu. I drugi. I trzeci.

Dori

Im bardziej oddalam się od Reida, tym bardziej jestem niespokojna. Nie znam żadnego z tych ludzi i nie znam chłopaka, który prowadzi mnie przez tłum, trzymając rękę w dolnej części moich pleców. Wiem, że to najlepszy przyjaciel Reida, ale ilekroć Reid próbował mi o nim opowiadać, kończyło się to zawsze potrząśnięciem głową i wzruszaniem ramion.

– Sama zobaczysz, jak go poznasz. To po prostu John.

Na razie stwierdziłam tylko, że John to nałogowy podrywacz, który bezwstydnie podlizuje się celebrytom, a mówi językiem równie plugawym jak kiedyś Reid – a raczej równie plugawym jak obecnie Reid – bo nie mam złudzeń, że go zmieniłam, po prostu w mojej obecności Reid stara się przestrzegać moich zasad. Sądząc po dzisiejszej serii pochwał na temat mojego wykształcenia i działalności społecznej, John postanowił wychwalać moje zalety pod niebiosa. A pod koniec wieczoru podnieść mnie wręcz do godności świętej.

Chrząkam i prostuję błędną informację, której udzielił dwóm dziewczynom rozwalonym na kanapie – dziewczynom, które gapią się na mnie z takim zaciekawieniem, jakbym miała trzecią nogę albo niebieską skórę.

– Właściwie to nie jestem misjonarką.

John marszczy czoło.

– Ale Reid mi mówił, że pojechałaś do Puerto Rico czy do Brazylii, żeby rozdawać tubylcom buty, Biblię czy coś innego.

– Pojechałam do Ekwadoru i w ramach wolontariatu uczyłam muzyki w szkole misyjnej...

– W szkole misyjnej. Właśnie. Czyli jesteś kimś w rodzaju misjonarki.

Słowo daję! Biorę głęboki oddech.

– No nie. Misjonarze wyjeżdżają z reguły na długo, niekiedy na całe życie; poświęcają się pracy ewangelizacyjnej oraz działalności praktycznej, na przykład zakładają szkoły czy szpitale...

– Ale przecież powiedziałaś przed chwilą, że pomagałaś prowadzić szkołę w Panamie.

Westchnęłam i pobiegłam myślami do Any Diaz, która nadzorowała mój program w Quito. Ana prowadzi nieustającą, codzienną walkę z ubóstwem, przestępczością i brakiem edukacji rodziców, którzy nie potrafią sobie wyobrazić lepszego losu dla swoich dzieci, więc robią z nich pucybutów lub złodziei kieszonkowych, albo posyłają do pracy, żeby zapewniły chleb rodzinie.

– Ona mówiła o Ekwadorze – zauważa jedna z dziewczyn, patrząc badawczo na moją twarz. Jak wszystkie obecne tutaj dziewczyny jest ubrana swobodnie, ale coś w jej wyglądzie krzyczy: pieniądze. Ma ciemne, czujne oczy. Jestem pewna, że znalazłam się w całkowicie dla mnie obcym żywiole.

John wzrusza ramionami.

– Ziem-nia-ki, zie-mian-ki.

Dziewczyna przewraca oczami i mruczy: „idiota”. John udaje urażonego, głośno wciąga powietrze, wyrażając w ten sposób bez słów swoje lekceważenie dla jej opinii.

– Więc jesteś dziewczyną Reida? – pyta ona, ignorując jego popisy.

Kiwam głową i serce mi podskakuje na widok jej uniesionej z niedowierzaniem brwi i spojrzenia, którym ponownie lustruje moją postać, od stóp do głów.

– Przepraszam, po prostu... naprawdę odnoszę wrażenie, że... nie jesteś w jego typie.

Rumienię się.

– Nie musisz być taką suką, Jo... – mówi John i odwraca mnie tyłem do niej.

– Nie. – Jo wychyla się do przodu. – Chciałam tylko powiedzieć, że zupełnie nie jest podobna do jego ostatniej dziewczyny.

John zatrzymuje się i ponownie zwraca się ku niej.

– Wiem, że nie znasz Emmy Pierce.

– Nie chodzi o nią. – Jej usta wyginają się z pełnym niechęci uśmiechu. – Myślałam o Brooke Cameron.

Szczęka mi opada. Brooke Cameron – piękna gwiazda serialu *Życie to plaża*, która wzbudza w Kayli i Aimee mieszane uczucia, od miłości do nienawiści. Dziewczyna, która grała rolę Caroline w ostatnim filmie Reida. Ona była kiedyś jego dziewczyną?

– Jezu, to było ze sto lat temu i skończyło się cholerną katastrofą. A ty to pamiętasz? – śmieje się John. – Masz obsesję?

– Pieprz się, John – mówi Jo i wstaje z ogniem w oczach, wychlapując sobie drinka na rękę. – Ja nie zadowolam się rolą jego przydupasa, nie jestem męską dziwką. Bez urazy – rzuca w moją stronę.

– Uh... – Oglądam się przez ramię, szukając Reida i walczę z klaustrofobią.

– Boże, okej. Skończcie z tym, oboje. – Druga dziewczyna podnosi się z kanapy, mówiąc głosem równie ciekim jak ona sama. Bierze się pod boki

i podnosi gniewne spojrzenie na Johna. – Myślałam, że będziesz miły.

John wolną ręką przyciąga ją do siebie.

– Może powinnaś trzymać swoją współlokatorkę na smyczy, Bianco. Albo w kagańcu.

– John! – Dziewczyna z całej siły uderza go w pierś. Aż rzuca się w oczy, że czują do siebie wzajemny pociąg.

– Chodź, Bianco. – Jo kieruje się w stronę baru w rogu pokoju.

Bianka wydaje głęboki pomruk, potrząsa głową i idzie za przyjaciółką.

– No, to było podłe – mamrocze pod nosem John, z zaciśniętymi ustami obserwując odchodzące dziewczyny.

– Czy Bianca to twoja...? – urywam, niepewna, jak ją sklasyfikować.

Wyjmuje mi z ręki smukły kieliszek z musującym płynem – pewnie szampanem – wychyla połowę zawartości i oddaje mi resztę.

– Rozchodzimy się i schodzimy, tak na przemian. Nie znoszę jej czarującej współlokatorki, jeśli tego nie zauważyłaś.

– Hmm. Nie zauważyłam.

Drapieżnym uśmiechem kwituje mój sarkazm i zaczynam dostrzegać, co go łączy z Reidem.

– Lubię cię, Dori.

– Hej. – Reid odciąga mnie od Johna; jego oczy są ciemne, a brew uniesiona.

– Łapy przy sobie, chłopie. Nie chcę cię okaleczyć na twojej własnej imprezie. – Ta pogróżka jest tylko na pokaz, podobnie jak uniesione teatralnym gestem ręce Johna. Reid zniża głos i wskazuje głową kierunek, w którym odeszły dziewczyny.

– O co tym razem poszło? I co Jo tutaj robi?

– Brachu, bądź realistą – karci go John. – Nie mogłem zaprosić samych facetów.

Sugestia jest jednoznaczna: pewnych rzeczy nie da się uniknąć, na przykład duchów seksualnej przeszłości Reida. Przez jego łóżko przewinęło się zbyt wiele dziewczyn z jego kręgu towarzyskiego, z tego miasta, z całego kraju, żeby udało się ich całkiem unikać. Reputacja hollywoodzkiego rozpustnika ciągnie się za nim wszędzie. Znają ją nie tylko moje przyjaciółki, ale nawet rodzice. Postawiłam sprawę jasno: nie chcę znać żadnych paskudnych szczegółów i Reid był mi chyba wdzięczny, że go zwolniłam z takiej spowiedzi.

Spodziewałam się publicznego zaskoczenia, co Reid, na litość boską, robi z kimś takim jak ja – miałam przedsmak tego ubiegłego lata, kiedy potknęłam się i upadłam na niego podczas programu Habitat, a tabloidy natychmiast wdały się w niemiłosierne spekulacje. Spodziewałam się, że nieraz natknę się na gwiazdki filmowe i fanki, które go pragną, które nawet były z nim i znienawidzą mnie od pierwszego wejrzenia.

Z pewnością Jo jest jedną z nich.

Ale dowiedzieć się, że Reid był kiedyś związany z Brooke Cameron i to na tyle długo, że powszechnie uważano ich za parę? Mógł ją kochać. Takiej możliwości nie przewidywałam i jedyna obawa, której nie chciałam stawić czoła, podeszła mi do gardła jak refluks. Pomimo pogłosek, że Reid przespał się z połową młodego Hollywood i pomimo faktu, że nigdy nie odpierał tych zarzutów, miałam nadzieję, że jego serce należało tylko i wyłącznie do mnie.

Chciałabym odepchnąć od siebie zazdrość i poczucie niepewności, które zaczyna bulgotać w moim żołądku. Potrzebuję prawdy, jakakolwiek by ona była, ale nie mogę go zapytać. Ponieważ w głębi serca wolę nie wiedzieć.

Rozdział 7

Brooke

Norman Rogers, adwokat Kathryn – a właściwie już raczej przyjaciel rodziny, bo jest jej doradcą prawnym od rozwodu z moim tatą – prycha z niedowierzaniem, kiedy mu mówię, że chcę Rivera.

– Czy jesteś pewna? – pyta, jakbym mogła umówić się na to spotkanie i przylecieć z Los Angeles do Teksasu tylko po to, żeby pomarudzić.

Zaciskam zęby. Przeżyłam już szok Reida, mojej prywatnej detektyw i macochy. Jeden więcej – co za problem?

– Tak, chcę odzyskać syna. – Po namyśle stwierdzam, że powinnam już przywyknąć do tej odpowiedzi. Może należałoby zadzwonić do Angeliny i zapytać, w jaki sposób ona broni się przed tego rodzaju sceptycznymi reakcjami.

Norman przygląda mi się znad oprawek okularów.

– Więc dobrze – mówi. Postukuje połączonym piórem w bloczek i przystępuje do interesów. – W pierwszym rzędzie musimy wystąpić do sądu o nakaz sprawdzenia sytuacji domowej. Zakładam, że chcesz go wywieźć do Kalifornii? Jeśli tak, to musimy zaangażować ICPC do koordynacji spraw pomiędzy okręgiem Los Angeles a stanem Teksas. – Gryzmoli coś jak kura pazurem w swoim notesie, pewnie kreśli plan batalii. – Od sędziego będzie zależało, czy adopcja zostanie przeprowadzona tutaj, w Teksasie, czy przed sądem kalifornijskim.

– Adopcja? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – Ależ ja jestem matką Rivera. Nie mogę... po prostu go odzyskać?

Norman wbija wzrok w swoje notatki, podkreśla jakieś słowa, pociera czoło grubym paluchem, jakby chciał zetrzeć z niego przedwcześnie zmarszczki powstałe wskutek tej rozmowy. Cisza przeciąga się, wreszcie Norman chrząka.

– Brooke, River znajduje się w rodzinie zastępczej. Pieczę nad nim sprawuje stan Teksas. Istnieją specjalne procedury, mające na celu sprawdzenie, co leży w najlepiej pojętym interesie dziecka.

– Ale ja jestem jego matką – szepczę. Powtarzam się, ale poczucie winy wciąga mnie coraz głębiej, jak ruchome piaski. Ledwie mogę oddychać.

– Z prawnego punktu widzenia, Brooke, nie jesteś nią.

To stwierdzenie odbieram jak uderzenie w twarz i całkiem tracę oddech. Szczeka mi opada; widzę, jak Norman ściąga brwi i mocno zaciska usta. Powiedział prawdę bez owijania w bawełnę i jestem mu za to wdzięczna, choć nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– Ile to może potrwać? Jak długo muszę czekać, żeby go odzyskać? – Nagle

po całym moim ciele przebiega dreszcz, zaczyna się na szyi i boleśnie przeszywa palce rąk i nóg. – A może chcesz powiedzieć, że nie mogę... że go nie odzyskam?

Smętna twarz Normana zamazuje mi się przed oczami, a cały pokój zaczyna wirować.

– Brooke, oddałaś go zaraz po urodzeniu, ponieważ uważałaś, że tak będzie najlepiej dla niego.

Zaciskam drżące wargi. Oddałam go, ponieważ go nie chciałam. Nie zgodziłam się nawet wziąć go na ręce, zanim go oddałam. Zrzeczenie się dziecka nie było żadnym aktem altruizmu – ja chciałam po prostu odzyskać dawne życie.

– Sąd weźmie to pod uwagę – kontynuuje Norman. W moje rozbiegane myśli wdziera się jego brzęczący głos, zupełnie jakby jego słowa odbijały się w metalowej puszcze. – W najlepszym razie mamy przed sobą cztery do pięciu miesięcy...

– Cztery do pięciu miesięcy? – Moje słowa brzmią nosowo i strasznie głośno, jak huk wystrzału, ale nie obchodzi mnie, czy ktoś to słyszy, nie przejmuję się emisją mego głosu. – Nie zostawię go w tej brudnej, zapchlonej norze na kilka miesięcy! Nie mogę tak po prostu wrócić do domu i porzucić go, jak zrobiłam ostatnio!

Coś pęka w mojej piersi, jak tama wysadzona materiałem wybuchowym, i ku swemu ogromnemu przerażeniu zaczynam ryczeć.

Norman wstaje i siada, dwukrotnie, w końcu bierze pudełko chusteczek higienicznych z niewielkiego kredensu i rzuca w moją stronę, a Kathryn wpada do pokoju, siada na krześle obok mnie i obejmuje mnie ramionami.

– Kochanie, wcale go nie porzucasz. Rozpoczynamy proces adopcyjny. Zrozumiemy, przecież chcemy, żeby został przeprowadzony skrupulatnie. Z zachowaniem daleko idącej ostrożności. Nie wiemy, czy jacyś dziadkowie nie chcą go wziąć pod opiekę, czy jakieś ciotki lub wujkowie nie wystąpili już do sądu. Może już tylko tygodnie albo dni dzielą go od nowego domu.

Kathryn wiedziała. Dlatego nalegała, żeby tu dzisiaj ze mną przyjechać i dlatego siedziała pod drzwiami gabinetu. Dlatego była tak oszczędna w słowach podczas jazdy z hotelu do kancelarii i nie chciała wyrazić opinii na temat tego, co Norman powie. Już wiedziała albo przynajmniej podejrzewała.

– Chcesz dla niego jak najlepiej, prawda? – pyta.

Kiwam głową i wtulam twarz w Kathryn, jak w dzieciństwie. Ileż to razy przychodziłam do niej, kiedy własni rodzice mnie zawiedli? Dzięki niej nie zwariowałam, kiedy nikt inny nie przejmował się tym, co myślałam, co czułam, czego chciałam. Ale jeśli River miał dziadków, ciotki czy wujków, to gdzie oni byli, kiedy cierpiał?

A gdzie byłam ja? Imprezowałam albo kręciłam kolejny durny odcinek serialu *Życie to plaża*? Wstrząsa mną kolejna fala łkań, ale staram się ją

powstrzymać, jak wysoka, ostra skała opiera się wodom przyływu.

Tym, co najlepsze dla mojego syna, jestem ja.

A Kathryn odzywa się, jakby usłyszała moje niewypowiedziane słowa.

– Nawet gdyby tym, co dla niego najlepsze, nie był wyjazd z tobą do domu, prawda? Nawet gdybyś ty nie była tym, co dla niego najlepsze? – Słowa Kathryn rozjaśniają krajobraz mojej pamięci. Graham. Utrata jego przyjaźni i ten ostry ból, kryjący się w samym środku piersi. Myślałam, że jestem tym, co dla niego najlepsze, ale tak naprawdę nie dbałam o to, co naprawdę było najlepsze dla niego.

Pragnęłam Grahama, ponieważ Graham byłby najlepszy dla mnie. Nadal w to wierzę, choć teraz rozumiem – jaśniej niż kiedykolwiek – że ja nie byłam najlepsza dla niego. To nie mnie pragnął.

Chcę być tym, co najlepsze dla Rivera. Ale jeżeli nie jestem?

Biorę się w garść. Oddycham. Siadam prosto. Przyciskam chusteczkę higieniczną do każdego oka. Oczyszczam gardło.

– Tak.

Reid

Nie było żadnych fleszów paparazzi; tylko jedna niewyraźna, zrobiona ukradkiem telefonem komórkowym fotka pojawiła się na stronie jednego z moich fanów, ale to wystarczyło, żeby w ciągu godziny trafiła na wszystkie inne strony internetowe i żeby ruszyła fala spekulacji na temat Dori. John przesłał mi SMS-em link.

John: Wyszło na jaw istnienie twojej starannie ukrywanej dziewczyny.

Ja: Czy mogę wymordować tych ludzi? Dlaczego im się wydaje, że obchodzą mnie ich durne opinie na mój temat?

John: Daj spokój, stary. Widziałeś to już milion razy. Dosłownie.

Ja: Wiem. Ale ją chcę chronić bardziej.

John: WIEM.

Ja: Tak, tak. Powiedziałbym, że mi przykro, ale to nieprawda.

John: Wynajmiesz jej ochroniarza?

Ja: Nie pomyślałem o tym. Boże, ale by się wściekła. Czy mogę to zrobić bez jej wiedzy?

John: Prawdopodobnie tak. Ale w takiej sytuacji nie mogłaby mu powiedzieć, kto nie stanowi zagrożenia. I ochroniarz dałby w zęby jakiemuś Bogu ducha winnemu pierdole, który by się do niej odezwał.

Ja: A to byłoby fatalne, co?

John: To pytanie do Taty Prawnika.

Kiedy podjeżdżam, żeby ją zabrać na drugą oficjalną randkę, wita mnie

widok ludzi z mediów obozujących wzdłuż jej ulicy. Niewielu – ale wystarczająco dużo, żeby wytrącić z równowagi Dori i jej rodziców. Wynajęty van stoi na podjeździe, tyłem do garażu i prawdopodobnie jest już załadowany. Rodzice odwożą ją jutro na północ, do Berkeley, ja nie zostałem zaproszony.

– Zawsze planowali, że to oni odwiozą mnie do college’u, przeprowadzą do akademika, poznają moją współlokatorkę, zniosą łzawe pożegnanie – no, wiesz, to wszystko – tylko we troje – oznajmiła Dori.

Nie oczekuję, że będę obecny w każdej chwili jej życia, ale czuję się tak, jakbym z nimi rywalizował. Zadowalanie się drugim miejscem nie leży w mojej naturze, a lekceważenie życzeń rodziców nie leży w naturze Dori. W ostatnim okresie utrzymujemy stan jakiegoś pieprzonego kompromisu, który dotąd nieźle działał.

– Ufasz mi? – pytam, kiedy wychodzimy z frontowych drzwi jej domu. – Jak bardzo?

Dori podnosi na mnie oczy – podmalowane delikatniej niż podczas naszego poprzedniego wspólnego wyjścia. Dzisiaj nie ma tutaj jej przyjaciółek. Jej ubranie – blad różowa koszula z zapinanym na guziczki kołnierzykiem, szare sztruksy i zwyczajne mokasyny w nieokreślonym kolorze – jest mniej wypasione, a bardziej stosowne dla dziewczyny z sąsiedztwa niż poprzedni, (bez wątpienia pożyczony), strój. Ale podobnie jak w wypadku jej kolekcji ogromnych, kupowanych podczas akcji dobroczynnych podkoszulków kręci mnie świadomość, że to ja jestem facetem, który wie, co się kryje pod tym niepozornym przydzwiewkiem.

– Musisz pytać? – odpowiada.

– Ciągłe jeszcze nie przyzwyczałem się do tego.

– Ufam ci, Reid.

– Zamierzam trzymać cię za rękę w drodze do samochodu, co zostanie zinterpretowane – zresztą całkiem słusznie – jako świadome potwierdzenie naszego związku – mówię, tłumiąc poczucie winy z powodu tego, co przed nią zataiłem. – Postaraj się wygładzić tę drobną, wywołaną lękiem zmarszczkę na czole. Czy byłeś kiedyś na scenie? Brałaś udział w jakimś szkolnym przedstawieniu, skeczu, czymś w tym rodzaju?

Dori kiwa głową, zmarszczka na jej czole pogłębia się, a dolna warga jest już całkowicie wciągnięta do ust – niepodważalny znak niepokoju.

– Brałam udział w skeczach klasowych. Dlaczego pytasz?

– Nie panikuj, nie dam ci żadnej kwestii do wypowiedzenia. Postaraj się tylko wyglądać na szczęśliwą.

Zmarszczka na jej czole jeszcze się pogłębia.

– Jestem szczęśliwa.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Bardzo przekonujące przedstawienie, panno Cantrell. – Wygładzam

zmarszczkę palcem wskazującym, przesuwam nim po jej nosie i opuszkami palców delikatnie szczypię jej podbródek.

Powoli bierze oddech, zamyka oczy, a rysy jej twarzy odprężają się pod moim dotykiem.

Nagradzam ją pocałunkiem i gładzę kciukiem jej policzek.

– Doskonale. Utrzymaj tę zadowoloną minę, a później postaram się spełnić to, co obiecywał ten pocałunek.

Biorę ją za rękę i zanim zdąży się znowu zdenerwować, wychodzimy, by stawić czoło pierwszemu w jej życiu atakowi cholernych paparazzi. Wywrzaskują nasze imiona i zasypują nas gradem pytań.

– Reid, jesteście teraz z panną Cantrell w stałym związku? Od jak dawna jesteście razem? – Kamery warczą, błyskają flesze, rozjaśniając fioletowy zmierzch. Dori jeszcze nigdy nie ścisnęła mojej ręki tak mocno.

Upewniam się, czy drzwi z jej strony są starannie zamknięte, i obchodzę samochód dookoła, żeby dotrzeć do miejsca kierowcy. Błyskam uśmiechem w świetle fleszy – odwdzięczam się mediom, że dały nam dość miejsca, byśmy mogli dotrzeć z domu do samochodu.

– A co z Emmą Pierce? – woła jakiś głos. – Czy to znaczy, że masz to już za sobą? Przeszedłeś nad tym do porządku dziennego?

Kręcę głową i wybucham śmiechem. Rany, oni nigdy nie rezygnują.

Minęło już osiem miesięcy, odkąd przekazałem Emmę prosto w ramiona Grahama Douglasa. Kiedy spotkałem oboje w Vancouver ostatniej jesieni, byli odrażająco szczęśliwi – ale na ich widok pobiegłem myślami ku Dori, tej irytującej dziewczynie z programu Habitat, której nie spodziewałem się już nigdy w życiu spotkać.

Brooke: Zadzwoń do mnie. Mam nowiny.

Ja: Randkuję. Zadzwonię jutro.

Brooke: „Randkujesz”? Tak to teraz nazywasz?

Ja: Zakazany temat.

Brooke: Dobrze. Pogadamy jutro.

Rozdział 8

Dori

Reid stara się namówić mnie, żebym się przespała, ale wsuwam stopy w swoje mokasyny ze sztucznej skóry, więc narzuca na siebie pochłapaną farbą kurtkę z kapturem od Ralpha Laurena.

– Miałaś ją na sobie podczas programu Habitat w zeszłym tygodniu?

Spogląda w dół i wzrusza ramionami.

– Nie. Taka już jest.

– Huh – mruczę. – Więc to jest zrobione specjalnie? W takim razie podejrzewam, że znaczna część mojej garderoby jest bardziej hipsterska niż podejrzewałam. – Wyśmiewam się, że noszę mniej wyszargane ciuchy niż on.

Cieszę się, że wyjeżdżam dzisiaj z miasta przynajmniej z jednego powodu – bo Kayla i Aimee zabiłyby mnie niechybnie po obejrzeniu na zdjęciach, w co się wczoraj wieczorem ubrałam. Obie przyznają, że śledzą teraz Reida online, podejrzewam jednak, że polowały na wszelkie plotki na jego temat, zanim jeszcze rozwalił swój samochód i wkroczył chwiejnym krokiem do mojego skromnego kręgu towarzyskiego. Będą wstrząśnięte, kiedy na własne oczy zobaczą, że znowu włożyłam swoje bure, bezkształtne łachy, choć kilka dni temu ostrzegały mnie, abym nigdy nie spotykała się z Reidem we własnych ciuchach.

Ale jakoś nigdy nie powiedziały mi, co właściwie miałabym nosić, skoro nie to, co mam w szafie.

Reid podnosi mnie ze swojego łóżka i otacza ramionami.

– Nie chcę jeszcze cię oddać.

Przesuwam palcem po ostrych, dużych, metalowych zębach suwaka jego kurtki.

– Ale my już – no, wiesz. Dwa razy. – W odpowiedzi obejmuje mnie jeszcze mocniej i trąca nosem moją twarz z cichym „hmm”. Zapomnijcie, co ludzie mówią o seksie – uważam, że seks przed rozstaniem nie cieszy się takim uznaniem, na jakie zasługuje. – Gdybym została, to pewnie i tak poszlibyśmy spać.

– A to byłoby złe, ponieważ...?

Przyciskam twarz do jego piersi i wdycham zapach Reida. Niczego nie pragnę bardziej, niż zrzucić z nóg buty i wskoczyć z powrotem do jego łóżka.

– To moja ostatnia noc w domu, przynajmniej na pewien czas. A na dodatek tata obiecał zrobić rano moje ulubione śniadanie – wafle bananowo-orzechowe.

Reid obejmuje palcami mój nadgarstek, odsuwa mankiet koszuli i całuje miejsce, w którym bije puls.

– Mogę odwieźć cię do domu w porze śniadania – szepcze.

Opuszczam wzrok i przełykam dławiącą w gardle gulę.

– Będzie mi ciebie brakowało.

– Wcale nie – odpowiada. Podnoszę wzrok i przestaję ukrywać swój żal. Reid wzdycha. – Boże, Dori. Nie będzie ci mnie brakowało, bo zamierzam odwiedzać cię tak często, jak to tylko możliwe, albo ściągać cię tutaj samolotem. Premiera *Zabójstwa z litości* jest planowana tuż przed samymi Walentynkami. Chcę, żebyś poszła ze mną.

Prawie zapomniałam o romantycznym filmie akcji, który będzie promował z Chelsea Radin w przyszłym miesiącu. Dzięki Bogu, w ubiegłym tygodniu poznałam i polubiłam Chelsea i jej męża Chada. Ale i tak nie mogę patrzeć na niektóre fotosy Reida z Chelsea w scenach miłosnych. Nie wiem, jak wytrzymam oglądanie tych scen na ekranie. Najchętniej zapytałabym Chada, jak powstrzymuje się od wdeptania w ziemię aktorów występujących z jego żoną w takich scenach.

– W dzień powszedni? Musiałabym opuścić wszystkie wykłady w tym dniu, Reid, a to chyba nie najlepszy pomysł na samym początku semestru.

Reid jęczy.

– Skąd mogłem wiedzieć, że okażesz się tak przykładną studentką? Założę się, że w szkole średniej też miałaś same A.

– Nie, nie miałam. – Pytająco unosi brew, więc wyznaję. – Musiałam ciągle się uczyć, żeby mieć dobre oceny. Nauka nowych rzeczy nie przychodzi mi z taką łatwością jak innym, wkuwanie również niewiele daje. Przeważnie miałam A, ale dostałam też kilka B, oraz dwie C.

– O, nie! – kpi Reid. – Aż dwie? Chyba będziemy musieli zerwać. A z jakich przedmiotów dostałaś takie fatalne oceny?

– Z geometrii i biologii. W pierwszej klasie.

Po tym, jak Colin mnie rzucił i przeprowadziłam aborcję. Kiedy robiło mi się niedobrze na samą myśl o pójściu do szkoły i codziennym widywaniu go. Kiedy popadłam w tak głęboką depresję, że tylko Deb była w stanie do mnie dotrzeć.

Jego twarz pociemniała.

– W pierwszej klasie, w semestrze wiosennym.

Kiwam głową, a on obejmuje mnie mocniej.

Jeszcze przed świtem tata wchodzi z kawą do mojego pokoju.

– Wstawaj, śpiochu – mówi, stawia kubek na nocnym stoliku i delikatnie potrząsa mnie za ramię.

Wydaję nieartykułowany pomruk, bo zdążyłam złapać tylko cztery godziny snu po tym, jak Reid odwiózł mnie do domu. Chciał odprowadzić mnie do drzwi, ale prosiłam, by tego nie robił, bo to by za bardzo przypominało nasze ostateczne rozstanie – a przynajmniej tak nam się wówczas wydawało – przed moim

wyjazdem na misję do Ekwadoru. Przed wypadkiem Deb. Zanim się zagubiłam, zdołowana utratą siostry i wiary. Nie zaczęłam jeszcze odbijać się od dna, kiedy Reid mnie znalazł.

Całowaliśmy się na do widzenia w jego samochodzie przez bite pół godziny, zanim zmusiłam się do powrotu do domu. Pomachałam mu ręką, wśliznęłam się do ciemnego holu i gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, po mojej twarzy zaczęły płynąć łzy. Skradając się po schodach – ostatnim, czego potrzebowałam, było obudzenie mamy – szydziłam z siebie i swojej śmieszności. Przecież zobaczę go znowu za tydzień czy dwa. Najwyżej trzy.

Tata przysiada na skraju mojego łóżka i popija swoją kawę, a ja sięgam po swoją.

– Gotowa na długą, nudną, całodzienną jazdę z milionem psikusów, jakie może nam spłatać wynajęta furgonetka w drodze do twojego nowego mieszkania w akademiku?

– Uch. Tato, czasami twoja skłonność do prawdomówności jest mniej pożądana niż zwykle.

Śmieje się.

– Już niedługo sama się przekonasz, jak tylko wstaniemy o piątej. Przed nami długie godziny na drodze, która nie przypomina scenicznych arterii. Aczkolwiek szczęście ci dopisało i możesz liczyć na moje światłe towarzystwo! A jeśli jesteś prawdziwym dzieckiem szczęścia, to dostarczysz mi natchnienia do niedzielnego nabożeństwa. Waham się pomiędzy opowieścią o Hiobie a historią Anny nieustająco wznoszącej do Boga błagania o syna.

Uchylam jedną powiekę.

– O, Boże! Tato, co za ponuractwa?

– Obie dobrze się skończyły – mówi tata i wzrusza ramionami.

– Jasne, ale najpierw przez całe życie cierpieli i modlili się o łaskę, nieosiągalną bez cudu. – Nie czekając na jego odpowiedź, zmieniłam temat na taki, którego oboje unikaliśmy. – A więc mama poprowadzi nasz samochód, a ja pojedę z tobą wozem bagażowym? Nadal gniewa się na mnie z powodu Reida?

Tata wbija wzrok w swój kubek.

– Ona nie gniewa się, Dori. Ona się martwi.

– Kiedy się o kogoś martwię, to nie przestaję się do niego odzywać – ripostuję.

Tata kiwa głową i nie odpowiada, widzę, że zgadza się ze mną w tej sprawie, przynajmniej w tej jednej. Nie bierze w ogóle pod uwagę możliwości zrezygnowania ze mnie, nawet jeśli uważa, że podejmuję niewłaściwe decyzje. Nie naciskam go bardziej, bo moi rodzice rzadko nie zgadzają się ze sobą, a ja nie chcę być przyczyną ich kłótni. Ja tylko chcę żyć własnym życiem. Mama albo zmieni zdanie, albo nie. I jeśli ktoś może mieć na to jakikolwiek wpływ, to tylko tata.

Reid

Ja: Zadzwoń, kiedy będziesz gotowa przekazać mi nowiny. Idę na spotkanie z Georgem.

Brooke: Daj mi dziesięć minut.

Brooke nie traci czasu na powitalne uprzejmości, kiedy odbieram telefon – co nie znaczy, że w ciągu ostatnich pięciu lat choćby raz odnosiliśmy się do siebie uprzejmie.

– Wczoraj widziałam się z adwokatem.

Dziwne. Myślałem, że jestem psychicznie przygotowany do tej rozmowy. Myliłem się.

– Zatrudniłaś już adwokata? Jezu, co ty wyprawiasz, Brooke?

– Występuję o adopcję.

O mało nie wjeżdżam w kuper małego klasycznego kabrioletu jadącego przede mną, hamulce ferrari dosłownie w ostatniej chwili, z piskiem opon zatrzymują samochód, a ja lecę do przodu. Kierowca odwraca się i pokazuje mi środkowy palec. Zaciskam obie ręce na kierownicy, żeby nie zrewanżować mu się tym samym.

Spodziewałem się, że Brooke zastrzeli mnie dzisiaj jakimś zwariowanym pomysłem, wyobrażałem sobie, co mogła zastać w Austin i obawiałem się, że podjęła jakieś absurdalne działania – ale to przekraczało moje najgorsze przewidywania.

– Mój Boże! Brooke! Nie możesz być matką dla tego dziecka...

– A dlaczego nie, do cholery? – odpowiada. – Jestem niezależna finansowo. Mogę zapewnić mu wszystko, czego potrzebuje. A tak na marginesie, ja jestem jego matką.

Zwariowała, choć lepiej jej o tym nie mówić, bo nic dobrego z tego nie wyniknie.

Logiczna argumentacja? Warto spróbować.

– Dzieci potrzebują nie tylko więzów krwi i pieniędzy, potrzebują uwagi. I najlepiej dwojga rodziców. Rodziny. Potrzebują kogoś, kto będzie przy nich przez cały czas.

– No, co ty powiesz – uwagi? Rodziny? Takiej, jaką my oboje mieliśmy? Ja mam zdecydowanie więcej rodziców niż potrzeba, ale większość z nich jest do dupy. A twój są tak niezorientowani w twoich sprawach, że pozwolili ci niemal się zabić i to niejednokrotnie.

Punkt dla niej, do licha, choć wolałbym wepchnąć ojca pod autobus niż obwiniać mamę. Ona po cichutku znika niemal każdego popołudnia na jakieś

półtorej godziny, ale od dwóch miesięcy nie widziałem, żeby wypła choć kropelkę. Podejrzewam, że chodzi na mitingi AA, jak zasugerowała Dori, ale nie zapytałem jej o to i nie zamierzam tego robić.

– Masz rację, jako rodzice są kompletnie do dupy. A jednak sądzisz, że poradzisz sobie lepiej od nich? W twoim wieku? Z twoją skłonnością do bankietowania i pieprzenia się z kim popadnie?

– Pieprz się, Reid, do cholery! Ty nie masz prawa prawić mi kazań na temat pieprzenia się z kim popadnie...

– Nie wspominając już o twoim języku. I zanim odwrócisz ten zarzut, pozwól sobie przypomnieć, że ja nie oświadczam, iż chcę wychowywać dziecko. I kompletnie mnie nie obchodzi, z kim sypiasz, bo...

– Imprezuję, żeby się nie nudzić. Ty nigdy tego nie robiłeś? – Cholernie dobrze wie, że robiłem to samo. – Jesteśmy wolnymi, młodymi celebrytami. Od nas oczekuje się udziału w rozmaitych imprezach. To właściwie część strategii PR. Nigdy mi na tym nie zależało, rzucę to z prawdziwą radością. Moja machina promocyjna będzie po prostu musiała zmienić bieg. A swoją drogą, moje życie seksualne jest mocno przereklamowane, choć to nie twoja sprawa. Jestem znacznie bardziej wybredna, niż przedstawiają to media.

W tym, co mówi Brooke, jest sporo sensu i widać, że wszystko dobrze przemyślała – co jest jeszcze bardziej niepokojące.

– Okej, ale musisz przyznać, że wychowywanie dziecka będzie kolidowało z twoim życiem towarzyskim, niezależnie od jego formy, nie wspominając już o kręceniu filmów.

– Czyżby? Wiadomość z ostatniej chwili: mnóstwo aktorów wychowuje dzieci.

– Ale nie w wieku dwudziestu lat i nie samotnie.

Brooke milczy przez chwilę i już mi się wydaje, że będzie rozsądna. Ale nie.

– Za trzy miesiące będę miała dwadzieścia jeden lat, nie jestem bez grosza i nie jestem pozbawiona wsparcia. A co ważniejsze, przeoczyłeś pewną sprawę podczas tej rozmowy. Ja nie próbuję cię przekonać do słuszności swoich poczynań i kwalifikacji rodzicielskich, nie proszę o zgodę. Ja cię tylko informuję. Jeśli wolisz nie być informowany, to służę. To bardzo proste.

Cholera.

– Nie, chcę wiedzieć. To znaczy, on jest... jest mój, tak? Jezusie. – Moje serce bije chyba dwa razy szybciej podczas tej rozmowy. – Brooke, ja nikomu o nim nie powiedziałem.

– Nie żartuj.

– Naprawdę nikomu. Moi rodzice nie wiedzą. George nie wie. John nie wie. Boże... Moja dziewczyna nie wie.

Gdybym nie manewrował akurat samochodem w korkach LA, zrobiłbym

sobie pięć sekund przerwy na walenie swoim głupim łbem w kierownicę. W trakcie tej wyliczanki.

– Więc to prawda, co widziałam dzisiaj online? Ty masz dziewczynę. I to nie żadną celebrytkę, tylko córkę pastora? Którą poznałeś podczas nakazanej przez sąd pracy społecznej? Byłam pewna, że to wszystko ściema, wymyślona przez jakiegoś chytrego PR-owca, żeby przesłonić twoją ostatnią wpadkę z paleniem trawki i oskarżeniem o jazdę pod wpływem.

– Żadna ściema. To prawda.

– Jezu! Ja nie... głos mi odjęło. Naprawdę udało ci się mnie zaszokować.

– I nawzajem. Ta zwariowana rozmowa jest kompletnie szokująca. Ty chcesz być czyjaś matką, a ja chcę być czyimś chłopakiem. – Nie jestem w stanie powstrzymać się od śmiechu, Brooke dołącza do mnie i wkrótce oboje chichoczymy jak szaleni, i nie możemy przestać. – Przebyliśmy długą drogę, Brooke.

– Tak – przyznaje cicho. – To prawda.

– I co teraz?

Bierze głęboki oddech, a potem odpowiada:

– Już ci to raz powiedziałam i mówiłam poważnie: zamierzam wystąpić o Rivera jako swojego syna, ale nie zamierzam ujawniać, kim jest jego ojciec. Więc jeśli chcesz, możesz zachować to w tajemnicy.

– River? Tak ma na imię? Czy nadałaś mu imię, zanim... no, wiesz...

– Nie. Imię wybrali mu ci ludzie, którzy go adoptowali. Nie wiem, dlaczego akurat takie. Może znali moje imię i uznali, że *River* pasuje. Brook – strumień i River – rzeka. A może dostał imię po kimś. Albo ze względu na kolor oczu.

– Ma niebieskie oczy? To właściwie nic zaskakującego u dziecka, które spłodziliśmy my dwoje. – Nadal nie mieści mi się to w głowie.

– Jego oczy nie są po prostu niebieskie, Reid – on ma twoje oczy. Wygląda zupełnie jak ty na zdjęciach, które twoja mama ustawiła w pokoju rodzinnym, tych na dziecięcym fortepianie, na którym nikt nigdy nie grał.

Ogarnia mnie bezsensowna ciekawość, chcę zobaczyć, jak on wygląda.

Brooke zdaje się czytać w moich myślach.

– Bethany dała mi jego fotografię, ale mogę ją zeskanować i przesłać ci, jeśli chcesz.

– Brooke, jesteś pewna? Wiesz, co robisz? Z tego, co słyszę, on ma za sobą trudne chwile. Może chcesz dobrze, ale...

– Jestem pewna. Prześlę ci zdjęcie za kilka minut. Poproszę Kathryn, żeby je zeskanowała.

– A jak długo potrwa, zanim go odzyskasz?

– Adwokat mówi, że cztery do sześciu miesięcy, zanim będę mogła choćby go dotknąć.

– Co?

– Właśnie. W końcu ktoś reaguje tak jak ja. O mało się nie zesrałam.

Nadal wydaje mi się to kompletnie nierealne.

– Jak to się odbędzie? Musisz wrócić do LA, żeby nakręcić serial, tak?

– Nie wiem. Sąd w Teksasie prawdopodobnie nakaże sprawdzenie moich warunków mieszkaniowych, co oznacza, że powinnam mieć tutaj rezydencję. Muszę pogadać z Kathryn i Glennem. Będę zmuszona kursować w jedną i drugą stronę aż do końca procesu adopcyjnego, ale po prostu nie mogę go tutaj zostawić. Nie mogę wrócić do dawnego życia, wiedząc, że on tu jest beze mnie.

– Ale jeżeli nie możesz go widywać, to jaki ma sens pozostawanie w Austin? Brooke wzdycha.

– Modlę się o cud.

Wizja Brooke modlącej się o cokolwiek nie przystaje do tego wszystkiego, co o niej wiem.

W piętnaście minut później dostaję przez telefon zdjęcie. Akurat przyjechałem pod budynek mieszczący biuro George'a i kiedy pojawiło się na wyświetlaczu, o mało nie wpadłem na szklane drzwi.

– Uważaj, chłopie! – wrzeszczy facet z FedEx i wrywa mnie ze stuporu dosłownie w ostatnim momencie.

Wchodzę do budynku mojego menagera i stoję jak wmurowany na samym środku atrium ze szkła i chromu. Wpatrując się w zdjęcie i wiem jedno. To wszystko było nierzeczywiste. On był nierzeczywisty. Nic nie było rzeczywiste – aż do tej chwili.

Rozdział 9

Brooke

Gram od sześciu lat, a jestem rozpoznawalna od pierwszego sezonu serialu *Życie to plaża*, który stał się hitem małego ekranu. Dlatego reporterzy plotkarskich mediów zasypali mnie chamskimi pytaniami, gdy tylko spróbowałam wysiąść z samochodu przed frontowymi drzwiami swojego domu. Dociekliwi autorzy kolumn towarzyskich przeprowadzali ze mną wywiady na temat moich związków z gwiazdoram, z którymi grałam w filmach, i kolegami z serialu telewizyjnego.

Innymi słowy, jestem przyzwyczajona do tego, że obcy ludzie wypytują mnie o takie rzeczy, że aż się prosi, aby im przyłożyć. Ale nawet najbardziej niedyskretne dociekania dziennikarzy nie wytrzymują porównania z osiemnastostronicowym kwestionariuszem, jaki właśnie dostałam do wypełnienia od opiekunki społecznej.

Kathryn, czytająca to ponad moim ramieniem, wzdycha.

– Norman mówił, że będą zadawali niedyskretne pytania, ale eleganckie.

Tematem dociekań władz stanowych jest moje życie seksualne i jego historia – kiedy był pierwszy raz, ilu miałam od tego czasu partnerów, rodzaj uprawianego seksu, częstotliwość, zabezpieczenia, antykoncepcja, choroby przenoszone drogą płciową... i wszystko, co czuję, myślę i w co wierzę w odniesieniu do powyższych tematów.

– Ilu miałam partnerów? Czy oni są poważni? Mam zgadywać? Zaokrąglić w górę? Czy w dół?

– Brooke – zaczyna Kathryn – nie musisz ...

– Właśnie, że muszę. – Obejmuję głowę rękami, mam ochotę krzyczeć. Albo załamać się i zacząć płakać. Wszystkie autodestrukcyjne decyzje, jakie podejmowałam w życiu – a wiele z nich wygląda tak źle tylko dlatego, że jestem kobietą – stają mi przed oczami, tak że słyszę w uszach szept, że wyjdę na osobę równie nieodpowiednią jak ta naćpana metamfetaminą idiotka, która miała szansę być jego matką i ją zmarnowała. Że nikt przy zdrowych zmysłach nie da mi dziecka na wychowanie, nawet mojego własnego.

– Właśnie, że muszę – powtarzam, już mniej zgryźliwie.

Kathryn ściska moją rękę i wstaje, żeby zaparzyć dzbanek świeżej kawy, a ja zostaję przy stole. Kiwam głową i przytykam nasady obu dłoni do oczu tak mocno, żeby nie docierał do nich najmniejszy promyk światła.

Ten dom od wielu lat jest dla mnie azylem. Stoi o kwadrans drogi na zachód od Austin, wśród porośniętych krzakami wzgórz. Domy w tej okolicy są duże, wznoszone w znacznej odległości od siebie z miejscowych surowców: kamienia

i drewna. Nie dominują nad krajobrazem, raczej wtapiają się idealnie w przyrodę, jakby wyrosły z tej ziemi, podobnie jak szałwia i pustynne wierzby.

Dzięki dochodzącym do moich uszu dźwiękom, nawet z zamkniętymi oczami „widzę” znajome ruchy Kathryn: bierze kawę z puszki z miedzianym wieczkiem, napełnia zbiornik ekspresu, naciska guzik start. Wyjmuje kubki z jednej z szafek z przeszklonymi drzwiczkami i stawia je na pretensjonalnym blacie udekorowanym wtopionymi w beton kawałkami porcelany i szkła butelkowego. Poza kawą przyniesie mi domowej roboty ciasteczka owsiane albo z orzeszkami makadamii, które zrzucę podczas spaceru do wąskiego, krętego strumyka, stanowiącego granicę posiadłości.

Kathryn i Glenn zgodzili się, żebym podała ich adres jako swoją drugą rezydencję, więc część prac domowych będę wykonywała tutaj. Oznacza to jednak, że będą musieli poddać się takim samym testom, jakie muszę przeprowadzić ja: badaniom na obecność narkotyków, sprawdzeniu przeszłości kryminalnej, ocenie charakteru. Ich dom zostanie skontrolowany pod względem bezpieczeństwa od piwnic aż po dach. Zostaną również zweryfikowane szczepienia zwierząt domowych i ich historia behawioralna. Niewykluczone, że stan Teksas zainteresuje się też ich przeszłością seksualną, alergiami oraz rodzajem ulubionego papieru toaletowego.

Moja agentka dzwoni, kiedy odbywam spacer do strumyka, żeby spalić kalorie z ciasteczek i o mało nie wciskam „ignoruj”. Nie chcę jeszcze informować jej o tym, co zamierzam zrobić i nie jest to zapewne jedyna rzecz, którą w tym tygodniu będę musiała zrobić wbrew swoim chęciom.

– Brooke! Siedzisz? Mam nadzieję, że siedzisz. Byle nie za kierownicą. Nie prowadzisz samochodu, prawda? Tylko szczerze.

Od czasu, gdy jeden z jej klientów rozwalił dżipa – kiedy poinformowała go telefonicznie o ważnym przesłuchaniu, łamiąc sobie rzepekę w kolanie i rozcinając czoło do kości – wzdraga się przed przekazywaniem klientom jakichkolwiek wiadomości, kiedy siedzą za kierownicą.

– Nie prowadzę, Janelle. Co jest?

– Okej, to dobrze. Po pierwsze, odebrałam dziś rano telefon od Stana.

Stan to producent wykonawczy serialu *Życie to plaża*. Kiedy spotykamy się publicznie, jest pełnym profesjonalistą, choć niezbyt entuzjastycznie przyjął moją rezygnację z udziału w serialu, gdy postanowiłam rozpocząć karierę filmową, i chyba wziął to do siebie – czego nie zrobił, kiedy partnerujący mi gwiazdor, Xavier, odszedł z tego samego powodu.

W przeciwieństwie do mojego filmu, *Szkolnej dumy*, debiut Xaviera – dramatyczny pod każdym względem – zrobił klapę, sflaczał jak pstrąg w ostatnim

stadium agonii. Mój były partner to napakowany przystojniak – ale poza tym kompletne zero. Idealny odtwórca roli faceta prowadzącego bar na plaży. Tyle że nie jest zdolny do zagrania bohatera, który myśli. Chodzą słuchy, że poprosił o szansę powrotu do poprzedniej roli.

– Och. Tak?

– To absolutna tajemnica, oczywiście – zastrzega agentka, a ja wydaję pomruk akceptacji. – Wystąpił z niezbyt zaskakującą propozycją przyjęcia cię z powrotem do finałowego odcinka tego sezonu. Udzieliłam mu mało entuzjastycznej odpowiedzi, bo – „sam rozumiesz, moja dziewczyna nakręciła jeden film, który odniósł sukces i kolejny, który wejdzie do kin w przyszłym miesiącu” prawda? A on na to – znowu: ani mru-mru na ten temat, Brooke, wiadomość nie do rozpowszechniania – że planują przyjęcie Xaviera do tego samego epizodu i haczyk w tym, że wy dwoje macie się zaangażować w coś, co dotychczas nie było koszer.

Nawiązywała do tego, że kiedy opuszczałam serial, byłam jeszcze niepełnoletnia, a bohater Xaviera prowadził bar. Każda scena, którą kręciliśmy razem, aż iskrzyła się od seksualnej chemii, ale scenarzyści nie mogli posunąć się dalej, żeby serial nie stracił charakteru programu rodzinnego. Teraz moja bohaterka skończyła wreszcie osiemnaście lat i mogła zgodnie z prawem wdać się w romans z dwudziestoparoletnim ogierem.

Z umiarem, oczywiście.

– To jeszcze nie wszystko! Siedzisz?

– Nie. – Idę przed siebie i odsuwam z drogi długie źdźbła suchej trawy kijem, który podniosłam z ziemi kilkadziesiąt kroków temu. Ten kij sprawia, że wracam myślami do Rivera, który na zdjęciu dłubał patykiem w ziemi. – Ale wszystko w porządku. Mów, proszę.

Słyszę już przed sobą bulgotanie strumyka na skraju posiadłości. Gdyby to było lato, rzuciłabym z nóg japonki. Teraz jednak otulam się swetrem z kapturem.

– No więc potem zadzwoniła Hillary. – Hillary, współlokatorka Janelle z czasu studiów, jest obecnie agentką prasową szefa jakiegoś studia i głównym źródłem plotek ze świata filmu dla Janelle. – Lada dzień możemy się spodziewać telefonu. Zostałaś wybrana do roli Moniki.

Staję jak wryta na szczycie stoku schodzącego do strumienia i nie mogę wykrztusić ani słowa. Tak strasznie chciałam dostać tę rolę, kiedy jesienią brałam udział w castingu. Dwukrotnie oddzwanianiano do mnie, ale w końcu przegrałam ze swą główną rywalką, która urodziła się w podwójnym czepku – jako córka matki-gwiazdy filmowej i ojca-gwiazdy rocka.

Trzy miesiące temu, kiedy się o tym dowiedziałam, powtarzałam sobie, że to tylko jeden film, że będą inne, ale tamten telefon Janelle odczułam jednak jak zatrzaśnięcie mi drzwi przed nosem. Albo karę wymierzoną przez najwyższą

instancję za któryś z rozlicznych grzechów.

Woda wolno płynąca w dole jest o wiele za zimna, żeby zamoczyć w niej stopy, ale temperatura w środkowym Teksasie rzadko spada tak bardzo, by strumyk zamarzał, choćby przy samym brzegu. Wkrótce będzie dość ciepło, by przedostać się na wielki płaski kamień sterczący na środku strumyka. Większą część swoich czternastych wakacji spędziłam na tej skale z nogami zwieszonymi w dół, przebierając palcami stóp w płytkiej, chłodnej wodzie i czytałam albo śniłam na jawie, a potem kładłam się na plecach i patrzyłam w ogromne lazurowe niebo prześwitujące pomiędzy gałęziami wiecznie zielonych dębów rosnących wzdłuż brzegów strumienia.

A potem mama powtórnie wyszła za mąż i przeprowadziłyśmy się do LA.

– Brooke? Jesteś tam? Lepiej, żebyś nie siedziała za kierownicą...

I oto teraz agentka proponuje mi rolę, do której się przygotowywałam, o której marzyłam, odkąd zdecydowałam się zostać gwiazdą filmową.

– Nie siedzę za kierownicą. Jestem po prostu zdezorientowana. Myślałam, że straciłam tę rolę, że dostała ją Caren...

– Tak, ale... cóż, Caren nie powinna jeździć na nartach po pijanemu. Złamała obie nogi i miednicę! – Janelle jest komicznie rozbawiona tym faktem; w końcu moja rywalka nie należy do jej klientów. – Przynajmniej do lata będzie w gipsie od pasa w dół, a potem czekają ją długie tygodnie rehabilitacji!

Wizja Caren w gipsie od pasa w dół jest taka smutna. Nieprawda.

– Wow, więc na pewno wchodzę do gry?

– Jeśli wierzyć Hillary, Caren miała nad tobą bardzo nieznaczną przewagę, to po pierwsze. Tak. Wchodzisz do gry. Muszę poczekać na oficjalny telefon, oczywiście, a potem odegram swoje własne niewielkie „przedstawienie”: udam szok i zaskoczenie. Z pewnością będą chcieli ustalić terminy kilku spotkań przed rozpoczęciem zdjęć w Australii.

– W Australii? – W głowie mi się nie mieści, że mogłam o tym zapomnieć. Ale myślałam, że już nie wchodzę w grę.

– To chyba żaden problem, prawda? Nic cię nie trzyma w LA, czy nawet w US.

Cóż, cholera jasna.

Dori

Po pierwszym tygodniu, kiedy łapałam orientację w sytuacji, poznawałam i witałam ludzi oraz przyzwyczajałam się do dzielenia pokoju z kimś obcym, jestem gotowa do rozpoczęcia wykładów. Przyjazd do kampusu w środku roku akademickiego sprawia, że – jak mi się zdaje – cały ten proces przebiega

spokojniej, bardziej kameralnie. Spodziewałam się, że ktoś mnie rozpozna na niedawno opublikowanych zdjęciach i zacznie wypytywać o mój związek z Reidem, ale, jak dotąd, nic z tych rzeczy. Kiedy Reid po raz pierwszy zjawi się w kampusie i zostanie rozpoznany, mój status osoby niezbyt interesującej będzie należał do przeszłości. Ale do tego czasu – wreszcie tutaj jestem, w Cal. I po raz pierwszy od dawna myślę o swojej przyszłości.

Moja współlokatorka, Shayma, jest spokojna. Kiedy słucha muzyki, uczy się albo ogląda klipy, czy video na komputerze, wkłada na uszy tłumiące zewnętrzne dźwięki słuchawki. Zorientowałam się wczoraj, do jakiego stopnia wygłuszały wszelkie hałasy, i było to ciężkie doświadczenie.

Po powrocie z nieformalnej pieszej wycieczki po Telegraph Avenue zastałam Shaymę przed laptopem, w słuchawkach. Zebrałam swoje rzeczy i poszłam wziąć prysznic do łazienki, którą dzielimy z czterema innymi dziewczynami. Po kilku minutach wróciłam i wyciągnęłam się na swoim wąskim łóżku, żeby po raz setny przejrzeć program studiów.

Żeby nie czuła się przeze mnie odrzucona, zapytałam, czy nie miałyby ochoty wybrać się ze mną i kilkoma poznanymi przeze mnie osobami na pizzę. Nie odpowiedziała. Zrozumiałam, że nie mogła mnie słyszeć, więc wstałam i poklepałam ją po ramieniu. A ona wrzasnęła tak, jakbym stała nad nią z nożem rzeźniczym w ręku i morderczym błyskiem w oku.

– Pąkle! – Odskoczyłam do tyłu z szeroko otwartymi oczami, a Shayma zerwała z głowy już i tak przekrzywione słuchawki.

– OMÓJBOŻE – wysapała, przyciskając ręką serce. – Nie wiedziałam, że jesteś w pokoju.

A potem obie podskoczyłyśmy jak oparzone, gdy ktoś cztery razy załomotał pięścią w drzwi.

– Wszystko u was w porządku? – zawołał męski głos.

Czerwona na twarzy otworzyłam drzwi, pod którymi stały dwie dziewczyny z sąsiedniego pokoju i dwóch chłopaków z następnego, jeden z kijem bejsbolowym w ręce.

– Tak, nic nam nie jest – powiedziałam z mocno bijącym sercem.

Żadne z tej czwórki nie wyglądało na przekonane, chłopak z bejsbolem uniósł brew i zajrzał w głąb pokoju. Shayma, z okazałymi słuchawkami pod brodą, kiwnęła głową.

– Ja, hmm, włączyłam video, a miałam bardzo głośno nastawiony dźwięk.

– Masz słuchawki – zauważył.

Skrzywiła się.

– Nie były podłączone.

– Całe szczęście, bo inaczej popękałyby ci bębenki. – Postukiwał kijem w wewnętrzną stronę dłoni, adrenalina bez wątplenia pulsowała nadal w jego

żyłach, kompletnie niepotrzebnie. – Okej, dobrze. Zachowujcie się trochę ciszej. Chyba że chcecie nas zaprosić. – Puścił do nas oko, zanim zamknęłam za nim drzwi.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziałam. – Myślałam, że widziałas, jak wróciłam i poszłam pod prysznic...

Potrząsnęła głową.

– Nie zauważyłam cię. Zupełnie nie przypominasz mojej poprzedniej współlokatorki. Wchodziła do pokoju jak stado słońi. Nie spotkałam dotąd osoby, która robiłaby tyle hałasu. – Wskazała na słuchawki i dodała: – Dlatego je mam. Bez nich nie słyszałabym kompletnie niczego, kiedy była w pobliżu. Nawet własnych myśli.

Roześmiałam się.

– No, ze mną nie powinnaś mieć takich problemów. Jestem raczej niezbyt uciążliwa.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Ani trochę. Ja też. Myślę, że będzie nam razem dobrze. – Zmrużyła oczy, nie przestając się uśmiechać, przez co jej twarz wydała się nieco spłaszczona, podobna do Muppetów. – Hmm. Powiedziałaś przed chwilą: „pąkle”?

Reid: Ostatnia szansa, żebyś przyjechała na premierę. Nie zamierzam cię błagać.

Ja: :(

Reid: Okej, okej, błagam. John uważa, że jest drugi w kolejności i byłoby fatalnie, gdyby miał rację.

Ja: A co z twoją mamą?

Reid: Hmm. Nie wiem, czy miałyby ochotę pójść.

Ja: Ja na jej miejscu miałabym ochotę!

Reid: To dlaczego nie chcesz pójść, będąc na swoim miejscu?

Ja: Już ci mówiłam, poszłabym bardzo chętnie, gdybym była gdzie indziej, ale nie chcę stracić zajęć. Przestań wywierać na mnie zły wpływ.

Reid: NIGDY.

Ja: *westchnienie*

Reid: Pomyślę o zaproszeniu jej. Zadzwoń później. Bądź pod telefonem.

Ja: Proszę mi nie mówić, co mam robić, panie Alexander.

Reid: Cięcie, cięcie, cięcie! Miałaś powiedzieć: „zmuś mnie”!

Ja: Zapomniałam swojej kwestii. Przepraszam.

Reid: Wybaczam ci. Jędza.

Ja: Chachacha. Nieprawda. Ależ z ciebie seksista.

Reid: W twoich ustach brzmi to frywolnie.

Ja: Jesteś niemożliwy.

Reid: Och, zaufaj mi. Jestem BARDZO możliwy. Bądź łaskawa odebrać mój telefon wieczorem, a udowodnię ci to, panno Cantrell.

Ja: To już lepiej.

– Gdzie dzisiaj jesteś? – Staram się nie podnosić głosu, choć Shayma ma znowu na uszach słuchawki i nie usłyszałyby ani jednego wypowiedanego przeze mnie słowa, nawet gdybym wyśpiewywała każdą swoją kwestię.

– W Nowym Jorku. Jutro mam wywiad w *Good Morning, America*.

Spoglądam na zegarek, dochodzi dwudziesta druga.

– A nie jest tam u ciebie bardzo późno?

– Tak, trzy godziny różnicy.

– O której będzie twój wywiad?

– Nie jestem pewien, na którą go przewidują, ale jedziemy do studia za mniej więcej cztery godziny.

– Za cztery godziny? A nie potrzebujesz snu dla urody?

– A potrzebuję? Czekaj, mam następny telefon. – Następuje pauza, w czasie której Reid sprawdza wyświetlacz. – Nic ważnego. Niech się nagra na pocztę głosową.

– To nie twoja mama, prawda?

– Nie – śmieje się Reid. – Przejmujesz się moją mamą, Dori? Boże, ale ty jesteś mądra. Nie, to tylko Brooke. – Chrząka. – Nic wielkiego. Mogę porozmawiać z nią jutro. Czy kiedyś tam.

– Brooke Cameron? Dlaczego ona do ciebie wydzwania? Czekaj. Wykreślam ostatnie zdanie. Zabrzmiało tak, jakbym była zazdrosna.

– Zazdrosna? Mrau. To mi się podoba – zapewnia Reid, a wołałabym, żeby tego nie robił. – Więc jutro zaczynają się wykłady? Z czego masz pierwszy?

Wdaję się w wyjaśnienia na temat planu zajęć: wprowadzenia do statystyki, psychologii, socjologii i antropologii kulturalnej. Sprawdziłam wymagania. Z angielskiego czytanie ze zrozumieniem, a jeśli chodzi o język obcy – to w zupełności wystarczą moje cztery lata nauki hiszpańskiego w połączeniu z prawie codziennym posługiwaniem się tym językiem podczas projektów socjalnych. Rozpoczynając semestr z opóźnieniem, nie zostałam tak bardzo w tyle, jak się obawiałam.

Tyle że w środku zastanawiam się ciągle, dlaczego Brooke Cameron wydzwania do Reida w środku nocy. Brooke to ten typ dziewczyny, z jaką łączyłam Reida w wyobraźni kilka miesięcy temu, kiedy pojawił się w moim życiu, podczas programu Habitat – wywyższająca się, nieznośna i och-aż-nazbyt-piękna. Fakt, że ze sobą chodzili i... wolę nawet nie myśleć, co jeszcze robili, sprawia, że trudno mi ignorować obawy.

Jak mogłabyś rywalizować z taką dziewczyną, gdyby go zapragnęła?

– Tęsknię za tobą – mówi Reid, a ja odpycham od siebie poczucie niepewności.

– Ja też za tobą tęsknię.

Rozdział 10

River

Nie pamiętam twarzy mamy. Pamiętam jej kawałki, ale nie całość. Czasami mi się śni i wiem, że we śnie ją widzę, ale po przebudzeniu już nie pamiętam. Nawet kiedy najmocniej zaciskam powieki i bardzo się staram.

Tatusia nie pamiętam zupełnie.

Harry mówił, że wcale nie miałem tatusia, że jestem bękartem. Powtarzał mi to wiele razy. Nie wiem, co znaczy bękart, ale na pewno coś złego, bo oczy Wendy zrobiły się wielkie, kiedy Sean złapał mnie za koszulę i tak mnie nazwał.

Teraz musi długo siedzieć za karę.

Czuję się paskudnie, bo zabrałem Seanowi rulon dropsów owocowych i schowałem do swojej szuflady z pizamami. Nie wiem, skąd on wiedział, że ja to zrobiłem, ale wiedział.

– Ale on ukradł moje dropsy wiśniowe – mówi do Wendy.

A ona potrząsa głową.

– To mogłeś przyjść z tym do mnie. Wiesz, że ten wyraz jest na Liście Słów Zakazanych, a – co więcej – w tym domu nie wolno ci wymierzać samemu sprawiedliwości.

– Huh? – mruczy Sean.

Ona znowu potrząsa głową i wzdycha, jakby była zmęczona, a potem bierze go za rękę i sadza na kuchennym krześle. Nastawia minutnik na sześć minut, bo Sean ma sześć lat, więc jego kara będzie trwała tyle samo. Jego twarz robi się czerwona jak te wiśniowe dropsy, a kiedy na mnie patrzy, w oczach ma złość.

– River. Chodź ze mną – mówi Wendy i idę za nią do sypialni. Staje na środku pokoju i otwiera dłoń. Podchodzę do szuflady, wyciągam dropsy Seana i podaję jej. Nierozpakowane. Cieszę się, że ich nie zjadłem.

Wendy chowa dropsy do kieszeni spódnicy i bierze mnie za rękę. Siadamy na moim łóżku.

Jej usta zaciskają się w równą linię, jakby chciały zatrzymać słowa, które chcą uciec. Chociaż nie trzeba zaciskać ust, żeby zatrzymać słowa. Kiedyś otworzyłem usta na całą szerokość, żeby zobaczyć, czy wyfruną z nich słowa, ale nic nie wyfrunęło. Jak słowa nie chcą wydostać się na zewnątrz, to tego nie robią. Nie rozumiem, że ludzie coś mówią, a potem dodają: „Nie chciałem tego powiedzieć”. Słowa nie wypadają same. Trzeba je z siebie wyrzucić. A czasami nie można ich z siebie wyrzucić, nawet jeśli się tego chce.

Doliczyłem w głowie do dziewięciu, zanim Wendy się odezwała.

– River, nie możesz zabierać niczego innym ludziom. Źle robisz, chowając

własne jedzenie, ale jeszcze gorzej jest zabierać jedzenie komuś i chować je. Rozumiesz?

Łzy napływają mi do oczu, kiwam głową i wbijam wzrok w swoje kolana, łzy zaczynają płynąć mi po buzi. Wycieram je rękawem podkoszulka i przygryzam dolną wargę. Ma teraz smak łez. Słony.

– To dobrze. – Poklepuje moje kolano i patrzy na zegarek. – Siedź tutaj, aż usłyszysz dzwonek minutnika Seana. Masz karę. Cztery minuty.

Chcę ją zapytać, co to znaczy bękart. Może bękart to ktoś, kto kradnie cudze jedzenie. Albo po prostu ktoś, kogo się nienawidzi.

Nienawidzę Harry'ego i chciałbym nazwać go wyrazem z Listy Słów Zakazanych. Pamiętam jego twarz, chociaż wolałbym zapomnieć. Pamiętam jego twarz, a nie pamiętam twarzy mamy. Harry to bękart, myślę. Chciałbym go zapomnieć.

Reid

Wjeżdżając windą do biura mojego managera, toczyłem walkę z samym sobą. Czy powinienem mu powiedzieć o Brooke, dziecku i adopcji, czy nie? Od początku zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli istnieje ryzyko, iż moje nieślubne ojcostwo wyjdzie na jaw, to George musi o tym wiedzieć, aby móc zapobiec zniszczeniu mojej kariery.

Ani przez chwilę nie obawiałem się, że to, co mu powiem, wyjdzie poza cztery ściany jego biura – ono jest jak konfesjonał, tylko nie wywołuje takiej klaustrofobii. A jednak żenujące wyznania wobec George'a – czy rodziców – ograniczałem zawsze do niezbędnego minimum. Sporo grzeszków udało mi się zachować przed nimi w tajemnicy, ale posiadanie czteroletniego syna przyćmiewa wszystkie.

Wszedłem, nadal niezdecydowany, i zastałem swojego managera w rzadkim u niego stanie roztargnienia. Nie zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, żeby odkryć, co przed nim ukrywam, choć zdaję sobie sprawę, że odór tajemnicy unosił się nade mną jak zapach zbyt hojnie użytej wody kolońskiej. Kiedy uważał, zawsze był w stanie to poznać. A teraz siedział tylko i przyglądał mi się cierpliwie, czekając na wyjaśnienia.

Z przykrością uświadomiłem sobie, że zaczął mi ufać.

I mogłem tylko pomyśleć: „Cholera, co za fatalny moment na to gównno.”

George rozwodził się szczegółowo nad pomysłami tej zołzy z działu promocji *Zabójstwa z Litości* (zabójcza promocja jest dobra, bo jeśli nikt nie chce z tobą gadać, twój film pograży się w niebycie), a moja ręka, schowana w przedniej kieszeni dzinsów, ścisnęła telefon jak granat albo sztabkę złota. Niech mnie licho,

jeśli Brooke nie była królową mącących w głowie MMS-ów. Próbowałem się skoncentrować na monotonnym wywodzie managera, który zapowiadał trzy tygodnie czekającej mnie i Chelsea Radin intensywnej akcji promocyjnej, a w duchu modliłem się o to, aby coś odwiodło Brooke od jej szalonej decyzji.

Rozmawiałem z George'em o Dori, oczywiście, bo widział strony plotkarskie. Potwierdziłem, że tak, naprawdę się spotykamy i tak, to sprawa poważna. Przez chwilę gapił się na mnie, jakby czekał na stwierdzenie, że to niezbyt zabawny żart, a potem jego wargi drgnęły.

– Huh.

Poinformowałem go, że zaprosiłem ją na premierę, ale pięć minut temu, zgodnie z sugestią Dori, zawiadomiłem go telefonicznie, że zamiast niej zabieram mamę.

Przez chwilę panowała cisza, a potem zadrwił:

– Kim jest ta dziewczyna i co ona zrobiła z Reidem Alexandrem?

– Cha, cha – odpowiedziałem.

Stoję w hotelowej łazience po wzięciu prysznic, z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Maszynka do golenia jest nastawiona na efekt jednodniowego zarostu. Czekam, aż z lustra zniknie para i spoglądam na przemian na własne odbicie, które wyłania się stopniowo z tafli coraz mniej zaparowanego lustra, jak obraz na kliszy w ciemni fotograficznej, i na zdjęcie dziecka, przysłane mi na komórkę przez Brooke.

Niektóre dzieci nie są podobne do swoich ojców. Ja na przykład w niczym nie przypominam Marka Alexandra. Ale ten chłopczyk jest do mnie tak podobny jak John do swojego ojca, Mrocznego Lorda, dyrektora finansowego – takie podobieństwo nie może być dziełem przypadku, wskazuje na związki rodzinne.

Wpatruję się w twarz dziecka i porównuję ją z własną. Podobny owal twarzy. Taki sam kolor oczu. Identyczne usta – pełne, niemal kobiece. W dzieciństwie stoczyłem niejedną bójkę z powodu tych dziewczęcych ust. Do czasu, kiedy w wieku mniej więcej jedenastu lat odkryłem, że dziewczętom absolutnie nie przeszkadzają takie pełne wargi. Wręcz przeciwnie.

Zastanawiam się, czy ktoś mu o tym powie.

Na ustach Rivera nie ma uśmiechu. Ciekawe, czy on kiedykolwiek się śmieje. Jego proste, jasne brwi są ledwie widoczne, ale kształtem przypominają moje. Tylko że moje wyrażają pewność siebie, a nawet próżność, a on po prostu wygląda poważnie.

Jakby przywołany moimi myślami pojawia się kolejny SMS Brooke. Nie odebrałem jej telefonu podczas rozmowy z Dori i nie oddzwoniłem do niej później. Zadzwoiła ponownie dziś rano – i znowu to zignorowałem. Nie zostawiła

wiadomości w poczcie głosowej ani wtedy, ani dzisiaj.

Brooke: Muszę z tobą porozmawiać. Z nikim innym nie mogę o tym gadać. Proszę.

Niechętnie oddzwaniam, wyobrażam sobie jakiś złowieszczy dźwięk w tle, przybierający na sile z każdym sygnałem, jak narastająca groźba.

– Dzięki, że dzwonisz – odbiera Brooke. – Ja nie... nie proszę cię o opinię, ani o radę. Muszę po prostu to z siebie wyrzucić, a ty musisz mnie wysłuchać.

Poważnie? Mam po prostu słuchać i zachować swoją opinię dla siebie? Czy kiedykolwiek zwrócono się do mnie z czymś takim?

– Brooke, nie możesz tak po prostu wyładować się na mnie i oczekiwać, że nie powiem ci, co o tym myślę.

Brooke milczy przez chwilę, a ja myślę, że zaraz rzuci ostro „zapomnij” i zerwie połączenie. Albo „pieprz się” i zerwie połączenie. Albo po prostu zerwie połączenie.

– Okej. Ale to nie znaczy, że zrobię – czy choćby wezmę pod uwagę – to, co powiesz.

– To dlaczego mówisz to mnie? A nie Kathryn czy...

– Bo to dotyczy kariery. Normalnie zadzwoniłabym do...

Grahama. Do tego przekłętego pierdoły. Załapałem i choć teraz jesteśmy niemal przyjaciółmi, no, z odrobiną dystansu – to trafia mnie jasna cholera.

– Okej, okej. Dobrze. – Przesuwam ręką po włosach. Fakt, że Brooke chce rozmawiać o jakimś kryzysie zawodowym, sprawia mi ulgę, choć to dziwne, że musi obgadać tę sprawę ze mną, a nie ze swoim managerem czy agentką. – Wal.

Brooke wydaje głębokie westchnienie i zaczyna opowiadać, że minionej jesieni o mało nie dostała głównej roli w *Papierowych oceanach* – filmie, o którym głośno w całym Hollywood, choć jeszcze nie został nakręcony. Jestem pod wrażeniem i autentycznie współczuję jej, że straciła tę rolę, w dodatku na rzecz Caren Castleberry, która ma w branży opinię jednej z najmniej utalentowanych, za to najbardziej ustosunkowanych idiotek.

– To przykre. Czy oni nie wiedzą, że do tej roli potrzeba kogoś, kto potrafi wyrazić cały wachlarz rozmaitych emocji? A ona ma właściwie tylko jeden wyraz twarzy. – Włączam maszynkę i zaczynam golić się w trybie przyspieszonym.

– Wiem. Gdyby robili zestawienie graficzne wyrażanych przez nią emocji, wystarczyłoby jedno zdjęcie. Z podpisem: „skamieniała”.

– A skoro już o niej mowa, czy ona nie złamała przypadkiem miednicy, jeżdżąc na nartach po pijaku?

– Tak. Połamała się kompletnie. Miednica i obie nogi, jak twierdzi moja agentka.

– Auć. To ją wyłączy na wiele tygodni, nie tylko z gry, z wielu dziedzin życia.

- Świntuch z ciebie, Reid. Jezu.
- Ja jej tylko współczuję!
- Brooke wypuszcza z płuc powietrze.
- Tak czy owak – ale to jest jeszcze ściśle tajne, bo nie mam tego na papierze – dostałam tę rolę.
- Wow. Cudownie. – Przypominam sobie jej: „nie proszę cię o opinię” i domyślam się, że to nie jest ten dylemat, którym chciała się ze mną podzielić. – To w czym problem?
- Zdjęcia zaczynają się w Australii. Latem.
- Ach. Chodzi o fatalny timing.
- Brooke, możesz już nigdy nie ustrzelić takiego filmu, takiej roli. Jeżeli chcesz, żeby twoja kariera się rozwiała, to nie masz wyboru.
- Widzisz, właśnie w tym rzecz. Ja mam wybór. I myślę, że muszę zrezygnować.
- Szczęka mi opada, golarka buczy w mojej dłoni.
- Zamierzasz zrezygnować? Z powodu... tego, co robisz w Austin? Nie istnieje żaden sposób, żeby uniknąć rezygnacji z tej roli?
- Ja go nie widzę. Muszę być tutaj. W Stanach. Mogę kursować pomiędzy LA a Austin tak często, jak trzeba, ale nie mogę adoptować dziecka, a potem zniknąć z kraju na miesiąc, czy jeszcze dłużej – nawet gdyby sąd wyraził na to zgodę, a na pewno nie wyrazi.
- Czego ode mnie oczekujesz...?
- Powiedziałam ci, że nie oczekuję od ciebie niczego, nawet opinii. I mówiłam szczerze. Po prostu musiałam z kimś o tym pogadać. Ja pierdzielę! O, Boże, muszę przestać kłąć. Stan chce, żebym wróciła do obsady ostatniego sezonu *Życie to plaża*. Myślę, że mogłabym rozważyć tę propozycję jako ofertę na następny sezon.
- Przelącam telefon na głośnik. – Kładę komórkę na blacie i zaczynam się ubierać, żeby zdążyć na wywiad. – Uporządkujmy to wszystko, Brooke. Zamierzasz odrzucić główną rolę w być może oskarowym filmie, żeby zagrać w młodzieżowej wersji *Słonecznego patrolu*, wyświetlanej w sieci kablowej? Czy ty kompletnie postradałaś rozum?
- Gdyby taka okazja nie pojawiła się...
- Gdyby taka okazja nie pojawiła się, twoja agentka nadal rozglądałaby się za rolą dla ciebie, prawda? *Serca nad Manhattanem* wchodzi do kin za trzy tygodnie, widziałem zwiastuny. A tak na marginesie, zanoszą się na to, że film zrobi kasę. Już to wystarczy, żebyś dostała więcej propozycji ról w komediach romantycznych. Ale nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy, bo z pewnością nie myślisz serio o odrzuceniu tej roli.
- Nie chodzi o to, czego ja chcę. Już nie. Jeżeli chcę być jego matką, to

odtąd on musi być na pierwszym miejscu.

– To nie musi oznaczać rezygnacji z kariery.

– Nie sądzę, żeby to oznaczało koniec mojej kariery...

– Okej, w takim razie jej zawieszenie. W dodatku może się okazać, że zrobiłaś to na próżno, jeśli albo ty, albo sąd stwierdzi, że to niemożliwe. Co wtedy? Co jeśli się okaże, że odrzuciłaś taką rolę dla niczego?

Brooke milczy i nie wiem, czy trafiłem w słaby punkt, czy też ją wkurzyłem.

– Dlatego właśnie nie chciałam twojej opinii.

A więc chyba jednak ją wkurzyłem.

– Bo nie chcesz wysłuchać słów prawdy?

– Nie, bo nie chcę słuchać, jak ludzie wymawiają się od bycia rodzicami, którymi powinni być. Szukają wykrętów. Egoistycznych wymówek. Myślisz, że ja nie chciałabym zagrać Moniki?

– Nie, myślę, że bardzo tego chcesz. I właśnie dlatego argumentuję...

– Reid. On mnie potrzebuje. – Dławi się. – On mnie potrzebuje i nie zamierzam tego spieprzyć... cholera, to znaczy: spartaczyć. Nie tym razem. Przez całe życie nie zrobiłam nic, co nie byłoby egoistyczne...

– Brooke. – Wzdycham, sznurując buty od Prady. – Pięć lat temu byłaś ciężarną nastolatką. Wyjechałaś do Teksasu. Urodziłaś go bez wsparcia rodziny, bez mojego wsparcia. Nie wiem, dlaczego dokonałaś wyboru, którego nikt ci nie zalecał, ale go dokonałaś. To nie było egoistyczne.

– Mylisz się. To nie była kwestia moralności czy braku egoizmu. Po prostu kiedy go poczęliśmy, kochałam cię i nie mogłam... nie widziałam przed sobą innego wyboru. W tej decyzji chodziło o mnie i nie mogę udawać, że było inaczej.

Kilka tygodni temu, kiedy Brooke powiedziała mi, że to z całą pewnością mój dzieciak i kiedy jej wreszcie uwierzyłem, zdębiałem. Ale tym razem poczułem się tak, jakbym zainkasował cios w splot słoneczny. Kiedy go poczęliśmy, kochałam cię.

– Teraz też nie mam wyboru. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś, Reid. Wiem, co muszę zrobić, ale na razie nie powiem o tym Janelle. Zresztą nie dostała jeszcze oficjalnej propozycji roli w *Papierowych oceanach*. Myślę, że najpierw muszę przebrnąć przez premierę *Serc nad Manhattanem*. Boże, ona wybuchnie jak rzymska pochodnia.

Brooke lekko zaciąga – nigdy nie zaciągała mocno – prawie niezauważalnie. Może to skutek uboczny jej pobytu w Teksasie i mieszkania z macochą.

Przez moment wracam do wspomnień.

A potem brzęczy telefon. To Dori.

Rozdział 11

Dori

– Byłam na wykładzie, kiedy przysłałeś SMS i dopiero teraz go odebrałam. Pomyślałam, że zadzwonię zamiast odpowiadać SMS-em, bo mam na rękach mitenki. Więc chcesz wpaść w czasie tego weekendu? Na pewno znajdziesz czas?

– Po godzinie w przegrzanej sali wychodzę z Barrows i natychmiast zaczynam dygotać w porywistym, północnym wietrze.

– Mogę się zerwać z trasy promocyjnej w sobotę wieczorem, ale muszę przylecieć samolotem – mówi Reid. – Nie będzie czasu na jazdę samochodem. Nie mogę opuścić LA przed dziewiętnastą, a koło południa powinienem być z powrotem.

Czyli będziemy mieli dla siebie mniej więcej dwanaście godzin.

Nagle uświadamiam sobie, że tak będzie wyglądało nasze życie. Najbliższe cztery lata spędzę w Berkeley, ale kiedy próbuję sobie wyobrazić jego, czy raczej nas, w późniejszym okresie, nie potrafię. Widzę siebie, jak wykorzystuję zdobytą wiedzę w pracy społecznej. Możliwe nawet, że ta praca zmusza mnie do opuszczenia Kalifornii. Wyjeżdżam sama.

Dzwonię zębami – z zimna albo ze strachu, a może z obu tych powodów – i staram się usunąć z głosu ból.

– Co chcesz robić, jak już tu będziesz?

Cichy śmiech Reida rozpała ogień w dole mojego brzucha, skąd błogosławione ciepło rozchodzi się falami po całym moim ciele.

– Musisz pytać? Czuję się tak, jakbym od wielu miesięcy cię nie dotykał.

Wchodzę do biblioteki, więc ściszam głos do szeptu.

– Chyba od dziesięciu dni.

– Od miesięcy – mówi z naciskiem. – Mówiłaś, zdaje się, że nosisz mitenki? Zdjęcie. Natychmiast.

Potrząsam głową i śmieję się bezgłośnie.

– Będziesz musiał poczekać i zobaczyć to na własne oczy.

– Czy masz do nich stosowny kapelusz? I szal? Hm, podoba mi się myśl o szalu. Szale są nad wyraz użyteczne, mogą służyć do drapowania, albo zawiązywania oczu, albo przywiązywania...

– Przestań – syczę cichutko. – To nienormalne, żeby się tak rumienić w bibliotece. Może powinieneś przywieźć własny szal, żeby go mogła wypróbować na tobie. – Nie odpowiada, więc rzucam pytająco: – Reid?

– Wybacz. Jestem zdecydowanie zbyt napalony, żeby udzielić stosownej odpowiedzi.

Myślałam, że moje studia nad społecznymi interakcjami w grupach i organizacjach okażą się bardziej produktywne, jeśli będę je przeprowadzała w bibliotece, w otoczeniu sprzyjającym nauce. A tymczasem nieustający szmer ściszonych głosów i szelest kartek nasuwają mi myśli o społecznych interakcjach dwojga ludzi związanych ze sobą. Myśli o naturze miłości.

Ludzie w grupie mają tendencję do dopasowywania się do siebie, jak elementy puzzli. Charakterystyczna reprezentacja celów i wysiłków organizacji jako takiej.

W ten sam sposób zwykłam myśleć o dwojgu kochających się ludziach. Jak o elementach puzzli, które do siebie pasują. A to zupełnie nie tak. Miłość wyciąga część z ciebie i wyciąga część z niego – jak ciągutka: rozciąga się, ale nie rozrywa. Nitki każdego z kochanków oplatają się wokół drugiego i wreszcie stapiają się ze sobą. Tworzą jedność, ale nie do końca. Pozostają sobą, ale nie do końca. Jak moi rodzice.

Ale są również tacy kochankowie jak Colin i ja. On nigdy nie podzielił się ze mną częścią siebie, choć o tym nie wiedziałam. Oddałam mu się, bo tego pragnął, a ja myślałam, że on zrobił to samo. Ale kiedy pozbył się mnie, wyrwał ze mnie tę część. On odszedł, nienaruszony, a ja pozostałam rozdarta, złamana i niekompletna.

To, co mamy teraz z Reidem, w zupełności mi wystarczy. Kocham go, a on kocha mnie tak, jak nigdy nie kochał mnie Colin, ale to niczego nie gwarantuje na przyszłość. Nie wiem, kiedy nasz związek się skończy, wiem tylko, że ten koniec nastąpi, i chcę chronić nas oboje. Nie mogę sobie pozwolić na to, by stać się częścią jego, i nie mogę dopuścić, by on stał się częścią mnie. Więc nie będę mu szeptała miłosnych zapewnień, choćby i były prawdziwe.

Shayma wrzuca do plecaka ubrania na zmianę i przybory toaletowe. Spędzi noc u przyjaciółki, żeby zostawić pokój mnie – i mojemu chłopakowi.

– Jesteś pewna? Nie masz nic przeciwko temu? Możemy pójść do hotelu...

Potrząsa głową ze śmiechem.

– Przystaniesz wreszcie? Jak mówię, że jest w porządku, to jest w porządku. Hotele są drogie.

– Uh...

– Tylko jeden mały warunek.

– Tak? – mruczę, rozglądając się z roztargnieniem po pokoju. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić tutaj Reida. Nasz skromniutki pokój w akademiku, wielkości jego garderoby, wygląda jak scenografia do filmu, w którym on gra

główną rolę przeciętnego, aczkolwiek przepięknego studenta, a nie jak miejsce, w którym ma spędzić noc.

– Muszę go poznać. Czekaj. Dwa warunki. Drugi warunek: nie w moim łóżku, okej?

Robię się czerwona na twarzy i szczęka mi opada.

– Ja... ja nigdy bym nie....

– Wow. – Unosi brwi w górę. – Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś się aż tak czerwienił. Jesteś jak burak.

Zażenowana, chowam płonąca twarz w dłoniach.

– On przyjeżdża tu z LA samochodem? A może samolotem? – Shayma siada na swoim łóżku, cztery stopy ode mnie.

– Samolotem.

– A nie potrzebujesz pomocy, żeby go odebrać z lotniska, skoro nie masz samochodu?

– Nie. Spotykamy się w Starbucks. Zamierza wziąć samochód z lotniska.

Shayma przechyla głowę na bok.

– Wziąć samochód? Z wypożyczalni? Czy taksówkę?

Wzruszam ramionami. Shayma należy do najbardziej dyskretnych dziewczyn, jakie w życiu spotkałam. Taka ciekawość jest u niej czymś zupełnie niespotykanym, byłabym równie zaskoczona, gdyby nagle włączył się do konwersacji złoty miś w czapce Uniwersytetu Kalifornijskiego, którego dostałam dwa lata temu od Deb, a który stoi teraz na półce nad biurkiem. Wzięłam głęboki oddech. Skoro Shayma ma zobaczyć Reida dziś wieczór, to równie dobrze może dowiedzieć się o nim z wyprzedzeniem.

– Niezupełnie. Najprawdopodobniej to będzie samochód z szoferem.

Jedna z jej brwi podskakuje do góry, a podbródek cofa się.

– Z kim? Co? Dziewczyno, masz faceta przy forsie? Nic dziwnego, że możesz sobie pozwolić na studiowanie pomocy społecznej.

Shayma studiuje handel międzynarodowy i zamierza robić magisterkę w Londynie lub Hongkongu.

Marszczę brwi.

– To kim on właściwie jest? Ma fundusz powierniczy? A może jest stary? O, cholera, on jest z LA... a może z Hollywood?

Szeroko otwieram oczy.

– Masz zdolności parapsychiczne, Shaymo?

Przewraca oczami.

– Wiesz, że nie wierzę w takie idiotyzmy. Jediną rzeczą na tym świecie, która nie kłamie, są liczby. Mamusia uważa się za wieszczkę. Tatuś twierdzi, że zawsze wierzyła, iż ma dar przewidywania przyszłości, ale od czasu gdy przewidziała, że Kelly Clarkson wygra pierwszą edycję *American Idol*, przysięga,

że jest prawdziwym jasnowidzem. Ja byłam wtedy małym dzieckiem.

Obie wybuchamy śmiechem, a potem biorę głęboki oddech.

– No, więc. Mój chłopak... To jest... – Kolejny oddech. – To Reid Alexander.

Shayma gapi się na mnie, potem mruga oczami i lekko potrząsa głową, jakby chciała wytrząsnąć wodę z uszu.

– Czy ty powiedziałaś przed chwilą „Reid Alexander”?

Kiwam głową.

– No to zapomnij, że powiedziałam: „nie w moim łóżku”.

Brooke

Rowena: Jesteś w Austin?

Ja: Odwiedzam rodzinę. Wkrótce wracam do LA na promocję. Szczegóły prześlę SMS-em.

Cholera. Rowena jest przerażająca, nawet dla najbardziej pracowitych i najlepiej prosperujących – dzięki mnie – paparazzi. Nie lubię, kiedy dowiaduje się o rzeczach, o których nie jestem jeszcze gotowa jej powiedzieć, a teraz jest zbyt bliska odkrycia prawdy. Nie chcę, żeby media wpadły na trop Rivera – jeszcze nie. Rowena jest zbyt mądra, żeby ze mną zadzierać, ale może już czas, żebyśmy porozmawiały sobie szczerze, jak na spowiedzi – ulubiona fraza mojej matki, co dziwi u osoby tak całkowicie pozbawionej poczucia moralności. Myślę, że nawet Jezus podkasałby swoją szatę i uciekł gdzie pieprz rośnie na widok mojej matki.

Żołądek mi się ściska, kiedy pomyślę, co się będzie działo, gdy ten news ujrzy światło dzienne i jak będzie interpretowany. Wiem oczywiście, że nie ma ucieczki przed spekulacjami na temat Rivera, ale nie wymyśliłam jeszcze, jak najlepiej podać informację o nim do wiadomości publicznej.

Zawsze uważałam, że moje życie seksualne i doświadczenia seksualne to wyłącznie moja sprawa, ale ten pieprzony kwestionariusz pozbawił mnie złudzeń. Media będą tym równie zainteresowane. A nawet bardziej. Dla nich wszystko może być newsem, nie ma nic świętego. Kwestią numer jeden będzie: Kto jest tatusiem?

Pięć lat temu nagryzmoliłam w kwestionariuszu: „ojciec nieznany”. Nie przejmowałam się, jak będzie wyglądało pozostawienie tego miejsca wolnego w akcie urodzenia. Jeśli o mnie chodzi, to nadal nie przywiązuję do tego wagi. Ale River...? Jak to wpłynie na niego?

Będę musiała zapanować nad tym szumem medialnym, a najlepszym sposobem jest wykorzystanie Roweny.

Wszystko zostało dostarczone do sądu: kwestionariusze, zaświadczenia o przeszłości kryminalnej i testy na narkotyki (dzięki Bogu, minęło już wiele miesięcy, odkąd zapaliłam jointa, a całe lata od czasu, gdy próbowałam czegoś jeszcze głębszego). Norman nalegał na całkowitą szczerość – kazał mi przyznać się do kradzieży sklepowej, którą popełniłam na złość mamie, kiedy miałam czternaście lat, do sporadycznego używania narkotyków w celach rekreacyjnych, do nagminnego nadużywania alkoholu w czasie, gdy byłam nieletnia, do bogatego życia seksualnego – zarówno rzeczywistego, jak i przypisywanego mi przez media.

Prawdopodobnie gdzieś są zapisane ze szczegółami wszystkie moje grzeszki. Jeżeli zełgam, to z pewnością wyjdzie na jaw, a wtedy skopią mi tyłek.

Teraz, jak mówi Norman, trzeba czekać. I kiedy już zbieramy się do wyjścia, prosi mnie o dostarczenie nazwisk sześciu osób, które mogą wystawić świadectwo o moim charakterze: trzech członków rodziny i trzech osób postronnych. Na liście członków rodziny znajdują się Kylie i Kelley, trzecim będzie mój ojciec – uznałam ponuro, że lepszy on niż matka, i Kathryn przyznała mi rację.

Tata. Czeka mnie zabawna rozmowa telefoniczna, ale to później. Wątpię, czy będzie zachwycony informacją o wnuku, ale Kelley jest w ciąży, więc perspektywa zostania dziadkiem nie powinna go przyprawić o atak serca. Nie mam pojęcia, czy on i jego Żona Numer Cztery planują się rozmnożyć, ale z poprzednimi trzema żonami ma pięcioro dzieci, więc można by sądzić, że do tej pory powinien już się z tym oswoić.

Z drugiej strony, ilekroć mu się zamarzy puste gniazdko, wystarczy, że po prostu odejdzie.

Mało brakowało, a przyznałabym się do niepowodzenia z wyborem trzech świadectw niespokrewnionych, ponieważ pierwszą osobą, jaka przychodzi mi na myśl, jest Graham. Ale, oczywiście, nie rozmawiamy ze sobą. Patrząc na formularz w moim laptopie i przełykam piekącą kulę w gardle, powstałą z połączenia poczucia winy i żalu. Wystukuję „MiShaun Grant” i kopiuję kontakt do niej ze swojego telefonu. To jedyna aktorka z mojego pokolenia, do której mam zarówno szacunek, jak i aktualny numer telefonu. Dodaję Danę Scatio, reżyserkę *Serc nad Manhattanem*. Dana mnie lubi i (bonus) była moją szefową w ostatnim okresie.

– A może Janelle, moja agentka? – pytam. I notuję w pamięci: „trzeba poinformować Janelle o Riverze”.

Norman marszczy czoło.

– Może być, jeśli nie znajdziesz nikogo innego. – Jego mina mówi: „to chyba nie może być prawda?” – Z technicznego punktu widzenia, w jej interesie, jako osoby pracującej dla ciebie, leży, abyś dostała to, czego pragniesz, więc będzie traktowana jako mniej wiarygodne źródło informacji. Pracownik socjalny prawdopodobnie skontaktuje się z nią dopiero po zebraniu wywiadów od wszystkich, z którymi łączą cię bardziej istotne związki. Ta szóstka to osoby,

których opinie ty sama uważasz za najkorzystniejsze dla siebie, a zarazem wiarygodne.

Zaciskam w rękę pióro tak mocno, że metalowa skuwka wbija mi się w ciało, a na skraju pola widzenia cały świat zaczyna wirować.

– Przepraszam, czy to znaczy, że będą rozmawiać ze wszystkimi?

Kątem oka dostrzegam, że Kathryn gwałtownie unosi głowę. Przenosi spojrzenie ze mnie na Normana i z powrotem, oboje, ona i Glenn przestają pisać. Jestem pewna, że oni mieliby trudności z ograniczeniem się do zaledwie sześciu osób, które wypowiedziałyby się o nich z sympatią.

– Z rodziną, współpracownikami, bliskimi przyjaciółmi, byłymi chłopakami; obawiam się, że tak. – Norman spogląda na mnie uprzejmie z za zarzuconego aktami biurka. – Ale nie masz powodu do obaw. Nikt nie oczekuje, że będziesz ideałem, kochanym przez wszystkich.

Kochanym przez wszystkich? Czy wśród utartych zwrotów znajdzie się choć jeden, który pasowałby do mnie mniej? O, Boże.

– Przeprowadzają wywiad środowiskowy, żeby sprawdzić, czy (a) jesteś osobą wiarygodną i (b) czy nie masz poważnych zaburzeń osobowości, które wykluczałyby cię jako odpowiedzialnego rodzica dla dziecka. W jego najlepiej pojętym interesie, jak już mówiłem wielokrotnie. Zdaję sobie sprawę, że masz serdecznie dosyć powtarzania przeze mnie tego sformułowania, ale tylko to liczy się dla sądu. I lepiej, żebyś się z tym oswoiła.

O. Mój. Boże.

Oni zadzwonią do obojga moich rodziców. Do moich eksmacoch i eksojczymów. Najprawdopodobniej zadzwonią również do Reida.

I z całą pewnością do Grahama.

– Halo?

Głos Emmy brzmi właśnie tak, jak się spodziewałam – ostro. Zimno.

– Emmo, mówi Brooke – odpowiadam niepotrzebnie. Bez wątpienia rozpoznała mój numer.

Cisza. Okej.

– Dzwonię, żeby... – Zamykam oczy. – ...poprosić cię o przysługę.

Ciche prychnięcie.

– Przysługę? To... – zaraz, jakiego określenia użyłaby matka Grahama? – To impertynenckie z twojej strony. Ale ponieważ nie ma nigdzie w pobliżu Cary, mogę powiedzieć po prostu: cholernie bezczelne. Czego chcesz, Brooke?

Czego chcę? Chcę się rozłączyć. W ubiegłym roku bardzo się przeliczyłam, jeśli chodzi o Emmę. Jeśli chodzi o Grahama. Potem, oczywiście, nie odzywałam się do żadnego z nich ani słowem. Nie wytłumaczyłam się z tego, co zrobiłam, nie

prosiłam o wybaczenie. Wiedziałam, że zostałam automatycznie wykreślona z jego życia. Nie musiał mi tego mówić.

Rzadko zdarza mi się prosić o wybaczenie. Nie żebym uważała, iż zawsze mam rację – po prostu nie uważam za stosowne wyrażać tego słowami. Mówię „przepraszam” jedynie wtedy, kiedy naprawdę nie da się tego uniknąć, albo żeby wymigać się od ewentualnej kary. Konsekwencje z reguły bywają bolesne. Dlatego nazywane są konsekwencjami.

Osiem miesięcy temu nie było szans na uniknięcie odtrącenia mnie przez Grahama, więc uznałam przeprosiny za bezcelowe, zastosowałam unik. To było prostsze i łatwiejsze.

Jeśli zachowam się teraz tak samo, mogę stracić Rivera. Biorę głęboki oddech i prostuję plecy.

– Muszę porozmawiać z Grahamem...

– Ze wszystkich...

– Emmo, przepraszam. Spieprzyłam wszystko. Totalnie wszystko spieprzyłam. Nie chcę wam sprawiać kłopotów – żadnemu z was – ale zwróć uwagę, że dzwonię na twój numer, nie jego. Proszę cię o pozwolenie. Błagam cię. Proszę. – Przy ostatnim słowie głos mi się załamuje, prawie szlocham. Cholera jasna!

Znowu cisza.

– Umierasz, czy co? – pyta Emma i sama nie wiem, czy w jej głosie jest więcej nadziei, czy żalu.

– Jeszcze nie.

– Co znaczy to „jeszcze nie”?

– Nie umieram, tu nie chodzi o mnie. Tak jakby. To znaczy – chodzi o mnie, ale pośrednio. Chodzi o mojego syna.

– Twojego kogo?

– O dziecko, które oddałam do adopcji. Jego adopcyjny ojciec zmarł, a matka jest uzależniona od metamfetaminy i teraz trafił do rodziny zastępczej, a ja go chcę odzyskać.

Tylko tak dalej, Brooke. To nie był zwyczajny słowotok. To było wyrzucanie z siebie słów jak z katapuły.

– Czy Reid wie? – Emma wymawia jego imię w taki sposób, jakby utrzymywali ze sobą kontakty, co jest całkiem możliwe. Prawdopodobnie należała do jego dwunastostopniowego festiwalu przeprosin z ubiegłego miesiąca.

– Wie. Nie ma z tym nic wspólnego. I dobrze. To mój wybór. Kiedy powiedziałam ci o ciąży... – Wzdycham. – ...powiedziałam ci o tym tylko po to, żebyś go znenawidziła. Reid był wtedy jeszcze dzieckiem. Ja zresztą również. O nic go dzisiaj nie proszę. Ale tak, został poinformowany. – Przestań paplać, Brooke! – Nawet w pewnym sensie współdziałamy ze sobą. To właściwie

niesamowite. – Przestań paplać.

– Huh.

Przewracam oczami i przypominam sobie wkurzającą rozmowę z Grahamem na temat jej „huh”, dawno, dawno temu. Powtarzała to, ilekroć nie wiedziała, co powiedzieć. Co on uznał za urocze, a ja miałam ochotę zakneblować go podkolanówką.

– Ja, hmm, pogadam z nim. Niczego nie obiecuję. Graham zadzwoni do ciebie, jeśli będzie miał ochotę z tobą rozmawiać. Jeśli nie, nie zadzwoni.

Zaciskam zęby w poczuciu bezsilności.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Do widzenia, Brooke.

Rozłączam się, znajduję zdjęcie Rivera, które przeskanowałam do telefonu, i przesyłam je Reidowi. Za każdym razem, kiedy na nie patrzę, czuję się bardziej przytłoczona i przerażona, że to spieprzę i bardziej przekonana, że nie wolno mi do tego dopuścić. W razie konieczności jestem gotowa zakręcić się wokół Emmy, żeby ubłagać Grahama, by tego nie zepsuł. Ale mam dość cierpliwości, żeby wziąć na wstrzymanie i poczekać – liczę na to, że Emma nie znienawidziła mnie tak bardzo, jak na to zasługuję.

Gdybym to ja była na jej miejscu, kazałabym się jej odpieprzyć i odciąłabym ją od Grahama.

Ale Emma to nie ja. I to kolejny powód, dla którego Graham jest z nią, a nie ze mną.

Rozdział 12

Reid

Kazałem szoferowi stanąć na rogu, w odległości jednej przecznicy od Starbucksa, naciągnąłem czapkę na uszy, owinąłem się kurtką i zarzuciłem torbę na ramię. Na dworze jest ciemno, więc nie mogę włożyć ciemnych okularów, ale z drugiej strony, tu nikt się nie spodziewa spotkać Reida Alexandra. Nawet gdybym został rozpoznany, uznano by po prostu, że jestem uderzająco podobny do „tego gościa z filmu”.

– Jutro o dziewiątej rano? – mówię, otwierając drzwi, a szofer kiwa głową.

– Tak jest.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęskniłem za Dori, dopóki jej nie zobaczyłem. Piętnaście minut temu przysłała mi SMS, że już jest, i zajęła dla nas stolik na górnym poziomie. Prosiła, żebym jej przysłał wiadomość, gdy tylko przyjadę, ale nie zrobiłem tego. Chciałem mieć tę chwilę dla siebie. Liczyłem na to, że będzie coś czytała i nie zobaczy mnie od razu. A to da mi kilka cennych sekund na napawanie się jej widokiem. I będę miał szansę zobaczyć moment, w którym mnie dostrzeże.

Dori nigdy mnie nie zawodzi.

Podnosi oczy, jakby wyczuła na sobie mój wzrok, i spogląda wprost na mnie. Z impetem zamyka książkę, nie zaznaczając strony, pochyla się i wrzuca ją do stojącej na ziemi torby. Zrywa się z krzesła i zasłania ręką usta, żeby nie zawołać mojego imienia i nie zdradzić tym samym mojej tożsamości, ale jej uśmiech jest szeroki na milę. W sekundę później mam ją już w ramionach; wspina się na palce i podsuwa mi usta do pocałunku. Z radością spełniam jej prośbę.

– Z całego serca aprobuję takie powitanie – mruczę jej prosto w usta i całuję ją jeszcze raz, zanim się opamięta i przypomni sobie, gdzie jesteśmy: w miejscu publicznym.

Odrzucam jej włosy za ramię, obejmuję dłonią głowę Dori i uśmiecham się na widok jej skromnej minki – buzi w ciup i lekkiego rumieńca obejmującego odsłonięte ucho. Odzywam się, starannie pilnując, żeby nie podnieść głosu.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy sami, moja śliczna, gdzie będę mógł cię uwieść z dala od świadków, którzy krępują tylko ciebie. – Wyczuwam pod palcami, jak jej puls przyspiesza i przyciągam ją bliżej. – Bo jeśli nie, to ze szczęściem w oku oprę cię plecami o ścianę, tu i teraz, i będę całował do utraty tchu. Na początek.

– Idę po torbę – mówi pośpiesznie, a jej ciepły oddech muska moją szyję.

Kiwam głową; ona opuszcza głowę i odchodzi, żeby zabrać swoją torbę

i książkę z podłogi oraz sweter z oparcia krzesła. Narzuca go na siebie i schodzimy razem po schodach na parter, do głównej sali, a potem zmierzamy do drzwi. Przemyka mi przez myśl, że po raz pierwszy w życiu byłem w Starbucks i niczego nie kupiłem.

Na ulicy Dori zatrzymuje się nagle przy krawężniku.

– Och, a może miałaś na coś ochotę?

Unoszę brew.

– Na nic, co oni sprzedają. Chodźmy obejrzyć twój mały pokoik. I powiedzcie dzień dobry i do widzenia twojej bardzo usłużnej współlokatorce.

Dori podnosi oczy, przygryza wargę, uśmiechając się równocześnie i ciągnie mnie na drugą stronę ulicy, do kampusu. Jej twarz ma filuterny wyraz, który och-jak-dobrze-znam. Namiętnie znam.

Wkrótce wchodzimy pomiędzy gęste krzewy sięgające pierwszego piętra – zapisuję je sobie w pamięci, by ewentualnie wykorzystać w przyszłości. Kiedy będzie cieplej.

Kampus jest dobrze oświetlony i w ten sobotni wieczór panuje w nim duży ruch, co sprawia, że czuję się spokojniejszy o jej pobyt tutaj. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Jesteśmy jedną z wielu par studentów, które snują się po terenie kampusu, szukając rozrywki – albo samotności.

Wchodzę w tę fabułę, jakbym grał rolę, w której mamy z Dori wspólne cele i analogiczne drogi życiowe. W której spotykamy się na kawę w przerwach między zajęciami, wymieniamy uwagi na temat profesorów i zadań domowych, chodzimy na spacer i weekendowe wycieczki, a w słoneczne dni opalamy się na trawnikach kampusu. W której razem studiujemy, zdajemy egzaminy w sesji i kochamy się w chwilach wolnych od nauki.

– Co się stało? – pyta Dori, i uświadamiam sobie, że zmarszczyłem czoło.

Przestaję, przyciągam ją do siebie i unoszę jej zatroskaną twarz ku górze.

– Absolutnie nic – mówię. – Muszę tylko coś zrobić, zanim pójdziemy krok dalej. – Pochylam głowę i całuję ją w półmroku. Ktoś pohukuje w oddali – na nas, albo z jakiegoś innego, nie związanego z nami powodu; nie wiem z jakiego i nic mnie to nie obchodzi.

Bawią mnie zawsze reakcje ludzi, którzy rozpoznają mnie w różnych dziwnych, nietypowych dla gwiazdy filmowej miejscach. Jednym z takich miejsc jest z pewnością winda w akademiku uniwersytetu stanowego. Dori łapie mnie za rękę, kiedy do windy wchodzi dwie dziewczyny z workami ubrań do prania. Szepczą coś do siebie i rzucają na mnie mało ukradkowe spojrzenia. Oplatam Dori ramionami i opieram jej plecy o swoją pierś, zamykając nas oboje w naszej własnej, zamkniętej przestrzeni.

Kiedy dziewczyny wysiadają piętro wyżej i drzwi windy już mają się zamknąć za nimi, odwracają się i gapią się na mnie wybałuszonymi oczami.

Mrugam do nich, na czym przyłapuje mnie Dori.

Drzwi zamykają się, a ona daje mi klapsa w rękę spoczywającą na jej brzuchu.

– Jesteś niegrzecznym chłopcem, Reidzie Alexandrze.

Śmieję się i szepczę jej do ucha, choć jesteśmy w windzie sami.

– Poczekaj, malutka, aż znajdziemy się w twoim pokoju. Chyba że nie masz ochoty czekać?

Drgnęła i gwałtownie złapała powietrze, czuję to na całej długości swego ciała, od ud po miejsce tuż pod brodą, którego dotyka tyłem głowy. Zamykam oczy i oddycham przez nos, co tylko wzmacnia drażniący moje powonienie zapach Dori – słodki jak miód.

Cholera jasna. Ona nie wie, jak bliski jestem wciśnięcia guzika „stop” i przyparcia jej do narożnika windy.

A może właśnie wie, i to doskonale. Opuszkami palców muska moją dłoń, lekko jak piórkiem, w miejscu, w które przed chwilą wymierzyła klapsa. Kiedy wjeżdżamy na jej piętro, zdecydowanie łapie mnie za rękę i wyciąga na korytarz. Może i mamy przed sobą tylko najbliższych dwanaście godzin, ale zamierzam zrobić jak najlepszy użytek z każdej z nich.

Dori

Siedzimy w rogu sali, przy stoliku pod frontowym oknem Starbucks i czekamy na samochód, który ma zawieźć Reida na lotnisko. On sprawdza e-maile i wiadomości w swoim telefonie, odwracając twarz od pozostałych klientów, którzy przyszedli tu w niedzielę na poranną kawę, a ja sączę swoją latte i zapisuję w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół jego wyglądu. Mogą minąć tygodnie, zanim znów go zobaczę, chyba że uda mu się jeszcze raz urwać z tej wariackiej trasy promocyjnej – obiecał się postarać.

Styczeniowe słońce rozjaśnia jego falujące blond włosy gwiazdora filmowego i płonie jak stare złoto w naturalnie ciemniejszych pasmach. Wychodząc z mojego pokoju, wcisnął czapkę na głowę, ale opadające na czoło i wijące się wokół uszu włosy zdają się prosić o dotyk. Jego ciemne rzęsy mają również złociste koniuszki. Kiedy podnosi je i spogląda w moje oczy, wstrzymuję oddech. W świetle pogodnego poranka jego charakterystyczne ciemnoniebieskie oczy są pełne życia, a źrenice wyglądają jak mozaika z potłuczonego morskiego szkła.

– Co jest? – pyta Reid, przechylając głowę na bok.

Lekko potrząsam swoją.

– Kiedy cię nie lubiłam, twoja uroda działała na twoją niekorzyść.

Uśmiecha się złośliwie.

– Nie mów.

Opieram się na łokciach i szukam odpowiednich słów.

– Kiedy rozzłościłeś mnie czymś, co powiedziałeś lub zrobiłeś, patrzyłam na ciebie i robiłam się jeszcze bardziej wściekła. Bo wydawało mi się okropnie nie w porządku, żeby mieć taką twarz i wykorzystywać ją wyłącznie dla własnych egoistycznych celów. Domyślałam się, że to nie jest normalna reakcja na ciebie – lub raczej przeciwko tobie.

Potrząsa głową i uśmiecha się krzywo.

– No, nie. Zazwyczaj to tak nie działa.

– Ludzie pozwalają ci robić, co chcesz, bo jesteś taki piękny, że nie mogą ci niczego odmówić.

– Czuję się teraz okropnie pusty.

– Nie powinieneś. To nie twoja wina, że urodziłeś się z takim wyglądem...

Reid parska śmiechem, ale natychmiast zasłania ręką usta. Niesamowicie panuje nad sobą.

– Wielkie dzięki za współczucie.

– Chodzi mi o to, że twoja uroda intensyfikuje wszystko, co jest z tobą związane, ale na mnie to nie działa, bo zostałam wychowana w taki sposób, żeby oceniać ludzi po ich postępowaniu i stawiać je wyżej od wyglądu. Ludzie powierzchowni dają się zwieść zewnętrznym pozorom. W końcu w naturze ludzkiej leży upodobanie do rzeczy pięknych.

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy podoba mi się kierunek, w jakim zбочyła nasza rozmowa. Czuję się tak, jakbym powinien pobrudzić sobie błotem twarz, albo przynajmniej zakryć ją kocem.

Potrząsam głową i próbuję ponownie.

– Kiedy pojawiłeś się na akcji Habitat z obsadą *Zabójstwa z litości*, przekonałam się na własnej skórze, jak to jest, kiedy ci na kimś zależy. Tamtego dnia dowiedziałam się również, co zrobiłeś dla Deb, i uświadomiłam sobie, jakim jesteś pięknym człowiekiem – tak naprawdę, nie tylko zewnętrźnie – i dosłownie mnie zatkało. Ale dopiero połączenie współczucia, do którego jesteś zdolny, i twojej urody sprawia, że nie można ci się oprzeć.

Reid otworzył usta i ściągnął brwi, wyraźnie skrępowany.

– Dori, ja nie jestem aniołem...

– Wiem i wcale tego od ciebie nie oczekuję. Wiesz, że lubię również, och...

– Czuję, jak czerwienieją mi uszy, a ponieważ zwinęłam włosy w luźny węzeł na karku, to ten wymowny sygnał jest doskonale widoczny. Zniżam głos tak, że jest ledwie słyszalny. – ...tę niegrzeczną stronę twojej natury.

Reid ujmuje moją rękę leżącą na blacie stolika pomiędzy nami i opuszkami kciuka zaczyna kreślić w jej wnętrzu spirale.

– Czy to dlatego wolno mi było wyszeptać ci w nocy tych kilka słów,

których nie mogę powiedzieć w świetle dnia? – Jego głos, niski i schrypnięty, wydobywa ze mnie coś, co drzemało głęboko ukryte. Reid pochyla się ku mnie. – Kiedy mówiłem, co zamierzam z tobą zrobić, zanim to zrobiłem?

Na to wspomnienie twarz zalewa mi fala gorąca. Byłam zaszokowana – to mało powiedziane! – kiedy odkryłam, że te zakazane słowa, a niektórych z nich nigdy nie wymówił w mojej obecności, sprawiły, że zrobiłam się wilgotna, gdy wyszeptał je w ciemności, głosem ochrypłym i rozkazującym.

Kiedy dziś rano usiadł na skraju mojego skotłowanego łóżka i przeciągnął się, na jego łopatkach dostrzegłam wyraźne ślady swojego entuzjazmu. Miał również parę siniaków w całkiem niespodziewanych miejscach. Byłam przerażona.

– Pokaleczyłam cię – stwierdziłam żałośnie, gładząc palcami zadrapania na jego plecach.

Odwrócił się, w mgnieniu oka położył mnie płasko na łóżku i przygniótł torssem moje piersi, utrzymując swój ciężar na łokciach.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie przeproszać – zamknął oczy, a potem szybko uniósł powieki – za cokolwiek, co robiłaś tej nocy, nie będę miał wyboru i będę musiał cię ukarać.

– Och? – wyszeptalam i moja wyobraźnia ruszyła jak z kopyta.

Uśmiechnął się drapieżnie.

– Wydaje mi się, że w przyływie namiętności zapomnieliśmy o tym szalu, który obiecałaś mi zaprezentować. Kiedy następnym razem poświęcisz mi kilka godzin swojego czasu, Dorcas Cantrell, chyba będę miał kilka nowych rzeczy do przetestowania.

Jego cichy śmiech sprawia, że wracam do Starbucks.

– Zawsze czuję się, jakbym trafił w dziesiątkę, kiedy w końcu udaje mi się wywołać u ciebie taki rumieniec – mówi.

– Złośliwiec.

– Przecież to uwielbiasz.

– Okazuje się, że jestem łasa na kary. – Oblewa mnie kolejny rumieniec, kiedy uświadamiam sobie, że właśnie użyłam słowa „kara”, a on zaczyna chichotać.

Postukuje mieszadełkiem do kawy o stół, spogląda na nie i wzdycha.

– Dori, to, co powiedziałaś o „prawdziwym” mnie... ja próbuję stać się lepszym człowiekiem, ale nadal jestem tym samym facetem. Ludzie mogą się zmienić tylko do pewnego stopnia.

Z bólem serca muszę przyznać, że ma rację i że jego słowa mają zastosowanie również do tego, czego obawiam się najbardziej – że go stracę. Chociaż wiem, że odnosi się teraz do innych, ważniejszych dla siebie spraw.

– Nie doceniasz samego siebie, Reid. Jak zwykle. Masz dobre serce, a teraz zaczynasz dostrzegać innych ludzi i cierpienie, w którym jesteś w stanie ulżyć.

Wszystko, co musisz teraz zrobić, to nie zamykać na nie oczu. Ja wiem, być może lepiej niż inni, że nie wszystko można naprawić.

Nie wszystko można naprawić, cuda to tylko szczęśliwe zrządzenia losu. A los może równie dobrze odwrócić się w przeciwną stronę. Muszę mierzyć się z tym faktem za każdym razem, kiedy siostra patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem.

Rozdział 13

Brooke

– Brooke, gdzie jesteś? Słyszałam plotki, że w Teksasie. To prawda? – Głos Janelle jest nieco zbyt piskliwy, szczególnie przed drugą filiżanką kawy. Prawdę mówiąc, jest piskliwy przez cały czas. Lubię ją, ale Chryste, kiedy jest czymś zaabsorbowana, jej głos mógłby przewiercić stal. Trzymam telefon z dala od ucha, przysuwam go bliżej tylko wtedy, kiedy mam coś powiedzieć.

– Okay, czego się pieklisz? Skąd się wzięły te plotki? Jesteś drugą osobą, która mnie o to pyta.

– Więc nie jesteś w Teksasie? W tym tygodniu macie z Chandlerem mnóstwo obowiązkowych imprez promocyjnych w LA, zaczynacie jutro...

Glenn wchodzi do kuchni, ale zatrzymuje się i odwraca, gdy jego uszu dobiega głos płynący ze słuchawki. Podnoszę oczy do nieba i bezgłośnie mówię „Janelle”, a on potrząsa głową i chichocze.

Mój ojczym pracuje w branży naftowej. Po wieloletniej działalności zawodowej w terenie został przeniesiony do kierownictwa. Jest w tej pracy naprawdę dobry, stanowczy, ale miły, a podwładnych traktuje równie wspaniale jak swoje pasierbice, Kelley i Kylie. Wszystko w Hollywood zdumiewa i bawi Glenna.

– Jasne, Janelle, rozumiem.

– ...więc muszę mieć pewność, że będziesz obecna – kontynuuje Janelle, jakbym wcale się nie odezwała. – ...chyba że trzeba zmienić coś w grafiku? – Jej ton mówi wyraźnie, że lepiej, aby nie było takiej potrzeby, chyba że ktoś jest umierający. Konkretnie ja.

– Nie ma potrzeby zmieniać grafiku, Janelle. Musiałam przyjechać do domu, żeby załatwić pewne sprawy osobiste, ale dzisiaj wracam do LA.

Glenn pytająco unosi brwi, spoglądając na mnie znad brzegu filiżanki. Potrząsam głową. Na razie nie jestem gotowa powiedzieć wszystkiego swojej agentce, jeszcze nie. Szczególnie że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta rozmowa będzie musiała dotyczyć również rezygnacji z roli w *Papierowych oceanach*. A Janelle może próbować na mnie naciskać.

– O, dzięki Bogu – mówi Janelle. – Właśnie powiedziałam Amaris...

Mój telefon sygnalizuje kolejną rozmowę. Bez trudu zerkam na wyświetlacz, bo trzymam aparat z daleka od głowy.

Graham.

Zasycha mi w ustach – muszę sobie przypomnieć, że oddychanie jest konieczne.

– Janelle – przerywam jej. – Janelle, mam drugi telefon, muszę go odebrać.

Zadzwońię do ciebie wieczorem, jak dotrę do domu. – Łapię resztkę wystygłej kawy i idę do swojego pokoju, żeby odebrać następne połączenie. Staram się, żeby mój głos był opanowany, a nie roztrzęsiony z emocji. – Halo?

– Brooke. Emma powiedziała mi, że dzwoniłaś. – W głosie Grahama brzmi ostrożność; jest wymijający, ale znajomo. Łzy napływają mi do oczu i nagle brakuje mi słów.

– Brooke? – powtarza.

– Jestem. Nie wierzyłam, że zadzwonisz. Dziękuję.

– Po prostu chciałbym zapytać, czego ode mnie oczekujesz. Jeszcze mi nie dziękuj.

– Okej. Okej. – Biorę głęboki oddech. – Kilka tygodni temu zatrudniłam prywatnego detektywa, żeby sprawdzić, co się dzieje z dzieckiem, które oddałam do adopcji. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko u niego w porządku. Miałam koszmarne sny o nim i pomyślałam, że jeśli dowiem się, iż jest zdrowy i szczęśliwy, to złe sny się skończą i będę mogła nadal żyć swoim życiem.

Graham powstrzymuje się od komentarza. Dawny Graham, z czasów naszej przyjaźni, zadawałby pytania, robiłby jakiejś uwagi. Ale ja zniszczyłam tę przyjaźń. Zabiłam jego zaufanie i sympatię do mnie.

Zamykam drzwi sypialni i siadam na łóżku. Muszę to zrobić dla Rivera. To, co straciłam, nie ma teraz znaczenia.

– On jest w rodzinie zastępczej. Został zabrany z rodziny adopcyjnej przez CPS.

– Emma mi o tym mówiła – przyznaje Graham z pewnym wahaniem. – Wiesz dlaczego?

Czuję przypływ wdzięczności za to pytanie i po raz pierwszy błyska mi iskierka nadziei, że Graham mnie jednak wysłucha. Że może, dla dobra Rivera, przestanie mnie nienawidzić i nie uniemożliwi mi odzyskania dziecka.

– Nie wiem wszystkiego. Wiem, że jego ojciec adopcyjny zmarł, ale nie orientuję się, z jakiego powodu. Wiem, że jego matka adopcyjna jest uzależniona od metamfetaminy, sąd przynajmniej dwukrotnie kierował ją na przymusowe leczenie, ale za każdym razem uciekała. Wiem, że żadni krewni nie wystąpili o przyznanie im opieki nad dzieckiem – moja detektyw zbiera informacje na ich temat. On jest w rodzinie zastępczej od kilku miesięcy. – Łzy zaczynają spływać po mojej twarzy. – Bethany Shank, moja prywatna detektyw, dała mi jego zdjęcie.

Głos mi się załamuje i słyszę lekkie westchnienie Grahama. Proszę-och-bardzo proszę, nie pomyśl, że udaję, błagam w myślach.

– On jest taki malutki. I taki smutny. On mnie potrzebuje, Grahamie. Dlatego wystąpiłam o adopcję...

– Co? – Oczami duszy widzę, jak marszczy brwi. Przeczesuje ręką włosy. Zamyka oczy i dwukrotnie potrząsa głową, zanim je otworzy. – Emma mówiła, że

chcesz go zabrać z rodziny zastępczej, ale nie wiedzieliśmy, co to konkretnie znaczy. Adopcja, Brooke? Ty?

Ze wszystkich sił staram się ukryć przed nim, że płaczę. Przyciskam palce do mostka, bo znów czuję ten charakterystyczny piekący ból, którego nic nie jest w stanie złagodzić, jakby pod moją skórą ktoś zapalił zapałkę.

– Tak. On ma tylko mnie. Więc to muszę być ja.

Graham wzdycha.

– Wydaje mi się, że masz dobre chęci, i możesz mi wierzyć, doceniam to, że czujesz się za niego odpowiedzialna. Ale on potrzebuje kogoś na stałe, kogoś, kto będzie mu oddany. Jest tylko trochę młodszy od Cary, prawda? Nie masz pojęcia, jakiej energii wymaga opieka nad nią, a mam do pomocy rodziców i siostry. I Emmę.

„A ty nie masz nikogo”. Nie wypowiada tych słów, ale wiszą w powietrzu, jakby zostały wypowiedziane.

– Emma powiedziała, że chcesz ode mnie jakiejś przysługi?

– Tak. Zadzwoń do ciebie pracownik opieki społecznej odpowiedzialny za niego. Może również kurator sądowy. Nie wiem, o co będą pytali, ale proszę... błagam cię, nie powiedz im czegoś, przez co mogłabym go stracić. Proszę, Grahamie.

Liczę uderzenia serca, łomoczące mi w uszach. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery.

– Naprawdę tego pragniesz, prawda? Ale ciekawi mnie – dlaczego? To dziecko, Brooke. On nie zdoła zaspokoić twojej potrzeby miłości. Dzieciom należy się miłość ze strony opiekunów, w drugą stronę to nie działa.

Mogłabym poczuć się urażona, ale w świetle naszej historii i wszystkiego, co Graham o mnie wie, to w pełni uzasadnione pytanie.

– Rozumiem, dlaczego tak myślisz. Ale jeżeli w ogóle czerpię z tego jakąś korzyść, to jedynie głębokie przekonanie, że postępuję właściwie. Jestem przerażona. Boję się tego, o czym nie mam pojęcia, i tego, że mogę wszystko spieprzyć. Ale on mnie potrzebuje. Muszę to zrobić.

– A jeśli nie zdołasz zaspokoić jego potrzeb? Jeżeli został skrzywdzony tak bardzo, że nie będziesz w stanie mu pomóc?

– Wtedy zapewnię mu wszelką potrzebną pomoc. I nie przestanę próbować. Jestem cholernie uparta, Grahamie. Tyle z pewnością o mnie wiesz.

Wyobrażam sobie ostrożny, niechętny uśmiech na jego twarzy.

– Tak, wiem.

Reid

Mógłbym twierdzić, że w ciągu tych dwunastu godzin spędzonych z Dori

szukałem pretekstu, żeby powiedzieć jej o Riverze.

Ale to byłoby kłamstwo. A teraz moje jedyne kłamstwo staje się niewybaczalne.

Mógłbym twierdzić, że z każdym dniem brzemień winy staje się coraz cięższe, ale to również nie byłoby do końca prawdą. To, co naprawdę czuję, to strach. Strach, że jeśli ona się dowie – wszystko jedną skąd: ode mnie, czy od kogoś innego – nie będzie się wahała. Nie będzie sobie zawracała głowy niuansami semantycznymi, różnicą między: powiedzieć nieprawdę i nie powiedzieć prawdy. Dla niej wszystko jest czarne albo białe. Nie uznaje istnienia szarości.

Ta dziewczyna straciła wiarę w Boga, którego wyznawała przez całe życie. Czymże jest w porównaniu z tym jej świeżo zdobyta wiara we mnie?

Poza tym, istnieje jednak szansa, że Brooke zmieni zdanie – słabiutka, tak słaba, jak tylko szansa może być. Albo zgłosi się ktoś trzeci, kto przyjmie na siebie odpowiedzialność za dziecko. I tajemnica pozostanie w ukryciu, jak na tajemnicę przystało. Może pewnego dnia będę mógł powiedzieć Dori – kiedy nie będę miał już poczucia, że za moimi plecami tyka zegar. A może bomba.

Nie chcę jej stracić. Ona jest dla mnie ważniejsza od chłopca, którego nigdy nawet nie widziałem. Dziecka, którego jeszcze kilka tygodni temu nie uznawałem za swoje. Nie mogę być ojcem – jeszcze nie, może nawet nigdy.

Dori powiedziała, że mam dobre serce.

I tam właśnie ulokowało się poczucie winy.

W tygodniu poprzedzającym premierę *Zabójstwa z litości* podczas niezliczonych wywiadów podpytywano mnie, czy spotykam się z kimś – choć dziennikarze nie formułowali otwartych pytań, żeby nie łamać zakazu poruszania w studiu spraw osobistych, tylko nieśmiało krążyli wokół tematu. Udzielałem wymijających odpowiedzi i uśmiechałem się niewinnie. Dziennikarz przeprowadzający dzisiejszy wywiad jest trochę bardziej dociekliwy.

Zabawne, ale kompletnie mnie nie obchodzi, czego studio sobie życzy, a czego nie. Interesuje mnie tylko Dori i jej rodzice, bo nie chcę, żeby mnie znienawidzili za wciąganie ich córki do zdeprawowanego świata, jak go określają. Nie żebym się z nimi nie zgadzał. Przez wiele lat byłem deprawowany systematycznie z pełnym zaangażowaniem i zapalem.

Mam teraz znacznie więcej zrozumienia dla udręki Emmy w czasie ubiegłorocznej promocji *Szkolnej Dumy* – nie tylko musiała zapierać się swojego związku z Grahamem, ale na dodatek udawać, że jest ze mną. Podczas gdy ja robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby sabotować ich związek.

Chryste, byłem strasznym dupkiem.

George zaczął w ubiegłym tygodniu negocjować ze studiem „oficjalne”

stanowisko w kwestii mojego życia osobistego, bo jasno dałem do zrozumienia, że nie zamierzam wypierać się związku z Dori, gdyby ujrzał on światło dzienne.

– A wyjdzie z pewnością – dodałem. – Ja po prostu staram się w możliwie łagodny sposób wprowadzić ją w światła reflektorów. – I jej rodziców.

– Więc zgadzasz się poczekać z ujawnieniem swojego związku, dopóki film nie wejdzie na ekrany? – prosi znowu. George aż za dobrze mnie zna.

– Jasne, oczywiście. Teoretycznie tak. Ale jeśli ktoś pokaże mi zdjęcie Dori i zapyta: „Czy to twoja dziewczyna?”, to nie powiem, że nie. – Parkuję na ogrodzonym terenie ekskluzywnego osiedla Brooke i kończę rozmowę z Georgem, nie gasząc silnika.

– Zanotowałem. – Chrząka. – I jeszcze jedno. Skontaktował się ze mną pracownik socjalny z Teksasu i prosił, żebyś do niego oddzwonił. Masz jakąś sprawę sądową? Powiedział, że chodzi o informacje poufne, o których nie może rozmawiać z nikim poza tobą. Nie sądzę, żebyś chciał wtajemniczać swojego menedżera w tę sprawę, jeśli przypadkiem wiesz, o co chodzi, he?

Krew w moich żyłach zmieniła się w lód, zacisnąłem palce na przekładni skrzyni biegów, jakby groziło mi wyssanie przez otwarte okno samochodu. Brooke zapewniała, że nie wciągnie mnie w tę sprawę, ale najwyraźniej skłamała. Mam szansę poinformować George'a o wszystkim, ale jestem jak sparaliżowany.

– Sam nie wiem, zadzwonię do niego i zorientuję się, o co chodzi.

George wzdycha ciężko, najwyraźniej podejrzewa, że ukrywam przed nim coś bardzo ważnego.

– Prześle mu mailem informację. Zadzwon do mnie, gdybym musiał czegoś dopilnować.

Moja wściekłość przechodzi w osłupienie, kiedy Brooke otwiera drzwi. Brooke pod pewnymi względami przypomina moją matkę – na przykład zawsze wygląda tak, jakby w każdej chwili mogła wyjść z domu bez konieczności przeglądania się w lustrze.

Moja matka nawet po domu chodzi w strojach od najmodniejszych projektantów. I zawsze tak było. Nawet kiedy jest pijana – kiedy była pijana, poprawiam się w myślach, bo już dużo czasu minęło, odkąd widziałem ją w stanie nietrzeźwym – była szykowna i zadbana. Odrobinę staroświecka, ale tylko odrobinę.

Oczywiście Brooke nie wygląda staroświecko.

Rzecz w tym, że wygląda jak Brooke pięć lat temu.

Z niedbale związanego końskiego ogona wymykają się niesforne kosmyki, które wiją się wokół twarzy. W uszach ma cieniutkie złote obręcze. Nie ma makijażu. Jej oczy są duże i niebieskie, a twarz bardzo młoda.

Kiedy chodziliśmy ze sobą, myszkowała czasami w szufladach mojej garderoby i wyciągała parę dżinsów. Chętnie je oddawałem. Zdejmowała swoje modne dżinsy – poruszając się jak w tańcu, co ja śledziłem bez tchu – i wyciągała moje. Doskonale leżały na jej wąskich biodrach, pasowały na nią tak samo jak na mnie, bo miałem jeszcze chłopięcą sylwetkę – wyrosłem z nich kilka lat temu.

– Aach – mówiła, padając na moje łóżko. – O wiele lepiej.

A ja mogłem myśleć tylko o jednym: jak ją znowu z nich wyłuskać.

Znoszone dżinsy, które miała teraz na sobie, mogły być jedną z trzech czy czterech par, które mi wtedy zabrała, chociaż wydaje mi się, że raczej rozszarpała je na strzępki albo spaliła na rytualnym stosie po naszym zerwaniu. Jest na bosaka – paznokcie jej stóp lśnią krwistą czerwienią – i ma na sobie zwyczajny, obcisły, biały podkoszulek.

Bez słowa zaprasza mnie gestem do środka i prowadzi pomiędzy stertami pudeł do salonu. Niezbyt dobrze pamiętam, jak wyglądało jej mieszkanie poprzednio, bo byłem u niej tylko raz i to niemal rok temu – ale wydaje mi się, że paru rzeczy brakuje. No i te pudła.

– Wyprowadzasz się? – zwracam się do niej, zaciekawiony.

Kiwa głową.

– Potrzebuję dwóch sypialni. I obecny wystrój mieszkania nie jest przyjazny dziecku.

Mówi to takim tonem, jakby podobne zdania były w rozmowie między nami czymś najnaturalniejszym w świecie. Jakby sformułowanie: „przyjazny dziecku” padało z jej ust od zawsze.

Brooke przysiadła na skraju krzesła obitego czarną skórą, a ja zajmuję bliźniacze – to jedyne meble w pokoju, jeśli nie liczyć do połowy opróżnionego regału z książkami.

Odzywam się pierwszy, jeśli Brooke miała jakiś plan na tę rozmowę, to właśnie go udaremniłem.

– Mój manager odebrał telefon od pracownika socjalnego z Teksasu. Nie chciał powiedzieć George’owi, o co chodzi, ale jestem pewien, że to ma związek z tobą albo... no, wiesz, z Riverem.

Brooke bierze głęboki oddech i wbija wzrok w swoje splecione na kolanach dłonie, a mnie ogarnia poczucie niepewności.

– Tak, dlatego poprosiłam, żebyś wpadł. – Wzdycha, a ja myślę: O, nie. – Musiałam im powiedzieć.

– Słucham?

– Że jesteś jego biologicznym ojcem.

Szczęka mi opada.

– Co to znaczy, że musiałaś im powiedzieć...

Oczy jej zabłyśły.

– Musiałam wypełnić osiemnastostronicowy kwestionariusz, Reid. Zawierał najbardziej osobiste pytania, jakie można sobie wyobrazić, a Norman, mój adwokat, ostrzegł, żebym była absolutnie szczerą, bo w przeciwnym razie dostanę odmowę, zanim jeszcze sprawa na dobre się zacznie.

– Więc opowiedziałam im o swojej matce, rozbijającej rodziny i o swoim ojcu oszuście. O tym, że właściwie jestem nieślubnym dzieckiem, bo mój ojciec był jeszcze teoretycznie mężem Kathryn, kiedy przyszedłem na świat. O tym, że matka często biła mnie po twarzy, kiedy ją zdenerwowałam, a zaczęła tak wcześniej, że nie pamiętam pierwszego uderzenia. Musiałam ujawnić historię swojego życia seksualnego – wszystko. Swoje relacje z ojczymami i macochami oraz doświadczenie z dziećmi – relatywnie bliskie zeru.

Potrząsam głową.

– Powtarzasz ciągle „musiałam”, ale to nieprawda, Brooke. Nikt cię do tego nie zmusza.

Jej niebieskie oczy zwięzają się i zapala się w nich ogień.

– Skończyliśmy już dyskusję na temat decyzji, jakie podejmuję w związku z moim dzieckiem, Reidzie Alexandrze. – Brooke siedzi na tle okien, padające z nich światło podświetla z tyłu jej jasne włosy. Wyglądają jak aureola, a sama Brooke jak anioł szykujący się do walki.

– Podejmujesz decyzje za mnie, Brooke. Jak możesz tego nie dostrzegać?

– Nie mam wyboru.

– Masz...

– Dobrze! Wobec tego wybieram naszego syna.

Zaciskam zęby i pięści, wstaję z opuszczonymi wzdłuż boków rękami.

– Nazywałaś mnie dawcą nasienia. A teraz mówisz, że jest moim synem, jakby coś mnie z nim łączyło. A to nieprawda. Kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży, nie wierzyłem, że to moje dziecko i doskonale o tym wiesz. Zerwaliśmy kilka tygodni wcześniej. Nigdy nic do niego nie czułem, Brooke, i nie czuję teraz. Jeśli to robi ze mnie bękarta bez serca, niech i tak będzie...

– Nie, Reid. To ty robisz bękarta z niego.

Kładę obie ręce na karku i wysuwam łokcie do przodu, nabrzmiałe bicepsy okalają moją twarz jak końskie klapki na oczy. Chodzę pomiędzy tuzinami pudeł zalegających podłogę i liczę. Raz, dwa, trzy, cztery... Pragnienie, by czymś rzucić, coś połamać, coś wykrzyknąć, sprawia mi niemal ból. Pięć, sześć, siedem. Osiem, dziewięć, dziesięć.

Muszę stąd wyjść. Ale najpierw pytam.

– Czego chce pracownik socjalny?

Brooke blednie, jakby kompletnie o tym zapomniała, a potem oblizuje wargi. Gdyby jej czaszka była przezroczysta, widziałbym, jak gorączkowo obracają się trybiki w jej głowie.

– Paru rzeczy. Chce, żebyś podpisał dokument, w którym dobrowolnie zrzekasz się praw rodzicielskich do niego. To nie powinien być dla ciebie żaden problem, jak sądzę. Norman twierdzi, że to coś w rodzaju aktu zrzeczenia się własności, przeniesienia praw majątkowych na nowego nabywcę. – Przetyka, widzę, jak napinają się mięśnie jej szyi. Odnoszę wrażenie, że chce się jej płakać, ale nie pozwala sobie na łzy. Cała Brooke. Zawsze coś kalkuluje.

– Może cię również zapytać o nasz związek. O zerwanie. O ciążę. I dlaczego nie wpisałam twojego nazwiska do aktu urodzenia. I... dzwoni do różnych ludzi z prośbą o ocenę charakteru. Mojego.

Parskam śmiechem, niewesołym, i wsadzam ręce do przednich kieszeni spodni.

– Do mnie? Faceta, który kilka miesięcy temu miał sprawę o prowadzenie samochodu pod wpływem? Zresztą wątpię, czy moje zdanie miałoby jakiegokolwiek znaczenie, tak czy inaczej.

Brooke wzrusza ramionami z poważną miną. Nie mogę znieść jej widoku. Nie kiedy wygląda tak jak przed laty. Przychodzi mi do głowy, że zrobiła to celowo – ale skąd mogła wiedzieć? Skąd mogła wiedzieć, że przez wiele miesięcy po naszym zerwaniu śniła mi się i wyglądała dokładnie tak, jak teraz?

– Może i nie – mówi. – Ale byłoby znacznie gorzej, gdybym skłamała, że on nie jest twój, albo gdybym w ogóle ci o nim nie powiedziała. Czy możesz wesprzeć mnie przynajmniej w tym jednym i podpisać dokument zrzeczenia się praw rodzicielskich? Nawet jeśli nie jesteś w stanie powiedzieć o mnie dobrego słowa?

Brooke rzeczywiście poinformowała mnie, że jest w ciąży, i nawet jeśli pozwoliła mi sądzić, że to nie moje dziecko, to nigdy mi tego wprost nie powiedziała.

– Potwierdzę twoją wersję, bo jest zgodna z prawdą. Ale zrzeczenie się? To akt prawny, Brooke. – Znowu podejmuję marsz po pokoju. Sterty pudeł pod ścianami ograniczają przestrzeń, wąskie przejścia między nimi odzwierciedlają doskonale stan moich emocji. – Cholera. Ojciec zabiłby mnie, gdyby podpisał jakikolwiek oficjalny dokument bez jego świątłych rad. – Patrzę na nią i powoli potrząsam głową. – Będę musiał mu powiedzieć. I niech Bóg się nade mną zmiłuje.

Rozdział 14

Dori

Mój plan zajęć wygląda jak taca z małymi kawałeczkami do spróbowania, a nie jak porządny posiłek. Każdy z przedmiotów, który wybrałam w tym semestrze, jest poprzedzony słówkami „wstęp do”, co teoretycznie ma sens, biorąc pod uwagę, że jestem na pierwszym roku, więc wszystko może być dla mnie nowe. Gdybym nie zdała testów z czytania ze zrozumieniem oraz analizy ilościowej i gdybym nie miała za sobą czterech semestrów hiszpańskiego, pewnie nie byłoby takiego rozdźwięku pomiędzy moim poziomem przygotowania do studiów a planem zajęć.

Siedzę na ławeczce na wzgórzu Sproul w towarzystwie koleżanki, z którą chodzę na zajęcia wstępu do Socjologii, i czekamy na pozostałe dwie osoby z naszej grupy. Planowaliśmy znaleźć jakieś spokojne miejsce na dworze, żeby się razem pouczyć, ale potem zachmurzyło się całkowicie i temperatura spadła o dziesięć stopni.

Claudia z kwaśną miną rozgląda się za Raulem i Afton.

– Kto wpadł na błyskotliwy pomysł uczenia się na dworze w lutym? Ja. Marznę. Jak. Cholera.

Wzruszam ramionami.

– Na pewno zgodzą się wejść do środka. A wczoraj było ładnie.

– Phi – prycha Claudia. – Znośnie, w najlepszym razie. Zauważyłaś, że we wszystkich broszurach informacyjnych uczelni są zdjęcia szczęśliwych, uśmiechniętych studentów w piękny, bezchmurny dzień? Niezależnie od tego, gdzie jest zlokalizowany dany kampus – w Oklahomie, Dakocie Północnej czy Arizonie – wszędzie. Nikt nigdy nie kuli się z zimna w watowanej kurtce, nie klnie zsiniałymi ustami, nie ma włosów rozwianych na wietrze. Nikt nigdy nie biegnie przez teren kampusu w rześistej ulewie, pod parasolem, z zalanym deszczem plecakiem, wodą chlupiącą w butach i spodniach przemoczonych do pół uda. Nikt nigdy nie ma plam potu pod pachami ani błyszczącej, spoczonej twarzy. O, nie – studenci z broszurek reklamowych rzucają frisbee albo uczą się z ukontentowaniem na zielonych trawnikach przy idealnej temperaturze. Śmieją się w drodze do stołówki albo gawędzą na schodach biblioteki.

Uśmiecham się. Claudia należy do osób, które nieustannie narzekają, ale robi to z takim humorem, że to nie przeszkadza. Jest jak zrzędliva stara dama w ciele osiemnastolatki.

Dwie dziewczyny pojawiają się nagle przed nami i wpatrują się we mnie tak zachłannie, jakby spodziewały się ode mnie informacji, mogącej im uratować

życie. Claudia unosi brwi i również na mnie spogląda.

– Cześć – mówi dziewczyna z lewej. – Mieszkamy w tym samym budynku, prawda? I któreś nocy byłaś z facetem...

U, och. Poznają je teraz – dziewczyny z windy. Przeklęty Reid i jego puszczanie oka!

Staram się zachować nieprzenikniętą minę. Reid powiedział mi, czego oczekuje od niego studio, ale powiedział również, że nie dba o to, co powiem, czy zrobię – i jeśli ktoś mnie o niego zapyta, mogę odpowiedzieć, co tylko zechcę. Ale premiera jego filmu jest już jutro, a ja nie mam najmniejszej ochoty ujawnić się akurat tutaj, teraz, przed obcymi. I Claudią, najbardziej zgryźliwą studentką Wydziału Studiów nad Pokojem i Konfliktami Międzynarodowymi, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie.

Dziewczyna po prawej nie zamierza tracić okazji.

– Czy to naprawdę był Reid Alexander?

Claudia parska śmiechem, zanim zdążę coś odpowiedzieć.

– Czy wy macie nie po kolei w głowie, dziewczyny? Reid Alexander tutaj? I nikt w kampusie go nie zauważył? Dajcie spokój.

– Och. – Ich twarze posmutniały.

Ta z lewej bierze się w garść.

– Czyli ten facet... studiuje tutaj? Na Cal?

Potrząsam głową.

– Nie. Był tylko z wizytą.

– Ojej – mówią chórem, zawiedzione, a ja spoglądam na nie z pochmurną miną.

– To mój chłopak. – Wow. Skąd się u mnie wziął ten ton?

– Twój? – prychna dziewczyna z lewej, nie zadając sobie trudu, by zachować choćby pozory dyplomacji.

Jej koleżanka stara się zachować twarz – i mówi najgorszą rzecz z możliwych.

– Cóż, gratuluję. To znaczy – on wygląda całkiem jak Reid Alexander, więc jest cholernie sexy, oczywiście. Eche.

– Hmm. Dzięki?

– To było dziwne – mruczę, kiedy dziewczyny odchodzą.

I czuję na sobie wzrok Claudii.

– A więc chodzisz z Reidem Alexandrem?

Patrzę w jej ciemne oczy i otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Nie wiem, co powiedzieć.

– Czy nikt ci dotąd nie powiedział, że nie masz twarzy pokerzystki?

Zaciskam wargi.

– Tak – przyznaję. – Raz czy dwa słyszałam już coś takiego.

Claudia przechyliła głowę na bok i uśmiecha się.

– Jesteś dziewczyną z Habitat, prawda? Z ubiegłego lata.

Ojej. Pozbyłam się dwóch zagorzałych wielbicielek Reida Alexandra, ale okazuje się, że jestem w jednej grupie z trzecią, najbardziej niebezpieczną ze wszystkich.

– Jesteś fanką Reida Alexandra?

– Nie, do licha. Moje młodsze siostry są jego fankami. Są dosłownie opętane. Mnie on wydaje się pretensjonalnym, pozbawionym talentu dupkiem.

Zamrugałam.

– Zauważ, że powiedziałam: wydaje się. Właściwie nie widziałam żadnego z jego filmów. I nie może być całkowicie beznadziejny, skoro spotyka się z tobą. Tak sądzę. Chyba że chcesz z tym polemizować.

– Z którą częścią?

Claudia wzrusza ramionami.

– Z którąkolwiek. Jestem otwarta. Tak jakby.

Kiedy w końcu podchodzą nasi koledzy, trzęsąc się z zimna w swoich kurtkach, zaczynam się śmiać.

– O. Ja. To. Wszystko. Pierdolę – mówi Raul. – Czy możemy popracować w jakimś pomieszczeniu zamkniętym? Proszę.

– Z ust mi to wyjąłeś – woła Claudia, z ulgą zrywa się z ławki, jakby przysł czar przywiązujący ją do tego miejsca i rusza zdecydowanym krokiem w stronę biblioteki. – Brr! Cholera. Nie sądziłam, że kiedyś to powiem, ale tęsknię za San Diego. – Odwraca się, kieruje ku nam wskazujący palec i ostrzega: – Nie słyszeliście tego, co powiedziałam.

Afton udaje, że zamyka usta na klucz i wyrzuca ten niewidzialny klucz przez ramię.

– My wszyscy chcieliśmy skądś uciec, koleżanko – mówi. – Ale pewne rzeczy, które raziły nas w domu, wcale nie lepiej wyglądają gdzie indziej.

– Studentka psychologii, Jezu – mruczy Claudia, zbliżając się do mnie. – I czy nie powiedziała do mnie przed chwilą „koleżanko”? To raczej nie poprawi jej notowań u mnie – nieważne, jak apetycznie jej tyłeczek prezentuje się w tych dzinsach. Aczkolwiek ta kwestia o domu i innych miejscach to strzał w dziesiątkę. No więc, jeśli chodzi o tego twojego pięknego chłopaka...?

Uśmiecham się i patrzę jej w oczy.

– On nie jest beznadziejny.

– Mnie to wystarczy – mówi i odpowiada uśmiechem na mój uśmiech.

Mam w przeglądarce zakładki do stron fanklubów Reida, więc mogę z oddali śledzić jego poczynania, jak wszyscy inni. Irytuję się, kiedy pojawiają się

„dowody” na to, że spotyka się z tą czy inną gwiazdką filmową, albo piosenkarką, ponieważ stanął obok niej podczas jakiejś imprezy. Albo kiedy jakaś fanka zgłasza deklarację dożgonnej miłości do niego i chęć posiadania z nim dzieci. Albo gdy ktoś próbuje dociec, kim jestem, skąd się wzięłam i dlaczego, na litość boską, Reid Alexander zavraca sobie głowę kimś takim jak ja.

Przeglądanie tych stron wywołuje we mnie poczucie zbliżone do stalkingu. Z drugiej jednak strony, nie różni się zbyt wiele od wchodzenia na profile przyjaciół na Facebooku i oglądania fotografii dokumentujących ich prywatne życie. Ciekawość to bardzo silne uczucie. Jeśli chodzi o Reida, moja ciekawość została rozbudzona w chwili, gdy nazwał mnie hipokrytką za to, że w kilka dni po poznaniu go uznałam go za beznadziejnego.

Kiedy zobaczyłam jego matkę, stojącą obok niego na czerwonym dywanie podczas uroczystej premiery, nie miałam najmniejszej wątpliwości, po kim Reid odziedziczył swoją olśniewającą urodę. Ten sam koloryt, te same rysy – z wyjątkiem kwadratowej brody, którą ma po ojcu. Lucy Alexander, oszałamiająco piękna i elegancka, patrzy z wyraźną dumą na syna, który rozdaje autografy, albo przechyla się, by sfotografować się z fankami, które napierają na aksamitne sznury i wyskakują ze skóry, żeby się do niego zbliżyć.

Miałam dobry pomysł, żeby Reid zaprosił swoją matkę jako osobę towarzyszącą. On nie był pewien, czy będzie miała ochotę pójść, więc powiedziałam mu, że jedynym sposobem, aby się o tym przekonać, jest zapytać ją.

– Można by pomyśleć, że wręczyłam jej Oscara – relacjonował mi później ich rozmowę. – Najpierw zachłysnęła się powietrzem i zalała się łzami, a ja pomyślałam: No, wspaniale, zdenerwowałam ją. A potem zapytała: „A nie chcesz zabrać Dori?” Więc wyjaśniłem, że nie możesz się wyrwać tego wieczora. Wtedy podeszła i uściskała mnie, czego nie robiła od... sam nie wiem od ilu lat, a potem stwierdziła, że pójdzie z największą przyjemnością.

– A nie mówiłam! – zapałam, a on parsknął śmiechem.

– Powtarzanie tego to twoje życiowe posłannictwo, prawda?

– Tak. I tak się szczęśliwie składa, że jeśli chodzi o ciebie mogę powtarzać to wiele razy.

– Cha, cha, cha. Bardzo zabawne, panno Cantrell. Będę musiał trochę bardziej oszczędnie rozdzielać pochwały. Nie chcę cię zepsuć.

– Och, czyżbyś już się nauczył kontrolować swoje błędy i powściągać złe uczynki? – karzę go, powstrzymując śmiech. – Jak to robisz?

– Cóż, wygląda na to, że mam do wyboru dwie możliwości. Albo częściej postępować dobrze – przestań się śmiać – albo nie mówić tego, co nie wychodzi mi na dobre. Hmm. Trudna decyzja.

Reid

Ja: Musimy o czymś porozmawiać. Osobiście. To ważne.

Tata: Będę w domu około dwudziestej. Pasuje ci?

Ja: Tak. Spotkajmy się w twoim gabinecie. Jutro rano wyjeżdżam do NYC.

Tata nadal ma na sobie ubranie, w którym chodzi do pracy, tylko marynarka od garnituru wisi na specjalnym wyściełanym ramiączku na kołku przy drzwiach. Spinki do mankietów leżą w szklanej miseczce, którą zakupił właśnie do ich przechowywania, a rękawy koszuli podwinął do połowy przedramienia, ale nadal ma na szyi krawat w czerwony wzorek, tyle że rozluźniony.

Pukam dwukrotnie knykciami, żeby zawiadomić o swoim przybyciu. Ojciec podnosi wzrok znad dokumentów, które przegląda.

Odsuwa je na bok i sięga po notes i pióro.

– Reid. Wejdz. – Biorę głęboki oddech i siadam. – Dobrze, mów, co się dzieje?

Cały starannie przygotowany wstęp wylatuje mi z głowy, pozostaje tylko nagi granat, który mam w niego rzucić. Wszelkie kunsztowne wyjaśnienia przepadły, całkowicie i zupełnie. Moje myśli to oderwane słowa, jak raczkującego smarkacza. Albo Tarzana. Ja ojciec. Ty dziadek. RATUNKU.

Patrzę mu w oczy, a on marszczy czoło i czeka, aż przedstawię mu swoją sprawę. Nie boję się ojca, odkąd skończyłem dziesięć lat. Onieśmielony? Tak. Poniżony? Tak. Przestraszony? Nie.

Czy tak się czują jego klienci, kiedy siadają naprzeciw niego przy biurku?

I wtedy uderza mnie prawda. Nie, jego klienci wcale tak się nie czują. Ojciec nie patrzy na nich ze zmarszczonym czołem. Może nakładać na twarz maskę troski. Może nawet autentycznie być zatroskany. Ale twarz, na którą teraz patrzę, oczy, w które spoglądam należą do człowieka zatrwożonego. Wystraszonego. Niespokojnego.

Klienci nie oglądają go takiego. Tylko matka. I ja.

Wycieram spocone dłonie o dzinsy.

– Mam problem i potrzebuję twojej rady. Rady prawnika.

Ojciec odдыcha głęboko przez nos i zmarszczki na jego czole trochę się wygładzają. Odrobinę. Nadal jest czujny, ale już wie, że stoi na doskonale znanym sobie gruncie i że przyszedłem z tym problemem – jakikolwiek jest – do niego, zanim zrobił to ktoś inny. To sytuacja bez precedensu.

– Słucham – mówi.

Nabieram głęboko powietrza, znowu.

– Pamiętasz Brooke?

Krzywi się.

– Brooke Cameron? – Kiwam głową. – Tak, pamiętam.

Czas wyjąć granat.

– Po naszym zerwaniu... – Wyciągnąć zawleczkę. Rzucić. – ...odkryła, że jest w ciąży.

Spodziewam się, że ojciec coś powie, zacznie krzyczeć, prychać, jakoś zareaguje. Ale on tylko świdruje mnie wzrokiem, trochę poblądły, ale trzyma nerwy na wodzy. Rozumie, że nie bez powodu przyszedłem z tym do niego i że jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Na razie nic nie zanotował, postukuje tylko piórem w notatnik.

Przełykam i kontynuuję.

– Urodziła dziecko i oddała je do adopcji. Kilka tygodni temu wynajęła prywatnego detektywa, żeby je odszukać. I znalazła je – w rodzinie zastępczej. Teraz chce adoptować to dziecko. I prosi, żebyśmy podpisał dokument zrzeczenia się praw rodzicielskich. Zanim to zrobię, chcę się upewnić, że niczego nie przeoczyłem.

Ojciec zaczyna coś pisać w notatniku, a ja siedzę i czekam.

Po kilku minutach bierze mnie w krzyżowy ogień pytań. Po każdym pytaniu następuje przerwa na zanotowanie mojej odpowiedzi.

– Powiedziała ci wtedy, że jest w ciąży?

– Tak.

– Powiedziała ci, że oddaje dziecko do adopcji?

– Tak.

– Czy podpisałeś coś – jakikolwiek dokument – świadczący, że przyjmujesz na siebie odpowiedzialność za tę ciążę?

– Nie.

– Nie było również testu na ustalenie ojcostwa, jak mniemam?

– Nie.

– Więc możesz nie być biologicznym ojcem.

– Jestem ojcem.

– Reid, jeżeli nie ma dowodu...

– Jestem ojcem.

Tata skrobie coś w notatniku i mruży pod nosem:

– Wrócimy do tego później. Orientujesz się, czy na akcie urodzenia figuruje twoje nazwisko jako ojca dziecka?

– Nie, Brooke twierdzi, że zostawiła rubrykę pustą. W akcie urodzenia jest zapis: ojciec nieznany.

Tata lekko potrząsa głową, trochę poirytowany.

– To skąd ona teraz nagle „wie”, że dziecko jest twoje?

– Zawsze wiedziała. Ja... ja ją zraniłem. – Widzę, że ojciec drgnął, więc podnoszę ręce do góry. – Nie fizycznie. Jezu, tato, czy ty naprawdę tak kompletnie mnie nie znasz?

– Wybacz – mówi i potrząsa głową. – Ryzyko zawodowe. Prawnicy mają tendencję do przyjmowania wszystkiego dosłownie. Mów dalej.

– Pokłóciliśmy się, zaczęliśmy na siebie wrzeszczeć, jedno głośniejsze od drugiego. Myślałem, że Brooke mnie zdradza, a ona była tak urażona tym podejrzeniem, że pozwoliła mi tak sądzić. A ja, zamiast wszystko spokojnie wyjaśnić, czy choćby dalej się z nią kłócić, zacząłem spotykać się z innymi dziewczynami. Ostentacyjnie. Z mnóstwem dziewczyn. Nawet do niej nie telefonowałem. Ona też nie dzwoniła do mnie – dopóki nie zorientowała się, że jest w ciąży. Boże, nie pamiętam nawet, co jej wtedy powiedziałem – ale dałem jej jasno do zrozumienia, że nic mnie to nie obchodzi. Więc wszystkie decyzje podejmowała sama. Ja nie miałem z nimi nic wspólnego. Do niedawna nie wiedziałem nawet, że to moje dziecko. Dowiedziałem się dopiero kilka tygodni temu.

– Kilku tygodni! Reid, dlaczego zwlekałeś z przyjściem z tym do mnie? – Tata zamyka oczy i wypuszcza z płuc powietrze. – Skąd wiesz, że to twoje dziecko? Bo ona tak twierdzi?

– Ona nie kłamie...

Na twarz taty wraca dobroduszny wyraz doradcy prawnego.

– Nawet jeśli nie kłamie, to jeszcze nie oznacza, *per se*, że ma rację. Może po prostu chce, żeby było twoje...

– On jest mój. – Wyjmuję telefon i znajduję fotografię Rivera.

Ojciec nie wie, co chcę mu pokazać. Bierze ode mnie telefon, spogląda na wyświetlacz, wstaje i mruga powiekami. Patrzy na mnie. I znowu na ekran.

– Ma na imię River – mówię.

– Ile ma lat? – pyta ojciec zdławionym głosem i chrząka, żeby oczyścić gardło.

– Cztery i pół.

Zapisuje w notatniku.

– Trzeba będzie zrobić badanie krwi... – Unosi rękę, kiedy zaczynam protestować. – Jestem adwokatem, Reid. Musisz mi zaufać. Żadna instytucja, ani agencja rządowa nie uzna łudzącego podobieństwa tego dziecka do ciebie za dowód ojcostwa – i nie powinna.

– Więc nie możemy po prostu podpisać papierów?

Ojciec siada na swoim miejscu i potrząsa głową.

– Podpisanie takiego dokumentu ma tylko jeden skutek prawny – odbiera ci prawa rodzicielskie do dziecka. Ale nie pozbawia władz stanowych prawa do pociągnięcia cię do odpowiedzialności finansowej. Mało prawdopodobne, by się do tego posunęli, ale to nie jest nie do pomyślenia – szczególnie jeśli jej starania o adopcję zostaną odrzucone. Teraz: gdzie on obecnie przebywa? Oczywiście znam ludzi z Sądu Rodzinnego w LA.

– On jest w Teksasie. Tam się urodził.

Mój ojciec robi coś, co tylko raz zdarzyło mu się u niego widzieć – w czasie jednego z nawrotów choroby mamy.

Obejmuje twarz rękami i mówi: „O, Boże”.

Rozdział 15

Brooke

Producenci żądają, żebym była obecna na premierze *Serc nad Manhattanem* w Ziegfeld Theatre. Mam wyglądać świetnie i wraz z partnerującym mi aktorem, Chandlerem Beckettem, zrobić jak największy szum w mediach. Już dzisiejszego wieczoru.

Dlatego przed świtem siedzę na lotnisku LAX, w pierwszym rzędzie krzeseł przy bramce, twarzą do kontrolera kart pokładowych, który wyraźnie próbuje przypomnieć sobie, kim jestem. Chyba nieprędko zobaczę znowu na czyjejs twarży taki wyraz, jeśli doniesienia z kas kinowych prowadzących przedsprzedaż biletów na mój ostatni film okażą się prawdziwe. Krytycy już okrzyknęli *Serca* romanssem rozgrzewającym serca – idealnym na walentynkowy weekend.

Ignoruję kontrolera i pochylam się nad laptopem, żeby współpasażerowie, którzy zaczynają zajmować miejsca za mną, nie mieli wglądu w moje prywatne sprawy. Przerabiam internetowy kurs szkolenia rodzicielskiego. Zaliczyłam dotychczas siedem działów, pozostały jeszcze dwadzieścia trzy. Zamierzam uporać się z dwoma w czasie długiego lotu z Los Angeles do Nowego Jorku. Obecny rozdział dotyczy karcenia dziecka w miejscach publicznych. Czytając fragment o zakazie stosowania publicznego zawstydzania jako metody skłaniającej do właściwego zachowania, dochodzę do wniosku, że moja matka nigdy nie przerabiała szkolenia rodzicielskiego.

Chandler przyprowadzi na nowojorską premierę swoją męcząco niestabilną emocjonalnie dziewczynę, Nan. Podczas środowego popremierowego afterparty ostrzegłam go, żeby jej obciął pazurki, bo inaczej napuszczę ją na garderobianą, którą ma znacznie większe powody nienawidzić niż mnie, jeśli wierzyć ostatnim plotkom – zresztą całkowicie prawdziwym. Chandler ma prawdziwy talent, ale powinnam była zażądać dodatkowej opłaty za każdą scenę miłosną. Facet całuje tak, jakby w każdej sekundzie walczył o oddech – żadnej koncentracji, żadnej staranności, żadnej finezji. Nie pojmuję, jak jakakolwiek dziewczyna, nawet Nan, może obawiać się stracić coś takiego. Ja wykopałabym go na ulicę przy pierwszej sposobności.

To mi przypomina o braku osoby towarzyszącej na dzisiejszy wieczór.

– Nie znasz nikogo w Nowym Jorku? – zapytała Janelle. – Przecież nie możesz pokazać się sama na premierowym pokazie filmu, w którym zagrałaś główną rolę.

Po pierwsze, tak, znam kogoś w Nowym Jorku, ale nie mogę do niego zadzwonić i poprosić go, żeby mi towarzyszył. Dzięki, że mi o tym przypomniałaś.

A po drugie...

– Dlaczego nie, do cholery? Nie potrzebuję eskorty. Jestem w stanie przejść z samochodu do teatru – a nawet przypuszczalnie z powrotem! – bez podtrzymywania pod łokieć. Uprzejmie dziękuję.

– Nie o to mi...

– Nieważne, Janelle, skończmy ten temat. Przyjdę sama, pokręcę się przez chwilę na afterparty, a jutro wracam do domu. W przyszłym tygodniu będziemy musiały porozmawiać sobie o paru sprawach.

Pauza pełna obaw.

– O...? Na przykład o jakich?

– W przyszłym tygodniu.

– Świetnie. – Nie jest naprawdę zła, tylko trochę rozdrażniona. Przez pewien czas tak na nią działałam, szczególnie trzy lata temu, kiedy w naszych stosunkach nastąpiła niezbyt subtelna zmiana. W dniu swoich osiemnastych urodzin przejęłam kierowanie własną karierą i wylałam na zbity pysk managera zatrudnionego przez mamę, co zaskoczyło Janelle. Zaakceptowała jednak moją decyzję i nie próbowała wymuszać na mnie zmiany, i dlatego jest nadal moją agentką.

Wracam do rozdziału o dyscyplinowaniu w miejscach publicznych i skupiam się na pytaniach z kilkoma odpowiedziami do wyboru. Pytanie numer cztery: *Twoje dziecko rzuca się na ziemię w ataku złości, bo nie kupiłaś mu batonika w sklepie spożywym. Czy: (a) tłumaczysz, że gdy zje batonik, nie będzie chciało obiadu, (b) prosisz, żeby przestało, (c) dajesz mu klapsa w pupę, (d) ignorujesz to.*

Wydaje mi się, że reakcja: *Przewracam oczami i zastanawiam się, co ja, do licha, wymyśliłam* jest najbliższą odpowiedzi (d). Klikam.

– Co robisz? – rozlega się tuż obok jakiś głos, więc gwałtownie zamykam laptopa, co prawdopodobnie oznacza, że będę musiała zacząć tę część od nowa. Odwracam się i rzucam miażdżące spojrzenie na intruza – na Reida, który zdejmuje moją torbę z sąsiedniego krzeselka i siada obok mnie.

– Co ty tu robisz? – pytam zdecydowanie zbyt głośnym szeptem.

– Wygląda na to, że lecimy razem na premierę. Każde innego filmu, oczywiście.

– Co? – Potrząsam głową, jakbym chciała pozrywać pajęczyny spowijające moje myśli. – Lecisz dzisiaj do Nowego Jorku? Moim samolotem?

– Albo ty moim. – Reid uśmiecha się nieco złośliwie i wyjmuję z tylnej kieszeni spodni bilet. – Jakie masz miejsce? Sprawdźmy to od razu.

Reid zawsze woli siedzieć przy przejściu, a ja przy oknie. I, oczywiście, oboje lecimy pierwszą klasą, sami. Wyciągam swój bilet i porównuję z jego.

– Kpisz sobie ze mnie? – 3 A, 3 B.

– Jakie mam szanse dotrzeć do Nowego Jorku żywy? – Reid, który nigdy nie należał do skowronków, wydaje się zaskakująco przytomny jak na faceta, który

o tej porze powinien odsypiać randkę z jedną lub kilkoma idiotkami i spóźnić się na samolot.

Jeśli tylko z kilkoma.

– Spore, jeśli natychmiast się zamkniesz i do końca lotu pozostaniesz niemy – mamrocze pod nosem.

Chciałabym wrócić do pytań kończących rozdział, dopóki mam go jeszcze świeżo w pamięci, ale nie mam ochoty tego robić, kiedy Reid zagląda mi przez ramię.

– Czy nie mógłbyś udawać, że mnie nie znasz przez następnych sześć... – Zerkam na wyświetlacz telefonu. – ...czy, o-mój-Boże, siedem godzin?

Uśmiecha się, skubiąc paznokcie. I pyta cicho, nie patrząc na mnie.

– Dlaczego nadal mnie nienawidzisz?

– A czy ty jesteś dla mnie dobry? – syczę po chwili wahania.

Reid zaciska palce na siedzeniu swojego krzeselka i przechyla głowę, żeby móc patrzeć wprost na mnie. Włosy opadają mu na twarz, zasłaniając przed wszystkimi poza mną malujący się na niej wyraz skupienia.

– Ja ciebie nie nienawidzę, Brooke.

Kontroler zawiadamia, że wkrótce rozpocznie wpuszczanie pasażerów na pokład. Reid przerywa nasz pojedynek wzrokowy i odwraca się, żeby wziąć z sąsiedniego krzeselka nasze bagaże. Chowam laptopa do torby na kółkach i wstaję, a on zarzuca swoją jedyną torbę na ramię i podaje mi moją.

– Pasażerowie pierwszej klasy proszeni są o wejście na pokład – kontroler wygłasza utartą formułkę.

Ruszam pierwsza i pokazuję mu swój bilet, Reid idzie tuż za mną.

W samolocie podchodzimy do naszych miejsc, Reid odruchowo sięga po mój bagaż i wkłada go do schowka nad głową, a swoją torbę umieszcza obok. Siadam na swoim miejscu, on opada na sąsiedni fotel i oboje jak na komendę sięgamy po menu napojów, unikając kontaktu wzrokowego ze współpasażerami, którzy mozolnie przeciskają się obok nas.

Przemyka mi przez myśl, że w oczach tych obcych ludzi wyglądamy tak, jakbyśmy podróżowali razem.

W pół godziny później jesteśmy już oboje po kawie, a Reid zdążył nawet zamówić i pochłonąć torbę karmelowego popcornu. Samolot kołuje na pas startowy, po czym nareszcie wzbija się w powietrze pod jakimś niepokojącym kątem, ale my nie zamieniamy ze sobą ani słowa.

Po godzinie chrząkam.

– Podpiszesz dokumenty? – Moje pytanie jest ledwo słyszalne w warkocie silników samolotowych.

Reid przysuwa się bliżej, ale nie odwraca głowy, żeby na mnie spojrzeć.

– Rozmawiałem z tatą. Zażądamy najpierw testu na ustalenie ojcostwa.

Niechęć wybucha we mnie gwałtownie, jak pożar. A potem przypominam sobie, że ojciec Reida jest adwokatem. I oczywiście, podobnie jak Norman Rogers, podejmuje wszelkie działania z rozwagą – tym bardziej, że sprawa dotyczy jego syna. Na początek chce mieć niepodważalny dowód. A ja wiem lepiej niż ktokolwiek, że ten dowód będzie rozstrzygający.

– Ile trzeba czekać na wynik? – pytam, tłumiąc niechęć.

– Chyba niezbyt długo. Ja zrobiłem już, co do mnie należy.

– O?

Reid wzrusza ramionami.

– To nie jest takie skomplikowane. Kiedy pobiorą materiał od niego, to potrwa najwyżej dzień czy dwa. – Znowu roznoszą drinki, ja biorę wodę sodową, a Reid zamawia (i dostaje) szkocką z lodem i podejmuje temat. – Nie bardzo wiem, co będzie potem. Wszystko się komplikuje przez fakt, że wyjechałaś do Teksasu... – Zniża głos do szeptu. – ...żeby go urodzić. Zrzeczenie się skutkuje jedynie odebraniem mi praw...

– Ty nie masz żadnych praw – syczę.

– Pomyśl o tytule tego formularza, Brooke. Gdyby nie istniały żadne prawa, nie miałbym się czego zrzekać.

O, Boże.

Reid

To afterparty jest najbardziej dętą imprezą, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Hotelowa sala balowa wygląda tak, jakby ktoś pociął na kawałki Gastown, chińską dzielnicę Vancouver, i przetransportował ją samolotem do Nowego Jorku. Na jednej ze ścian wyświetlane są ruchome obrazy z Burrard Inlet, a na pozostałych stworzono wierne repliki okien wystawowych na fasadach domów. Stoliki bistro stoją wzdłuż brukowanych „uliczek”, a okrągłe latarnie rzucają kręgi światła na kwadraty prawdziwej trawy i chodniki dla pieszych, na których tu i ówdzie rosną podświetlane drzewka. W samym centrum tego wszystkiego znajduje się Gastown Steam Clock, który – za sprawą magii generowanej komputerowo – rozpada się na kawałki w przedostatniej scenie *Zabójstwa z litości*.

Pstrykam kilka zdjęć i przesyłam je Dori.

Ja: Czy to nie dziwaczne? Szkoda, że cię tu nie ma.

Dori: A ja żałuję, że nie jestem w LA. Mama przed chwilą dzwoniła. Żle z Esther.

Ja: Jest chora?

Dori: Nie chcę ci psuć wieczoru. Mam mętlik w głowie. Możemy

porozmawiać jutro, proszę?

– Mów. – Znalazłem ustronny kącik pod salą balową. Ludzie łożą co prawda po korytarzu i słyszą kapelę z imprezy, ale to miejsce zapewnia jaką taką dyskrecję. Na większą będę mógł liczyć dopiero po powrocie do swojego pokoju w hotelu.

Dori płacze. Nie. Ona wyje. Serce mi się ściska, jakby ktoś wsadził rękę między żebra i miażdżył je w garści, i wiem tylko, że zrobiłbym wszystko, wszystko, aby położyć kres jej udreć.

– Reid. – Jej głos jest ochrypliwy. Bóg jeden wie, od jak dawna była w takim stresie, zanim wysłałem jej ten głupawy filmik, przyjmując wyrazy uznania od widzów i tłumów ludzi zgromadzonych na zewnątrz. Wszystko się we mnie wywraca, kiedy słyszę jej łkania. – Ja nie... nie chciałam ci zepsuć wielkiego wieczoru. Czy możemy porozmawiać jutro? – Dori zasłania ręką telefon, żebym nie słyszał, jak szlocha pomiędzy zdaniem. Jakbym tego nie wyczuwał.

– Kochanie, powiedz mi, proszę. Nic nie jest dla mnie teraz tak ważne. Co się stało?

Dori walczy ze sobą, stara się powstrzymać od płaczu, powoli wciąga powietrze do płuc, co brzmi jak zajknięcia.

– Wiedziałam, że to nadchodzi. Esther ma za sobą długie, szczęśliwe życie. Jest w moim wieku, wiesz? Kiedy ją adoptowaliśmy, podali nam datę urodzenia – taką samą jak moja, tego samego dnia. Psy nie żyją tak długo. Miałam szczęście.

Najchętniej rozwaliłbym ten telefon, taki jestem sfrustrowany, że nie mogę jej pocieszyć.

Pomysł ze związkiem na odległość jest kompletnie do dupy.

– W zeszłym tygodniu zaczęła kuleć i tata zabrał ją do weterynarza. Ma... – Znowu z drugiego końca linii dobiega szloch, a ja odwracam się do ściany i zaciskam zęby. – Ma mnóstwo guzów. Wszędzie. Przez ostatnich kilka dni skomlała przy chodzeniu, a wczoraj przestała jeść. Jutro rano rodzice zawiozą ją do weterynarza. – Wybuchła płaczem, a ja klnę pod nosem.

– Kiedy widziałam ją ostatnio, to był naprawdę ostatni raz, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie mogłam się z nią pożegnać. Zupełnie jak... – Znowu łzy.

Zupełnie jak z Deb. No nie, do cholery. Nie ma mowy.

– Dori. Muszę iść. Zadzwoń do ciebie za jakieś... dziesięć minut. Może piętnaście, okej?

– Nie musisz dzwonić, Reid, naprawdę. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś...

– Odbierz, jak zadzwonię. Okej? Obiecuj.

Bierze głęboki oddech i odpowiada takim schrypniętym piskiem, że aż serce się ściska.

– Okej.

Ledwo się powstrzymuję, żeby nie trzasnąć pięścią w ścianę przede mną. Ale złamanie sobie ręki niczego nie rozwiąże.

– Halo. – Dori odbiera głosem jeszcze bardziej ochryplym niż poprzednio, ale nie płacze.

– Hej, malutka. Mam dla ciebie instrukcje. Masz pod rękę coś do pisania?

– Instrukcje? – Pociąga nosem. – Do czego? – Słyszę szelest papieru. – Okej?

– Jesteś w swoim pokoju?

– Tak.

– Okay, dobrze. Zapisz sobie ten numer – to ważne: 1360. To numer twojego lotu. Zaczynaj się pakować. Natychmiast. Pod Starbucksem będzie czekał samochód, który zawiezie cię na lotnisko. Start za nieco ponad godzinę, to ostatni dzisiejszy lot.

– Co? Ale nie możesz...

– Nie dyskutuj ze mną, nie ma na to czasu. Pakuj torbę. Idź do Starbucksa. Wsiądź do samochodu. Kierowca podwiezie cię pod właściwe wejście. Wejdź na teren lotniska, idź prosto do punktu odpraw pierwszej klasy i odbierz swój bilet. Nie zapomnij wziąć prawa jazdy. Parę lat temu dostałem ciężką nauczkę, kiedy nie chcieli mnie wpuścić do samolotu bez dowodu tożsamości. Kiedy wylądujesz, będzie na ciebie czekał drugi samochód – kierowca ma trzymać kartkę z twoim nazwiskiem – który odwiezie cię prosto do domu.

Dori znowu zaczyna płakać i zaczynam się obawiać, że będzie się ze mną spierać, ale – Bogu dzięki – rzuca tylko zdławione „dziękuję”.

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć „Kocham cię”. Nie poproszę o odwzajemnienie tego wyznania, a już na pewno nie w nagrodę za to, co zrobiłem. A tym właśnie byłoby teraz jej wyznanie. Powie to we właściwej chwili.

– Daj mi znać, jak dotrzesz do domu. Nie przejmuj się różnicą czasu, nie położę się spać, dopóki nie usłyszę, że bezpiecznie dotarłaś na miejsce. Zadzwoń do rodziców, kiedy będziesz w samochodzie.

– Okej. Dziękuję, Reid – mówi znowu.

– Idź się pakować. Niedługo pogadamy. Dzwoń, gdybyś miała jakikolwiek problem. Będę miał telefon w przedniej kieszeni spodni, nastawiony na taką wibrację, żeby mi nogę urwało.

Jej smutny śmiech dosłownie rozkłada mnie na łopatki. Jeśli tata miał dotąd wątpliwości, czy traktuję Dori poważnie, to teraz pozbył się już wszelkich wątpliwości.

Rozdział 16

Dori

Kiedy miałam sześć lat, straciłyśmy z Deb ostatnie z dziadków – pewną siebie i bystrą matkę taty, która robiła najlepsze na świecie ciasteczka z cukrem, lubiła śpiewać i z radością wspominała czasy, gdy uczyła gry na fortepianie.

– Kocham cię, moja mała siostrzyczko – wyznała Deb i przykryła mnie kołdrą pod samą brodę.

– Jak bardzo? – zapytałam. Esther ułożyła się przy mnie, jak co wieczór.

Deb pochyliła się nade mną i jej poważne, czternastoletnie oczy zabłysły.

– Ile jest ziarenek piasku na wszystkich plażach świata – wyszeptała.

– A na jak długo? – nie odpuszczałam, a ona podniosła oczy do nieba.

– Na wieki wieków amen. – Uśmiechnęłam się wtedy, a ona dodała: – Uhm.

Powtarzałyśmy ten rytuał od czasu do czasu przez wiele lat, choć nigdy nie wątpiłam w miłość siostry. Ale jej zapewnienia stanowiły dla mnie pociechę, gdy tego potrzebowałam.

Musiałam zaakceptować, że Deb zmieniła się już na zawsze. Że nigdy nie usłyszę jej charakterystycznego śmiechu ani głośnych rad. Nigdy nie obejmą mnie jej ramiona. I nigdy nie powie mi, że będzie mnie kochać po wieczne czasy. Odeszła, choć nie odeszła, a moje serce tkwi w zawieszeniu i nie potrafi powiedzieć: żegnaj.

Dzięki Reidowi mam szansę pożegnać się z Esther. Minionej nocy spała przy mnie po raz ostatni, skulona przy mojej piersi i cichym skomleniem zdawała się mnie przeproszać, a mnie o mało nie pękło serce. Szeptałam jej do ucha, jak bardzo ją kocham i jaką była wspianiałą przyjaciółką. Wpatrywała się we mnie dużymi, ciemnymi oczami i czułam, że i ona się ze mną żegna.

Wracając do domu, z całej siły ścisnęłam w rękę jej podniszczoną, czerwoną obrozę, a łzy płynęły mi ciurkiem po twarzy. Czytałam inskrypcję na znaczku – jej numer identyfikacyjny, naszą wspólną datę urodzenia, numer telefonu i adres, gdyby zaginęła, oraz jej imię: Esther Cantrell.

Może się wydawać dziwne, że pies ma nazwisko, ponieważ nie jest mu ono potrzebne ani w szkole, ani w pracy, ale nazwisko to coś naturalnego. Esther i ja nosimy to samo nazwisko, ponieważ należała do rodziny, od czubka nosa aż po koniuszek ogona.

Kayla: Dori, czy obejrzałaś zdjęcia, do których link ci przysłałam? Może nie się nie dzieje, ale nigdy nie lubiłam tej Brooke Cameron. Jest prawdopodobnie

równie głupią dziwką jak jej bohaterka z plażowego życia.

Ja: To na pewno nic ważnego. Jestem teraz w domu. Dziś rano uśpiliśmy Esther. Wracam do Cal jutro.

Kayla: O, nie! :(Kochałam Esther. Tak mi przykro. Może wpadniemy z Aimee, żeby cię podnieść na duchu?

Ja: Nie sądzę, aby to było możliwe, ale dziękuję. Chcę odwiedzić dzisiaj Deb. Zobaczymy się następnym razem, obiecuję.

Kayla: Okay. *Uściski* Będziemy śledziły tę dziwkę Brooke za ciebie.

Link przesłany przez Kaylę otwiera stronę plotkarską. Na górze są dwa zdjęcia – najwyraźniej zrobione telefonem komórkowym – Reida. Z Brooke Cameron. Razem. Na jednym siedzą obok siebie na lotnisku i rozmawiają, czekając na pozwolenie wejścia na pokład. Na drugim siedzą już razem w samolocie.

Rozmawiałam z nim dzisiaj, ale nawet o niej nie wspomniał. Może czeka, aż ja poruszę ten temat. Albo ma nadzieję, że tego nie zrobię. Nie powiedział mi, że lecieli do Nowego Jorku razem, choć najwyraźniej tak było. Są również zdjęcia każdego z nich osobno – na premierach ich nowych filmów tego samego wieczora, oboje przyszli sami. Bez partnerów, bez osób towarzyszących. Media spekulują, oczywiście, jak szalone, co to może oznaczać, i zamieszczają również ich zdjęcie sprzed lat, na którym trzymają się za ręce, szczęśliwi.

Nie chcę go o nią pytać. Ten dzień wyczerpał mnie emocjonalnie i nie jestem zdolna do racjonalnego myślenia.

I czuję wdzięczność za to, że dzięki Reidowi siedzę teraz przy kuchennym stole i robię ze sterty kulek z modeliny i glinki nagrobek dla Esther, który umieszczę na miejscu jej wiecznego spoczynku w ogrodzie za domem. Dwie godziny temu ułożyliśmy ją z tatą delikatnie w głębokim dole, który wykopał o świcie, przed naszym wyjazdem. My układaliśmy ciało Esther, a mama stała z boku, trzymając skórzaną kość i jej ulubioną zabawkę – piszczący banan – żeby je pochować wraz z nią.

Esther kochała bieganie i zabawy. Należała do psów, przy których nie można stawiać kruchych przedmiotów na niskich stoliczkach, bo wiecznie merdają ogonem i zrzucają je na podłogę. A teraz, owinięta moim ręcznikiem plażowym, który tyle razy mi podkradała, by wciągnąć go na swoje posłanie jak koc bezpieczeństwa, że w końcu go jej oddałam, wydawała się taka mała.

– Masz ochotę na herbatę? – pyta mama równie ponurym głosem jak mój. Rozpacz po stracie Esther ożywiła w naszej pamięci okropny wypadek Deb. Wszyscy troje nieustannie zmagamy się w milczeniu z utratą mojej siostry, choć żadne z nas o tym nie mówi.

– Tak, poproszę. Czarna?

Mama kiwa głową i podchodzi do zlewu z czajniczką do herbaty. Spogląda przez okno na ogród ze świeżym wzgórką porośniętym kwiatami, na

którym ułożę swój stosik kamyków. Za miesiąc ziemia osiadzie, a kiedy zrobi się cieplej, tata zasadzi tam nowe kwiaty.

Deb opowiadała mi zabawne historyjki z czasów, gdy Esther była szczeniakiem – i regularnie rozkopywała grządki kwiatowe taty, żeby schować swoje smakołyki i zabawki. A potem składała wyrwane z korzeniami rośliny na schodkach do ogrodu, jak wyznanie albo prezent – doprowadzając do furii tak zwykle niewzruszonego tatę.

– Co u Reida? – pyta mama i jej pytanie całkowicie mnie zaskakuje.

– Wszystko dobrze, jak sędzę. Odwiedził mnie w zeszłym tygodniu. – Nie podnoszę oczu znad sterty, nad którą pracuję, ale i tak czerwienieją mi uszy z obawy, że mama zapyta, gdzie nocował.

Mama milczy przez kilka chwil, zajmując się herbatą. Odzywa się dopiero, stawiając przede mną dzbanek.

– Ładnie z jego strony, że przysłał cię wczoraj do domu. Zamierzasz się z nim spotkać w czasie pobytu tutaj?

Usłyszałam w jej tonie lekki przytyk, więc odpowiadam, jakbym się broniła.

– Reid jest teraz w Nowym Jorku. Nie wraca do LA do jutra, a wtedy ja już wyjadę z powrotem do Berkeley.

– Och – mruży mama w zamyśleniu. I bez dalszych komentarzy wychodzi, żeby zanieść herbatę tacie. Tata jest w gabinecie, przygotowuje kazanie na jutrzejszą mszę. Nie mogę sobie wyobrazić, jakim cudem zdoła stanąć jutro przed zgromadzeniem wiernych i wspierać ich czy pouczać. Z drugiej strony jednak tata nie przestał wykonywać swoich obowiązków nawet po wypadku Deb.

Niezależnie od tego, jak wielka strata nas dotknęła i jak głęboka jest nasza żałoba, życie toczy się dalej, jakby nic się nie zmieniło. W pewnym momencie każdy człowiek pogrążony w rozpacz staje przed wyborem: pójść na dno albo wypłynąć na powierzchnię. Nie ma innej alternatywy.

Reid

Wyniki testu na ojcostwo już są. Bez niespodzianek – jestem ojcem Rivera. Spodziewałem się takiej odpowiedzi, oczywiście. Nie spodziewałem się natomiast przyływu irracjonalnego lęku na chwilę przed przekazaniem mi przez tatę wyniku – pozytywnego, stwierdzonego z dziewięćdziesięćdziesięcioprocentową pewnością – bałem się usłyszeć, że to nie moje dziecko.

– To zdecydowanie twój syn. – Pełen potępienia ton taty jasno sugeruje, że nie takiej odpowiedzi sobie życzył. Nie mogę mieć o to do niego pretensji. Nie tak wyobrażał sobie zostanie dziadkiem (zakładając, że w ogóle kiedykolwiek to sobie wyobrażał), aczkolwiek z prawnego punktu widzenia nim nie jest. Jeszcze.

Spodziewałem się, że ta odpowiedź spotęguje jeszcze moją frustrację, choć przecież ją przewidywałem. Ewentualność, że będę musiał powiedzieć o tym Dori, zmieniła się właśnie w prawdopodobieństwo. Dwa miesiące temu odzyskałem prawo jazdy i wydawało mi się, że to oznacza koniec moich kłopotów z prawem, a tymczasem wkrótce znowu piekielnie skomplikują mi życie. A najbardziej kuriozalne jest to, że nagle poczułem się, wbrew własnej woli, zobowiązany wobec Brooke.

Powinienem być wkurzony, a tymczasem jestem rozdarty wewnątrz, ale czuję też ulgę. Co. Do. Jasnej. Cholery?

Przychodzi mi więc do głowy, że może to reakcja czysto biologiczna? Jestem facetem i spłodziłem syna. Może u podłoża tego wszystkiego jest zapierająca dech w piersiach satysfakcja? Jakie to żalosne i archaiczne... Cholera, poważnie? I zaraz potem przychodzi mi do głowy, że ten sam dzieciak zmienił Brooke Cameron w zacieklą orędowniczkę macierzyństwa – jej własnego, oczywiście – nie instytucji jako takiej. Ale jednak. Tylko jakiś pierwotny instynkt można obarczyć odpowiedzialnością za taką odmianę.

W sześć godzin później spotykam się z tatą, żeby zdecydować, co dalej. Padam na krzesło naprzeciw niego i czekam, aż skończy wysyłać e-mail do klientki. Jego domowy gabinet wygląda tak samo jak zawsze – to niemal replika jego kancelarii w wieżowcu, choć od lat nie przyglądałem się jej zbyt dokładnie.

Oczywiście tata nie spotyka się tu z klientami, więc nie ma potrzeby szpanować gustownymi dziełami sztuki, równo ustawionymi na półkach kodeksami prawnymi, czy fotografiami uśmiechniętych członków rodziny. W związku z tym jedyne dzieła sztuki, jakie wiszą na ścianach, to kilka okropnie ponurych malowideł wojennych, jakie odziedziczył po rodzicach, zmarłych zbyt wcześnie, by w mojej pamięci zachowały się po nich jakiegokolwiek wspomnienia. Za jego plecami, na wbudowanym w ścianę regale, stoją ustawione bez ładu i składu tomy zawierające zbiory aktów prawnych stanu Kalifornia oraz federalnych, kodeksy karne (których tytuły sprawiają, że zaczynam chichotać jak dziesięciolatek) i grube tomy z precedensami Sądu Najwyższego.

Po raz kolejny dziękuję losowi, że zostałem aktorem, choć zastanawiam się czasami, czy kariera mojego ojca tak bardzo różni się od mojej.

Na komodzie stoją oprawione w ramki fotografie – zwrócone przodem do biurka taty, jakby spoglądał na nie od czasu do czasu, a przynajmniej mógł to zrobić, gdyby go naszła ochota. Najbardziej lubię największe zdjęcie, przedstawiające rodziców w dniu ślubu. Obok stoi fotografia mamy trzymającej na rękach mnie zaraz po urodzeniu – ona, świeża i piękna, a ja, wałek z niebieskiego kocyka, z którego wystaje pomarszczona buzia wielkości grapefruita. Na kolejnym

zdjęciu jestem ja z mamą w dniu, w którym po raz pierwszy poszedłem do przedszkola, z ogromnym plecakiem na ramionach, zupełnie jak ślimak z muszlą na grzbiecie. Mama uśmiecha się do mnie i trzyma rękę na mojej głowie, a ja patrzę wprost w obiektyw, cały składam się z zębów i wielkich, niebieskich oczu.

Tata stuka w klawiaturę, a ja biorę do ręki cynową ramkę. Wpatruję się uważnie we własne zdjęcie, porównując je w pamięci do fotografii Rivera. Jestem na tej fotce tylko o rok starszy od niego, ale wydaję się znacznie wyższy. Mam na sobie nowe, drogie ubrania – lustrzane odbicie modnych ciuchów, jakie nosili w tamtym okresie dorośli, choć wtedy ani nie zdawałem sobie z tego sprawy, ani o to nie dbałem. Wyraz mojej twarzy jest jak najdalszy od powagi. A mimo to dostrzegam Rivera we własnych rysach. Tak by wyglądał, gdyby był zadbany. I szczęśliwszy.

Nie chciałem tego, zupełnie nie chciałem, ale znalazłem się w takiej sytuacji jak człowiek przywiązany do szyn, po których nadjeżdża pociąg: nie mam innego wyjścia, jak zaakceptować nieuniknione i starać się tylko zminimalizować konsekwencje zderzenia.

– Zrobione – mówi tata, a ja odstawiam fotografię na miejsce i siadam przy biurku. Opieram łokcie na kolanach i wychylam się do przodu, ze złożonymi rękami. Znowu mam to samo uczucie, jakiego doświadczyłem kilka dni temu wśród stert pudeł w mieszkaniu Brooke – że ściany się zamykają.

– Nie oczekuję, że od razu odpowiesz na moje pytania, choć nie możemy zbyt długo zwlekać z podjęciem decyzji, nie ma na to czasu. Powiedziałeś, że panna Cameron zamierza adoptować dziecko...

– Rivera.

– Rivera. Racja. – Jego długopis skrobie po notatniku. – Nie wiesz, czy chce nadal mieszkać w LA? A może przeprowadzi się do Teksasu?

– Przeprowadza się właśnie do apartamentu z dwiema sypialniami w pobliżu tego, w którym mieszkała dotychczas. Co przypuszczalnie oznacza, że zamierza spędzać tutaj większość czasu, jeśli nie cały.

Tata sznurkuje usta i postukuje piórem, wpatrując się w swoje notatki.

– W pierwszej chwili miałem nadzieję, że zdołam cię jakoś z tego wypłatać, bo to nie jest coś, z czego można się wykpić kilkoma tygodniami pracy społecznej albo grzywną. Ale to już nie wchodzi w rachubę.

Tata wychyla się do przodu i nasze oczy się spotykają – jego są ciemne, jak oczy Dori – i mimowolnie zaczynam się zastanawiać, od jak dawna już tak na siebie nie patrzyliśmy.

– Nie zamierzam ci robić wykładów na temat zabezpieczania się. Myślę, że wszystko o tym wiesz i może nawet wiedziałeś już wtedy, choć nie przestrzegałeś tego konsekwentnie. Jeżeli komuś należą się kazania, to mnie. Chryste, nie miałeś jeszcze piętnastu lat, kiedy do tego doszło. – Przesuwa dłonią po szpakowatych

włosach i mocno zaciska zęby. – Pozostaje jednak faktem, że zostałeś ojcem dziecka, sam jeszcze będąc dzieckiem. To dziecko, zamiast żyć sobie spokojnie w stabilnej rodzinie adopcyjnej, trafiło do rodziny zastępczej i najprawdopodobniej w najbliższym czasie zamieszka z twoją niestabilną emocjonalnie byłą dziewczyną. I to lada dzień.

– Co chcesz mi powiedzieć, tato?

– Chcę ci powiedzieć, że jeśli teraz zrzekniesz się praw do niego, możesz do końca życia tego żałować.

Okej. To dzień niespodziewanych odpowiedzi. Kiwam głową i patrzę na swoje ręce, a on mówi dalej.

– Kiedy przyszedłeś na świat, obawiałem się, że będę fatalnym ojcem. Twój dziadek był surowym mężczyzną i nie nauczył mnie ojcowskiej czułości. Podejrzewam, że pod wieloma względami moje obawy się potwierdziły, ja je potwierdziłem. Ale nigdy nie odwróciłem się do ciebie plecami. Nie muszę patrzeć teraz na ciebie i tłumaczyć się z tego, że zrzekłem się praw do ciebie. W przypadkach takich jak twój i Brooke oddanie dziecka do adopcji jest słuszną decyzją, prawie zawsze. To, co spotkało to dzie..., co spotkało Rivera, w zasadzie nigdy się nie zdarza. Ale teraz liczy się tylko to, co zrobimy w zaistniałej sytuacji. Co ty postanowisz zrobić – bo ja nie mogę podjąć takiej decyzji za ciebie. Ale będę stał przy tobie, niezależnie od tego, jakiego wyboru dokonasz.

Zamykam oczy i błagam, żeby te ściany rozsunęły się choć odrobinę i pozwoliły mi oddychać.

– A co się stanie, jeśli nie podpiszę tych dokumentów?

– Są trzy możliwości. Pierwsza: możesz po prostu odmówić ich podpisania, co utrudni Brooke przeprowadzenie adopcji, ale prawdopodobnie w końcu zostaniesz zaocznie pozbawiony praw rodzicielskich. Druga: przyłączysz się do wniosku Brooke o adopcję i wystąpisz o wspólne sprawowanie opieki nad dzieckiem. I trzecia: wystąpisz o pełną kuratelę nad synem. Z uwagi na fakt, że miałeś zaledwie piętnaście lat, kiedy on przyszedł na świat, a nikt nie uznał za stosowne poinformować o tym fakcie twoich opiekunów prawnych, choć Brooke wiedziała, że to ty jesteś ojcem dziecka, możemy wystąpić do sądu o uznanie, że nigdy nie zrzekłeś się praw rodzicielskich. Ona, za zgodą rodziców, podpisała akt zrzeczenia się dziecka. Ty nie podpisałeś niczego. My również nie.

Brooke wpadnie w furję, niezależnie od tego, którą z tych możliwości wybiorę. Stracę Dori, kiedy jej powiem o dziecku. I mogę zniszczyć kruchą jeszcze trzeźwość mamy.

– A co z mamą? Jak to wpłynie na nią?

Usta taty zaciskają się w wąską linię. Milczy przez chwilę.

– Borykam się z tym problemem przez cały dzień. Nie wiem, Reid. Ona codziennie chodzi na meetingi. I dobrze się czuje. Lepiej niż kiedykolwiek w ciągu

ostatnich dziesięciu lat. Ale obaj wiemy, że takie przewroty...

– Wiem. – Obejmuję głowę rękami, rozdarty w milion stron na raz.

Tata pozostaje jednak zawsze adwokatem.

– Muszę znaleźć sposób, żeby powiadomić ją o tym możliwie delikatnie. Ale to już moja sprawa. Ty masz wystarczająco dużo na głowie.

Rozdział 17

Brooke

Rozmowa z Janelle przebiega tak, jak się tego spodziewałam. Stopniowo dociera do niej cały ten szajs i upiera się, że powinnam była powiedzieć jej o tym wszystkim już dawno.

– Dlaczego? – pytam, siedząc rozparta na brązowej, skórzanej kanapie naprzeciw jej biurka. Janelle chwali się wspaniałą panoramą Hollywood widoczną z okien jej nowego, narożnego biura znajdującego się kilkanaście pięter wyżej od poprzedniej klatki wielkości pudełka do butów z widokiem na parking.

– Żebym mogła się przygotować na takie rewelacje jak ta! – wybucha.

Przewracam oczami.

– A jak mianowicie mogłabyś się na to przygotować? Oddałam go do adopcji, kiedy miałam szesnaście lat i nie spodziewałam się go więcej zobaczyć. Skoro ja nie mogłam się na to „przygotować”, to jak miałabyś przygotować się na to ty, do cholery?

– Świetnie. – Pluje na mnie tym słowem oznaczającym: mam-już-tego-wszystkiego-po-uszy. – Ale nadal uważam, że powinnaś była mi o tym powiedzieć.

Leniwie wzruszam jednym ramieniem, czego ona nie znosi.

– Janelle, jeżeli do tej pory nie zorientowałaś się jeszcze, że wielu rzeczy o mnie nie wiesz i nigdy się nie dowiesz, to mamy poważny problem.

Gdyby pióro, które trzyma w ręce było trochę cieńsze, to Janelle miałyby teraz w garści dwie połówki pióra i twarz zachlapaną atramentem. Zaciska zęby i uśmiecha się sztywno.

– Może zamierzasz mi powiedzieć coś jeszcze?

No i mamy – właściwy powód mojej wizyty.

– No, cóż. Tak.

Janelle szerzej otwiera oczy.

– Robisz wrażenie zmieszanej. Nigdy cię takiej nie widziałam. Nie podoba mi się to. Co... – Widzę, jak w jej mózgu zachodzą błyskawiczne skojarzenia i twarz Janelle blednie. – O, nie! *Papierowe oceany*, powiedz, że nadal chcesz zagrać w tym filmie. Prawda, Brooke? Brooke, ja jestem zbyt młoda i zdrowa, żeby umrzeć na atak serca, choćbym nawet tego chciała!

– Przykro mi, Janelle. Po prostu nie widzę możliwości.

Kolory stopniowo wracają na jej zblęiałą twarz, poczynając od dołu, jakby coś je wypychało do góry.

– A-ale sama mówiłaś: „Załatw mi przesłuchanie do czegoś mocnego”.

Mówiłaś: „Do czegoś takiego jak *Monster*, tylko żebym nie musiała wyglądać tak paskudnie jak Charlize”. I zrobiłam to! Zrobiłam to, Brooke. Byłaś taka przybita, kiedy ta idiotka Castleberry dostała tę rolę. Kiedy dała dupy – dosłownie, cha, cha, cha! – na stoku, to był prawdziwy cud. W tym biznesie nie rezygnuje się z cudów, Brooke!

– Nie mogę go zostawić. Nie mogę przerwać procesu adopcyjnego. – Podnoszę rękę, żeby zatrzymać słowa cisnące się jej na usta. – Nie zamierzam tego spieprzyć, Janelle.

Ale ona jest jak śnieżna kula tocząca się w dół po stoku, nic nie zdoła jej zatrzymać.

– Ale spieprzyć swoją karierę to możesz? To nic wielkiego? – Oczy wychodzą jej z orbit, mam nadzieję, że naprawdę jest zbyt zdrowa, żeby paść na atak serca. – Nie, to po prostu niemożliwe. Znajdziemy ci operkę! I wyślemy ich oboje razem z tobą. Angelina wozi swoje potomstwo ze sobą po całym świecie!

– Tak? – pytam, pełna sceptycyzmu. Jestem pewna, że czytałam coś o zostawianiu w domu i filmowaniu dublerek.

– Nie wiem, do diabła! Prawdopodobnie tak. Kogo to obchodzi – ty możesz!

– Hm, nie. Nie mogę. Właśnie dostałam zgodę na kontakty z nim. Nie mogę uciec z nim do Australii przed zakończeniem procesu adopcji.

Janelle ma tak wybałuszone oczy, że odczuwam ból we własnych, kiedy na nią patrzę.

– Słuchaj, Brooke. Nie mamy jeszcze oficjalnej informacji ze studia. Może coś w twojej sytuacji ulegnie zmianie i nie będziemy musiały odrzucać propozycji.

– Na przykład: sąd może orzec, że byłabym dla niego najgorszą z możliwych matek i da mi kopa w dupę?

– Nie to miałam na myśli.

Przyglądam się jej podejrzliwie zwężonymi oczami.

– Jeszcze do ciebie nie dzwoniłi? Pamiętaj, że jeśli zrobisz coś, żeby mi go odebrać, bym mogła zagrać w *Papierowych oceanach*, to wywalę cię na zbity pysk tak szybko, że będzie się za tobą kurzyło.

Janelle zaczyna mrugać oczami, a potem odwraca wzrok, obciąga żakiet i chrząka.

– Prawdę mówiąc, mam jutro do nich oddzwonić i oczywiście nie zrobiłabym ci czegoś takiego.

Osobiste spotkanie z Janelle było zdecydowanie właściwym posunięciem.

– Wiem, Janelle. – Uśmiecham się słodko i mówię pojednawczo, ze śladem przeciągłego akcentu z moich rodzinnych stron. – Nie chciałam cię oskarżać. Wiem, że nigdy nie zrobiłabyś mi żadnej krzywdy.

Na szczęście lot do Austin przebiega spokojnie, bez żadnych wydarzeń – obywa się bez melancholijnych nastolatków i uwodzicielskich biznesmenów. I bez złotych młodzieńców z Hollywood, których miałabym ochotę udusić gołymi rękami.

– Dzięki Bogu – mruczę pod nosem, kiedy asystent pokładowy zamyka drzwi samolotu, a miejsce obok mnie pozostaje puste. Mruczę najwyraźniej zbyt głośno, bo dama siedząca po drugiej stronie przejścia pytająco unosi brew. Udaję, że tego nie zauważam. Odczuwam skutki minionego tygodnia, cudownego, ale potwornie stresującego, i zdaję sobie sprawę, że kolejna irytacja mogłaby się skończyć interwencją powietrznego szeryfa i kajdankami na rękach.

W końcu, wolna od kuli u szyi w postaci akcji promocyjnej *Serc*, wracam do Teksasu, żeby dopełnić ostatnich formalności wymaganych w procesie adopcyjnym – jedna z nich wymaga rozmowy z moją matką, do której w najbliższym czasie zwrócę się o opinię w sprawie moich zdolności do pełnienia roli rodzica adopcyjnego. Jakby ona miała o tym jakiegokolwiek pojęcie.

W okresie mojego dorastania jakiś dupek wymyślił termin MDB – mamuśka-do-bzykanka – i moi koledzy bardzo szybko zaczęli go używać w stosunku do mojej mamy. Obecnie mama jest trzykrotną rozwódką, kotką na rozgrzanym dachu³ i z dumą przyjmuje to określenie, nosi je jak królewską koronę i przechowuje jak najcenniejszy skarb, zamiast być nim przerażona. Nie chce przyjąć do wiadomości, że uroda to jej jedyna mocna strona, a nieuchronnie zbliża się do momentu, w którym ją utraci i stanie się żalostną, stereotypową MDB.

Nigdy nie próbowała podjąć żadnej pracy, jeśli nie liczyć łowienia i pozbywania się mężów, i przez lata bez oporów zgadzała się na rozmaite etykiety, od drapieżnej żony po samotną matkę. Kiedy byłam małą, określała się czasem jako mama zajmująca się domem, choć nie robiła prawie nic, żeby zasłużyć na to miano.

Z góry wiem, jak zareaguje na moje starania o adopcję Rivera. Wiem o tym, zanim ją jeszcze zobaczę, ponieważ wśród rozlicznych określeń, które akceptowała bez oporu, jednego z pewnością nie było: babcia.

Nie widziałam się z matką od zeszłej wiosny, kiedy przyleciała do LA bez uprzedzenia, spodziewając się zaproszenia na premierę *Szkolnej dumy* i na afterparty – dla siebie i swojego nowego przydupasa. Załatwiłam im wejściówki na film, ale udałam, że nie jestem w stanie wprowadzić ich na imprezę bez wcześniejszego powiadomienia. Totalne łgarstwo, ale nie zamierzałam użerać się z nią, bo musieliśmy z Reidem skoncentrować się na realizacji planu rozdzielienia Grahama i Emmy.

Kiedy pojawiaam się w jej apartamencie w centrum miasta o dziesiątej rano, matka jest już umalowana, ale nadal ma na sobie czarny szlafroczek.

– Cześć, Brooke. – Uśmiecha się sztywno. Jestem przekonana, że od czasu

naszego ostatniego spotkania zrobiła coś z twarzą, bo jej rysy wydają się odrobinę wygładzone. Tylko jej karmelowe oczy są takie same jak zawsze – chłodne, pomimo ciepłego koloru.

Prowadzi mnie do znajomego pokoju dziennego, gestem wskazuje pluszowe poduchy kanapy i przynosi sobie z kuchni filiżankę kawy, mnie niczego nie proponuje. Nowy jork mamy podbiega do mnie z irytującym ujadaniem i zaczyna podskubywać moje kostki u nóg, więc schylam się do niego z warkotem – sztuczka, której nauczyłam się przy jego poprzedniku. I podobnie jak poprzednik, malutki terierek ucieka ze skowytym.

– Zakładam, że twoja wizyta ma jakiś cel, poza terroryzowaniem Tipy. – Tipy?

Zaciąganie Kathryn brzmi kojąco, natomiast przeciąganie samogłosek przez moją matkę sprawia, że wnętrzności mi się skręcają. Nienawidzę brzmienia jej głosu. Nienawidzę jej wyrachowanych oczu. Nienawidzę myśli, że to ona mnie urodziła, że próbowała mnie urobić na swoje podobieństwo i że pod wieloma względami to się jej udało. Nienawidzę świadomości, że nie zdołam uciec przed tym, co nas łączy, choćbym nie wiadomo jak się starała.

Wbijam w nią nieruchome spojrzenie.

– Tak. Jestem tu, żeby cię poinformować o swojej decyzji, bo może ona mieć pewien wpływ na twoje życie, choć to mało prawdopodobne.

Na moment maska opada z jej twarzy i wyziera spod niej ciekawość.

– Och?

Powoli wciągam przez nos powietrze, a potem wyrzucam to z siebie.

– Wystąpiłam o przyznanie mi opieki nad synem.

– Przepraszam, co takiego? – Jej narysowane ołówkiem brwi uniosłyby się zapewne do góry, gdyby to było możliwe.

– Został odebrany matce adopcyjnej z powodu drastycznych zaniedbań i znajduje się obecnie pod opieką władz stanowych. Wystąpiłam o adopcję.

Czekam, aż dotrze do niej to, co powiedziałam, i zastanawiam się, czy będę musiała powtórzyć to bardziej przystępnymi słowami.

– Co ty mówisz, do diabła, Brooke? Opieka społeczna zwróciła się do ciebie o...?

– Nie. To mój własny wybór.

Mruga oczami, jej wargi wiotczeją.

– Chcesz mi powiedzieć, że bierzesz z powrotem – dobrowolnie – tego bachora, którego oddałaś pięć lat temu?

O nie, do licha! Znowu powoli wciągam powietrze przez nos.

– Nigdy więcej nie mów o nim w ten sposób.

– Mam nie mówić o nim „bachor”? Ludzie będą go gorzej nazywać. W końcu on naprawdę jest bękartem...

Uderzenie w twarz zaskakuje nas obie. Stoję i trzęsę się. Pieką mnie ręce, a na jej policzku widnieje wyraźny, różowy zarys moich pięciu palców, dopóki nie zakrywa go ręką. W jej oczach płonie oburzenie, a za nimi trybiki w jej głowie wirują w szalonym tempie. Mój instynkt samozachowawczy jest postawiony w stan najwyższej gotowości.

– Urzędnik, który zajmuje się tą sprawą, zadzwoni do ciebie. Powiedz mu o mnie, co ci się żywnie podoba. Jestem pewna, że i tak byś to zrobiła. Postaraj się tylko, żeby to była prawda. Jeżeli skłamiesz, a ja się o tym dowiem, pójde prosto do znajomej reporterki z magazynu „People” i z niekłamaną przyjemnością opowiem jej takie historyjki o naszych wzajemnych stosunkach, że Joan Crawford będzie przy tobie wyglądała jak Najświętsza Pani. – Fałszywe pogrożki dławią mnie w gardle, chociaż podejrzewam, że w razie potrzeby byłabym w stanie je zrealizować. – Zgodnie z twoją wolą zostałam sławną aktorką już jako nieletnia dziewczynka. Teraz możesz mi się zrewanżować, trzymając się z dala od mojego życia. Możesz do woli chwalić się mną w swoim śmiesznym kręgu podejrzanych znajomków. Ale odpieprz się ode mnie i od mojego syna, bo pożałujesz, że się urodziłaś.

– O, możesz się nie martwić, jestem o wiele za dobra dla ciebie. – Wykrzywiona twarz mojej matki przypomina teraz do złudzenia jej przekarmionego psa, który warczy i podgryza kostki u nóg. – Zawsze byłaś egoistyczną małą dziwką.

Te słowa zapierają mi na moment dech w piersi i przynoszą wspomnienie uderzeń na odlew, jakie zbierałam w dzieciństwie i w okresie dorostania. Szarpanie za włosy. Okrutne wyzwiska za wszelkie niedoskonałości.

– Cóż, uczyłam się od mistrzyni. – Uśmiecham się, jakby nie dotknęło mnie to, co powiedziała, a to chyba największe kłamstwo, na jakie się w życiu zdobyłam. – Miłego życia, Sharla. – Maszeruję do drzwi, nie oglądając się za siebie i gryząc się w język tak mocno, że czuję w ustach smak krwi. Nie rozplączę się przy niej, wykluczone. Od tego są terapeuci, do licha, i wybiorę się do jakiegoś zaraz po powrocie do LA.

Zatrząskuję za sobą drzwi jej mieszkania, wsiadam do pickupa pożyczonego od Glenna i od razu telefonuję do ojca. Z powodzeniem mogę jednego dnia uporać się ze wszystkim co najgorsze.

Reid

Z uwagi na to, co mam do powiedzenia Dori i o co zamierzam ją prosić, czuję się jak dwulicowy dupek, kiedy podjeżdżam po nią w piątkowy wieczór w przededniu jej urodzin. Dori wie tylko tyle, że zabieram ją na weekend na drugi

brzeg zatoki, do San Fran. Obiecałem jej, że będzie miała czas na naukę do zapowiedzianego na poniedziałek najważniejszego egzaminu – co byłoby śmieszne, gdybym nie był tak zaprzątnięty zbliżającą się rozmową.

Postanowiłem nic jej nie mówić aż do niedzieli. Chcę, żeby to był najpiękniejszy weekend w jej życiu, zanim wyjawię jej taką nowinę. Gdyby istniał sposób uniknięcia tego, zwlekałbym jeszcze dłużej. Wzdragam się na samą myśl, że w ogóle muszę jej o tym wszystkim powiedzieć.

Na półce z książkami w alkowie mojej mamy jest wyrzeźbiony w drewnie cytat z Roberta Frosta: „Najlepsze wyjście z czegoś to przebrnięcie przez to”. Nigdy w pełni nie rozumiałem tego zdania, aż do teraz.

Jazda piątką z LA do Berkeley jest bardziej monotonna, niż zapamiętałem z wycieczki, na jaką wybraliśmy się z Johnem parę lat temu. Ale w ten weekend będę potrzebował własnych czterech kółek, żebyśmy nie byli skazani na auta z szoferem. Kiedy skręcam w boczną uliczkę koło jej akademika, niemal wszyscy wybałuszają oczy na widok mojego samochodu. To nie jest żółty lotus (myślę, że Dori spodobałoby się szydercza nazwa nadana mu przez tatę: taksówka z wodotryskiem, oczywiście, gdyby wówczas przy tym była), ale kocia sylwetka i światła przednie oraz marka Ferrari robią wrażenie, nawet przy statecznej szarości lakieru.

Dori stoi na rogu, zatrzymuję się tuż przed nią, a ona pochyla głowę i szybko wślizguje się na miejsce pasażera. Włosy ma spięte gigantyczną spinką z tyłu głowy, a na sobie dzinsy, ciemnozielone trampki i bluzę Cal. Zamiast torby wzięła plecak, zastanawiam się, czy ona w ogóle ma jakieś przyzwoite walizki. Kolejna rzecz, której będę musiał zaradzić, już wkrótce.

Moje serce zaczyna pracować na najwyższych obrotach, kiedy Dori zatrząskuje za sobą drzwi samochodu.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – mówię; obejmuję rękami jej twarz i całuję ją.

Dori kładzie dłoń na mojej piersi, pochyla się ku mnie i rozchyła wargi. Nie widzieliśmy się od dwudziestu sześciu dni – i jakimś cudem ten okres raz wydaje mi się krótki jak kilka godzin, a kiedy indziej długi jak dziesięć lat. W tym pocałunku wyczuwam desperację, która mnie przeraża, bo nie jest to moja desperacja.

– Dziękuję ci za ostatni weekend...

– To nic wielkiego. Żałuję, że nie mogłem być przy tobie. Przepraszam.

Coś rozbłyska w jej oczach, ale Dori szybko spuszcza wzrok, jakby opuszczała roletę w oknie. Stara się ukryć swoje myśli.

– Co jest? – Unoszę jej podbródek.

Potrząsa głową i próbuje się uśmiechnąć, ale nie jest aktorką.

– Nic. Po prostu mi smutno. Nie chciałabym zepsuć zaplanowanego przez

ciebie weekendu. Nie ma o czym mówić. Nic mi nie będzie.

Mam ochotę wyciągnąć z niej, co jej chodzi po głowie. Mam ochotę zakpić, że marna z niej kłamczucha i że mógłbym udzielić jej paru lekcji, jeśli chce robić to należycie – ale słowa więzną mi w krtani. Nie mogę zarzucać jej kłamstwa, mając świadomość tego, co ja przed nią ukryłem.

– Żaden problem – szepczę i całuję ją jeszcze raz, a potem odbieram od niej plecak i rzucam go na tylne siedzenie. – Podczas tego weekendu mam zamiar zaspokajać wszystkie twoje pragnienia, panno Cantrell.

Jest zadziwiająco cicha, kiedy manewruję w ruchu ulicznym. Gdy przejeżdżamy nad zatoką, wygląda przez okno, w milczeniu obserwuje jachty i łodzie rybackie, od czasu do czasu podnosi wzrok i śledzi przelatujące mewy. A ja chyba po raz setny zastanawiam się, jak powiedzieć jej o Riverze – nie teraz, ale w czasie tego weekendu – bo mogę nie zobaczyć się z nią przed przerwą wiosenną, która będzie dopiero za miesiąc. A tata w najbliższych dniach ma rozpocząć proces adopcji. Po mojej rozmowie z Brooke, oczywiście.

Zdjęcia do następnego filmu zostały przyspieszone, większość będzie kręcona w Universal Studios w LA, reszta w Utah i Nowym Jorku. Były planowane na kwiecień, a tymczasem ruszają w przyszłym tygodniu i rozpoczynają się od scen filmowanych w Utah.

Najlepsze wyjście z czegoś to przebrnięcie przez to.

Zarezerwowałem stół w restauracji na sobotę, proponuję, żebyśmy dzisiaj zostali w pokoju i zamówili room service, a Dori wyraża zgodę.

– Możesz nawet trochę się pouczyć – mówię, a ona unosi brew z powątpiewaniem. – Jakies dwadzieścia minut. – Podjeżdżam przed hotel Mandarin i dodaję: – Ale od momentu, kiedy przyniosą obiad, jesteś moja. – Uśmiecham się od ucha do ucha, łapię nasze bagaże i wyskakuję z samochodu.

W recepcji niewątpliwie nas rozpoznają, a przynajmniej rozpoznają mnie. Recepcjonistka jest chyba nie na żarty zaniepokojona, że melduję się w hotelu z osobą niepełnoletnią – z uwagi na plecak Dori i jej pozbawioną makijażu twarz. Dziękuję Bogu za jej bluzę z Cal, świadczącą o tym, że Dori jest studentką. Po paru minutach jedziemy już prywatną windą do naszego apartamentu.

– O, Boże, mój brzuch – jęczy Dori, trzyma się mnie i pęka ze śmiechu.

– Zatrzymanie windy po drodze jest bez sensu, to niepotrzebna strata czasu. Ale obiecuję ci, że dzisiaj już z niczym więcej nie będziemy się śpieszyć. – Całuję ją w nos, kiedy drzwi się rozsuwają. – Od tej chwili wszystko będzie się działo powoli i z rozmysłem. Jeśli zapragniesz zwiększenia tempa... – Pochyliam się i szepczę jej wprost do ucha, a ją przebiega dreszcz stanowiący dla mnie największą nagrodę. – ...to będziesz musiała mi o tym powiedzieć.

Dori otwiera usta ze zdumienia na widok naszego apartamentu i przez chwilę stoi oniemiała w progu, wodząc wzrokiem po całym wnętrzu. W końcu z lekkim wahaniem wchodzi do środka.

– To wszystko dla nas? To ma być jeden pokój?

Wzruszam ramionami, uradowany jej zaskoczeniem.

– To apartament.

Przez kilka minut napawamy się widokiem zapierającego dech w piersiach zachodu słońca nad zatoką – Dori naprawdę przestaje oddychać i chłonie ten obraz. Gdybym starał się zgrać nasz przyjazd z przewidywanym czasem zachodu słońca, nie mógłbym trafić lepiej.

Zgodnie z zapowiedzią sadzam ją przy biurku, a sam zajmuję się naszymi bagażami i zamawiam obiad z szampanem, nasi goreng i Singapoore noodles, który ma zostać podany za półtorej godziny.

– Czas minął. – Pochyliam się i muskam wargami jej policzek. – Ofiarowałem ci bardzo szczerze pół godziny na naukę.

Dori odchyła głowę na moje ramię i zamyka oczy.

– Pół godziny nauki to za mało, obleję!

Odsuwam jej krzesło od biurka i całuję ją za uchem, za co zostaję nagrodzony cichym pomrukiem.

– Jak będziesz grzeczną dziewczynką, to jutro dam ci kolejne pół godziny.

– Zawsze jestem grzeczną dziewczynką, Reid – mówi, a ucho, które pieścę, rozgrzewa się pod moim językiem. – To znaczy, och...

– Nie potrzeba żadnych wyjaśnień. – Ze śmiechem całuję jej szyję, wędrując ustami w dół, rozpinam klamrę i rozpuszczam włosy Dori, a potem ściągam jej bluzę. Pod spodem ma biały top z głębokim dekoltem obszytym koronką, w który mogę bez trudu zajrzeć, stojąc za nią. Bluzka, pod którą kryje się coś takiego?

– Jezu, Dori. – Pragnę jej tak, że aż kręci mi się w głowie i jestem zdeterminowany odpłacić jej w naturze, i to z nawiązką. Obejmuję dłońmi jej ramiona i przesuwam ręce na przód, obrysowuję kciukami linię obojczyków, a palcami muskam jej piersi. – Jesteś doskonała.

Zaczyna protestować, więc kładę jej dwa palce na ustach, a drugą dłoń wsuwam pod biały koronkowy staniczek. Wygina się do tyłu i głośno łapie powietrze, dając mi lepszy dostęp do swej ciepłej skóry, czuję, jak bije jej serce.

Podnoszę ją do góry i kopniakiem usuwam z drogi krzesło, a potem odwracam ją i całuję głęboko, zanim zdąży złapać oddech. Jej top ląduje na podłodze obok bluzki. Obejmuję rękami jej biodra i pytam:

– Pyszczyć przed, w trakcie czy po? Dzisiaj są twoje urodziny, więc jestem na twoje rozkazy.

– W trakcie? – Marszczy czoło. – W trakcie cze... och. Och.

Wpuszczam ją tylko na moment, by ściągnąć swój podkoszulek, a potem

podnoszę ją do góry, a ona obejmuje mnie nogami i splata stopy u nasady mojego kręgosłupa. Niosę ją do łazienki.

– Co robisz akurat teraz? Tak. – Całuję ją. – Właśnie to. Za jakieś trzy minuty.

Zsuwa się wzdłuż mojego ciała, kiedy opuszczam ją na ziemię i puszczam gorącą wodę, a potem odwraca się, żeby zdjąć dzinsy. Klękam przed nią i wyplątuje jej stopy ze spodni.

– A mówiłeś coś o braku pośpiechu – mówi i wychodzi z dzinsów, przygryza dolną wargę, stojąc przede mną jedynie w skrawku białej koronki.

– Dokładnie tak – odpowiadam i wstaję. Rozpinam swoje dzinsy, wodząc spojrzeniem po jej rozkosznie zaokrąglonym, drobnym ciele. – Czy to na pewno nie moje urodziny? Bo właśnie się spełnia moje marzenie.

Gdy tylko pozbywam się dzinsów, przypieram ją do ściany, a Dori piszczy.

– Zimna? – Ze śmiechem odciągam ją od lodowatego marmuru i całuję, rozpinając równocześnie haftki jej stanika i zsuwając majtki z jej bioder. – Pod prysznicem będzie cieplej. I przygotuj się na to, że twoja skóra potem bardzo, ale to bardzo się pomarszczy – bo jeśli chcesz powoli, to, na Boga, będzie powoli.

Ledwie zdążyliśmy włożyć szlafroki, kiedy w godzinę później przyniesiono nam obiad. Dori, skulona na kanapie z nogami podwiniętymi pod siebie, udaje, że czyta, kiedy ludzie z obsługi nakrywają stolik pod oknem. Jej włosy są nadal wilgotne i założone za zaróżowione na koniuszkach uszy. Ledwo powstrzymuję się od śmiechu, bo ta dziewczyna, tak oszałamiająco namiętna jako kochanka, w obecności personelu hotelowego robi się dziwnie wstydliwa.

Wymieniamy się kąskami jedzenia, wkładając je sobie nawzajem pałeczkami do ust, co nie byłoby możliwe w miejscu publicznym, namawiam ją do wypicia kieliszka szampana – tyle tylko, żeby była po obiedzie rozkosznie rozleniwiona i chwilami rozchichotana, szczególnie gdy ją całuję tam, gdzie ma łaskotki, jak na przykład w spód stopy, wcięcie w talii lub górną część wewnętrznej strony uda. Przeważnie jednak wzdycha i uśmiecha się szelmowsko, przesuwając rękami po moim ciele, delikatnie i podniecająco, dopóki nie przygważdżam jej na łóżku, a wtedy obejmuje mój biceps i zaczyna wydawać tak niesamowicie satysfakcjonujące odgłosy, jakich jeszcze nigdy u niej nie słyszałem.

Notuję w pamięci: zamówić skrzynkę Mesnil Sur Oger, i to jak najszybciej.

Rozdział 18

Dori

Kiedy miesiąc temu obudziłam się w swoim wąskim łóżku u boku Reida, było to jak sen – spędzenie z nim całej nocy. Chciałam zostać tak na zawsze – zagrzebana w pościeli, z plecami przytulonymi do jego ciepłej piersi, otoczona jego ramionami.

Przebudzenie przy nim w tym apartamencie to jak... co może być lepszego niż sen?

Fantazja. Tak, to jest to.

Wieczorem zostawiliśmy rozsunięte ciężkie kotary. Nie ruszając się z łóżka, widzę niebieskie wody zatoki, stapiające się na horyzoncie z błękitem nieba. Łodzie powoli prują powierzchnię wody – z tej odległości przypominają bezkształtne plamki bieli czy szarości.

Apartament ma doskonałą klimatyzację, a zarzucone poduszkami łoże jest ogromne, więc nie musieliśmy spać ściśnięci jak sardynki w puszcze ze względu na zimowy chłód czy brak miejsca. Ale i tak moja kostka u nogi jest zahaczona o jego kostkę. Podbiciem stopy drażnię drobniutkie włoski pokrywające wierzch stopy Reida, a on mruczy coś przez sen. Z nagim torsem, przykryty tylko do pasa i z jedną ręką pod poduszką, podczas gdy druga, bliższa mnie, leży równoległe do mojej, krzyżując się z nią w nadgarstku. Jego dłoń spoczywa pod moją, a palce lekko obejmują wierzch mojej ręki.

We śnie wygląda tak młodo... to dziwne, że taka myśl przyszła mi do głowy, zważywszy, że jestem o jedenaście miesięcy młodsza od niego. Ale jego niezależność i sukces zawodowy sprawiają, że trudno widzieć w Reidzie chłopaka, któremu brakuje miesiąc do dwudziestki. Poza chwilami, w których nie ma się na baczności, takimi jak ta.

Wymykam się z łóżka, żeby skorzystać z toalety i umyć zęby, a po paru minutach przyczłapuje za mną Reid. Jego powieki są jeszcze ciężkie od snu, a włosy sterczą na wszystkie strony. Ma na sobie spodnie od piżamy z nadrukiem Cal, które mu dałam podczas jego wizyty w kampusie, a ja górę od kompletu. Ta góra sięga mi do pół uda, a wycięcie na pachy niemal do talii.

Muszę skoncentrować się całkowicie na pozbyciu się wszelkich śladów porannego oddechu, żeby nie odwrócić się i nie owinać wokół niego jak wstążka. Reid łapie swoją szczoteczkę do zębów, wyciska na nią trochę pasty i atakuje swoje zęby. Kiedy zaczyna szczotkować język, podsuwam swoją szczoteczkę pod strumień wody i staram się uspokoić puls. Moje włosy stanowią obraz totalnego chaosu, ale na szczęście są rozpuszczone i zasłaniają uszy, bo nie mogę opędzić się

od wspomnień związanych z jego językiem. Słodki Jezu.

Nie zdążyłam wyjść z łazienki, bo Reid złapał mnie za rękę i wciągnął z powrotem, rzucając swoją szczoteczkę obok mojej.

– Dzień dobry, malutka. – Obejmuje mnie w talii, nasze usta się spotykają, a jego dłonie podciągają mój top o cal wyżej. – Mam teraz zamówić śniadanie? A może wolałabyś najpierw deser?

Drapię leciutko paznokciami twarde mięśnie jego torsu, wędruję wzdłuż wyraźnie zarysowanej muskulatury, okrążam każdą brodawkę palcem wskazującym i widzę, jak jego oczy ciemnieją.

– Poproszę o deser – mówię, a on bierze mnie w ramiona, zanosi do salonu na krzesło o wymyślnej tapicerce i sadza sobie okrakiem na kolanach. Ponad jego ramieniem mam panoramiczny widok na zatokę, ale chwilowo nie jestem w stanie poświęcić krajobrazowi należytej uwagi.

Jego ręce na przemian wsuwają się w wycięcia koszulki lub obejmują moje gołe biodra. Kocha się ze mną, nie zdejmując garderoby, zsuwa tylko nieco w dół spodnie od pizamy, ale najpierw wyjmuje z kieszeni prezerwatywę.

– Co za wiara w siebie, panie Alexander – szepczę, zamykając oczy, kiedy on okrywa pocałunkami moją szyję, a potem przesuwając wycięcie koszulki tak, by odsłonić moją pierś, i robi użytek ze swych niezwykle zdolnych ust.

– Um-hmm – mruczy, bez najmniejszej skruchy, pewien, że potrafi gładko przełamać moją powściągliwość, szybko i bez trudu, jak letnia ulewa zmywa z chodnika rysunki kredą.

Wbijam paznokcie w jego barki i pociągam nimi wzdłuż muskularnych, twardych ramion, trzymam go kurczowo i nieomal płaczę z rozkoszy. Ze śmiechem przyciąga mnie bliżej – jego pewność siebie okazuje się w pełni uzasadniona.

Po późnym śniadaniu, zjedzonym na tarasie apartamentu, otuleni puszystymi szlafrokami i rozgrzani słońcem, ubieramy się i incognito wyruszamy na zakupy. Reid w ciemnych okularach, z dwu- czy trzydniowym zarostem i czapeczce Cal oraz ze mną u boku, najzwyczajniejszą w świecie dziewczyną, z powodzeniem zwodzi opinię publiczną przez większą część dnia. Kilkakrotnie zostajemy rozpoznani z opóźnieniem – szczególnie przez ekspedientki w sklepach – ale nie ma mowy o żadnych zbiegowiskach.

W butik na Fillmore Reid wybiera kilka sukienek i każe mi je przymierzać.

– Jeżeli żadna ci się nie spodoba, pójdziemy gdzie indziej. Aż znajdę coś, w czym poczujesz się jak królowa, kiedy wyjdziemy dziś wieczorem do restauracji.

– Zaczynam protestować, ale on oddaje wieszaki ekspedientce i popycha mnie w stronę przymierzalni. – Bez dyskusji, bo sam ci coś wybiorę, coś rzucającego się w oczy i napuszonego, i to będzie twoja wina.

Jego argumentacja wydaje się mieć pewien sens do momentu, kiedy zerkam na ceny.

– Reid – syczę, wysuwając twarz zza kurtyny przymierzalni. – Nie mogę tego nosić. To kosztuje tyle co samochód. – Reid parska śmiechem. – No, może używany samochód – precyzuję. – Ale jednak.

– Kupiłem samochód dwa miesiące temu i gwarantuję ci, że żadna rzecz w tej przymierzalni nie zbliża się nawet do jego ceny. Nawet gdybyś chciała kupić wszystkie.

– Nie chcę! – wołam. – Ale...

– Przyjmijmy – mówi Reid, krzyżując ramiona na piersi – że cena ładnej sukienki równa się pozbawionej paru zer cenie przyzwoitego nowego samochodu. Tak? – Kiwam głową. – Właśnie tak do tego podchodzę. Wszystko jest względne, Dori. – Rozsuwa nieco zasłonę i zerka do środka. – Popatrzmy. – Uśmiecha się i pyta: – Podoba ci się, prawda?

Przygryzam wewnętrzną stronę policzków i przyglądam się sobie w tej sukni – miękkiej, granatowej, skrojonej tak, że wygląda jak na mnie szyta. Zdaje się podkreślać wszystkie zalety mojej sylwetki – podkreśla to, co dobre i tuszuje to, co złe. Ale nie chcę, żeby Reid robił dla mnie tak irracjonalne zakupy. Moje życie z nim wydaje się wystarczająco nieprawdziwe i bez tego.

Wchodzi do przymierzalni, zaciąga za sobą kurtynę, rozpina suwak z niewiarygodną łatwością i podchwytuje moje spojrzenie w lustrze. Jego oczy są twarde jak stal.

– Kupuję tę suknię, panno Cantrell, i włożysz ją dzisiaj. Zrozumiano?

Kiwam głową, rozdarta pomiędzy pragnieniem kopnięcia go w kostkę, a zarzuceniem mu rąk na szyję w podziękowaniu za to, że przy nim czuję się najbardziej upragnioną dziewczyną.

– Grzeczna dziewczynka. Jak zawsze, jak sama powiedziałaś. – Całuje mnie w kark i wychodzi.

Jedziemy samochodem do hotelu, kiedy mój mózg wreszcie zaczyna pracować jak należy. Wyłączam muzykę.

– Reid. Ten samochód... samochód kosztował tyle co sukienka plus parę zer?

Uśmiecha się tylko, nie odrywając oczu od przedniej szyby, a ja cieszę się, że siedzę i jestem przypięta pasami.

Cholera jasna.

Kiedy Reid bierze prysznic, dzwoni Brooke – na wyświetlaczu telefonu pojawia się tylko imię, bez nazwiska. Figuruje w jego kontaktach po prostu jako Brooke. Zakładam, że to Brooke Cameron, choć oczywiście istnieją inne Brooke na

świecie.

To może być publicystka Brooke. Albo administratorka Brooke. Albo mechanik Brooke. Zamierzam w bezruchu i wpatruję się w wyświetlacz dzwoniącego telefonu. W minutę po urwaniu się dzwonka pojawia się sygnał odebranej wiadomości. Nagrała mu się na pocztę głosową.

Po chwili Reid wyłania się z łazienki z ręcznikiem kąpielowym luźno owiniętym wokół bioder, wyciera niewielkim ręcznikiem umyte włosy i patrzy w moim kierunku, a ja starannie usuwam metki z ceną z sukienki. Obchodzi mnie dookoła, odwraca, ciągnąc za pasek szlafroka i kradnie mi całusa. Całuje mnie coraz namiętniej, wsuwa rękę pod mój szlafrok i gładzi nagie biodro, a potem odwraca się z uśmiechem i szuka w torbie przyborów do golenia. Telefon leży o kilka stóp od niego, na nocnym stoliku.

Drzę na całym ciele, zarówno wskutek jego dotyku, jak i słów, które uwięzły mi w gardle – „Brooke do ciebie dzwoniła” – i idę do łazienki.

Wijmuję wałki z włosów razem ze szpilkami, a Reid się goli. Był w sypialni wystarczająco długo, żeby odsłuchać wiadomość, ale nie słyszałam, żeby oddzwaniał. Nie robi wrażenia zdenerwowanego, czy przejętego. Ze skupieniem przesuwam ostrzem maszynki po białej od piany szczęce, przerywając tylko po to, żeby opłukać golarkę pod strumieniem bieżącej wody po każdym pociągnięciu.

Może to nie było nic ważnego. Może to nic.

– Kiedy byłeś pod prysznicem, dzwonił twój telefon – mówię w końcu, obserwując go uważnie.

– Tak? – Reid opuszcza brwi i patrzy na mnie.

A ja pochylam się bliżej lustra i pociągam tuszem rzęsy.

– Jakaś Brooke – uściślam i staram się, żeby to zabrzmiało obojętnie. Staram się zachować obojętność.

Reid nagle przerywa golenie i patrzy na mnie tak, że wydaje mi się, iż w łazience nagle zabrakło powietrza.

– Odebrałaś? – pyta, pełen napięcia.

A więc nie spojrzał na telefon, nie zauważył informacji, dlatego nie oddzwonił. Tak spiętego nie widziałam go od tamtego wieczoru, gdy przyszedł porozmawiać z moimi rodzicami. Na jego twarzy maluje się lęk.

– Oczywiście, że nie, Reid. Nie odebrałam twojego telefonu. – Chmurzę się, równie zaskoczona jego pytaniem, jak niepokojem malującym się w jego oczach i sztywnymi z napięcia ramionami. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to i nie wspomniałabym mu o telefonie. Chciałam, żeby to był drobiazg bez znaczenia. Chciałam, żeby wzruszył ramionami i zapewnił, że to nic ważnego. Ale to z całą pewnością nie było nieważne. Wszystko można o tym powiedzieć, tylko nie to.

Za późno na odwrót, ale nie mogę na to patrzeć, nie teraz, choć to ja

pociągnęłam za sznurek i uruchomiłam to wszystko.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zaczyna Reid.

– Chciałam cię tylko zawiadomić... – mówię równocześnie.

Oboje milkniemy.

Reid oblizuje wargi, nadal stoi bez ruchu, z twarzą do połowy ogoloną.

– Dori, dzisiaj świętujemy twoje urodziny. Pozwól, że teraz wyjdziemy i będziemy się cieszyć wspólnym wieczorem, a pogadamy później, albo jutro.

Jestem tchórzem. Tchórzem, który dobrowolnie przyczynia się do własnego upadku. Nie powiedziałam mu nigdy, że go kocham, jakby odmowa wypowiedzenia głośno tych słów mogła ochronić nas oboje. Ale nie zdołała. Moje serce, jak niepowstrzymana, czująca istota, niezależna ode mnie, choć stanowiąca cześć mnie, odkrywa własną prawdę i wie, że to zaniechanie jest oszustwem.

– Okej – szepczę.

– Okej – mówi Reid.

Reid

Chciałbym potrząsnąć Brooke tak mocno, żeby jej hollywoodzkie, białe i idealnie równe zęby zadzwoniły. Niech diabli wezmą jej wycucie czasu. Nie wiem, jaką wiadomość mi zostawiła, ale podejrzewam, że: „Dlaczego nie podpisałeś jeszcze tego formularza?” – co może poczekać, bo Brooke da mi nieźle popalić, kiedy usłyszysz moją odpowiedź.

Dori i ja w milczeniu kończymy ubieranie się. Dori wygląda tak pięknie, jak nigdy dotąd – w ubraniu. Ciemnoniebieska suknia podkreśla ciepły ton jej nieskazitelnej cery, a ponadto pasuje do koloru moich oczu. Dopasowany krój sprawia, że miękki materiał kusząco opina zaokrąglone biodra i wąską talię, a głęboki dekolt pozwala dojrzeć zarys jej idealnych piersi. Dori jest stworzona do noszenia ubrań opiętych jak druga skóra.

Ale nic nie wytrzymuje porównania z tym, jak wspaniale wygląda, kiedy nie ma na sobie nic. Kiedy nic nas nie dzieli, w moim – albo jej – łóżku, kiedy jej skromność idzie w zapomnienie, a górę bierze wrodzona ciekawość, Dori jest wszystkim, czego mógłbym zapragnąć.

– Twój krawat pasuje kolorem do mojej sukienki – mówi teraz, przesuwając palcem do jedwabnym splocie biegnącym przez środek mojej piersi. – I do twoich oczu.

Zapakowałem na ten weekend idealnie wyprasowaną białą koszulę, ciemnoszary garnitur i bogaty zestaw krawatów, żeby któryś pasował do sukienki, jaką Dori wybierze. Przed wyjściem z pokoju przeglądamy się w lustrze, uderza mnie jak bardzo się od siebie różnimy i jak się nawzajem uzupełniamy. Moja

sylwetka jest jeszcze nieco kanciasta i chłopeca, ale wydają się bardzo wysoki i barczysty w porównaniu z drobną, miękką i zaokrągloną figurką Dori. Kontrastujemy ze sobą również kolorystycznie – moje niebieskie oczy i popielato blond włosy, w porównaniu z jej niemal czarnymi oczami i lśniąco mahoniowymi lokami. Zaczynam sobie wyobrażać, jak wyjmuję spinki z jej upiętych włosów, jedną po drugiej, a potem wsuwam palce w miękkie sploty.

– Ilu spinek użyłaś? – pytam tonem swobodnej pogawędki, choć wyobrażam ją sobie, za kilka godzin, leżącą pode mną, i jej rozrzucone po poduszce włosy, przypominające plamę atramentu.

Dori uśmiecha się, choć w wygięciu jej ust czai się smutek, zamierzam go z nich zetrzeć, zrobię wszystko, żeby mi się udało. Żeby zapomniała o tym telefonie, który zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Przynajmniej na ten jeden wieczór.

– Nie jestem pewna. Dużo?

Przyciągam ją do siebie i całuję; nie muszę zanadto pochylać głowy, żeby dosięgnąć jej ust. Odsuwam się i patrzę na nią z uśmiechem.

– Mmm, włożyłaś buty na wysokich obcasach. Zrób mi przyjemność i przejdź się w nich po pokoju. Bo ja nie będę mógł dzisiaj napawać się tym widokiem z taką swobodą jak wszyscy inni.

Dori zaciska usta, onieśmiewiona, ale spełnia moją prośbę, odwraca się i przemierza dwa tysiące stóp kwadratowych naszego apartamentu.

O. Boże. Do. Licha. Jej biodra kołyszą się, a moje oczy nie mogą się zdecydować, czy przyłgnąć do jej okrągłutkiego tyłeczka, do zgrabnych, gołych łydek, czy do wygięcia karku – odsłoniętego, jeśli nie liczyć kilku loczków, którym pozwoliła wymknąć się z upięcia. Na drugim końcu pokoju Dori odwraca się i szerzej otwiera oczy, zażenowana wyrazem mojej twarzy, co mnie szalenie dziwi, bo przecież przed chwilą przeglądała się w lustrze, prawda?

Wraca do mnie i okazuje się, że wcale nie jest mi łatwiej zdecydować, na czym skupić spojrzenie. Znowu mam przed oczami te nieskazitelnie kształtne nogi i krągłe biodra, a na dodatek jeszcze idealne piersi i piękną twarz.

– Musimy natychmiast stąd wyjść – mruczę burkliwie, kiedy do mnie podchodzi. – I to już. W przeciwnym razie rzucę cię na łóżko... – Biorę ją w ramiona i szepczę do ucha. – ...i będę cię pieprzył do utraty zmysłów.

Dori opiera się o mnie i bierze głęboki oddech, szkarłatna na twarzy. Przez rękawy marynarki czuję, jak wpija palce w moje ramiona.

– Umieścimy to na liście rzeczy, które zrobimy po powrocie, dobrze? – Całuję ją jeszcze raz, delikatnie, ostrożnie, a potem łapię z toaletki jej malutką kopertówkę i wyprowadzam Dori z pokoju, nie wypuszczając z dłoni jej ręki.

Paparazi dopadają nas pomiędzy stojącym w lobby lokajem a drzwiami restauracji, co nie jest zbyt zaskakujące, jako że jestem ogolony i ubrany jak na celebrytę przystoi – w kapelusz i ciemne okulary. Pstrykają kilka fotek, wołając mnie po imieniu. Jeszcze nie rozpoznają Dori, nie zdążyli skojarzyć towarzyszącej mi dziewczyny w designerskich ciuchach z jej alter ego – dziewczyną z programu Habitat.

Kiedy wchodzimy do restauracji, wszyscy obecni, zarówno goście, jak i pracownicy, od maitre'a poczynając, a na szefie kuchni kończąc, są już świadomi, że przybył ktoś wzbudzający zainteresowanie paparazzi. I wszyscy albo się na nas gapią, albo starają się tego nie robić. To by było na tyle, jeśli chodzi o cichy, kameralny posiłek.

– Nie było tak źle, prawda? – pytam, ujmując dłoń Dori siedzącej po drugiej stronie niewielkiego, oświetlonego świecami stolika. Ignoruję obecność innych i mam nadzieję, że ona również jest w stanie to zrobić.

– Nadal latają mi przed oczami mroczki od błyskających fleszów, ale nie, chyba nie było najgorzej. – Mruga jeszcze kilka razy. – Jakim cudem udaje ci się widzieć, dokąd idziesz, kiedy jesteś sam?

Kiwam głową.

– Tak, to bywa trudne. Jeżeli otaczają mnie ochroniarze lub ludzie z obsługi, to przeprowadzają mnie po prostu przez tłum do miejsca, w którym powinienem się znaleźć, niemal jakbym surfował wśród ludzi. Kiedy jestem w towarzystwie innych celebrytów, trzymamy się w stadzie, na ile to tylko możliwe, i kierujemy się wprost do wejścia, wyjścia lub samochodu.

Dori śmieje się cichutko.

– To okropne.

– A ona się śmieje! – Patrzę na nią i unoszę brew. – Gdzie twoje współczucie?

Dori próbuje ukryć rozbawienie, kompletnie bez powodzenia.

– Nie, mówię poważnie! W stadzie? Jak mogę się nie śmiać, wyobrażając sobie ten widok!

– Cieszę się, że moje cierpienie cię bawi – mówię z udawaną surowością.

Dori puszcza moją rękę i muska palcem wnętrze mojej dłoni.

– Dzisiaj nie masz żadnego stada. Ani ochroniarzy. Chyba że ja wystąpię w tej roli. Może nie wyglądam zbyt groźnie, ale trenowałam kickboxing.

Wyobrażam sobie, jak Dori kopie w pizczel i obala na ziemię stalkera z aparatem fotograficznym, co jest zabawne, dopóki ma się pewność, że nigdy do tego nie dojdzie – ale ja wierzę, że byłaby do tego zdolna.

– Jesteś piekielnie groźna, Dorcas Cantrell. – Znowu łapię jej rękę i gładzę kciukiem jej knykcie, na co reaguje rozchyleniem warg. – Ale twoje kwalifikacje ochroniarskie nie będą dzisiaj potrzebne. Poproszę maitre'a, żeby nas stąd

wyprowadził, kiedy przyjdzie pora. Nie przejmuj się tym teraz. Na razie jestem zwyczajnym facetem, który chce zjeść romantyczny obiad ze swą cudowną dziewczyną...

Dori opuszcza oczy.

– Chyba się nie martwisz?

– Nie. – Uśmiecha się smutno. – Ale czuję prawdziwą ulgę, że mam na sobie tę sukienkę, zamiast powyciąganego, poplamionego mrożoną herbatą i owocami podkoszulka.

Rozdział 19

Brooke

Reid kompletnie mnie olewa, ale to nic nowego, prawda? Zrobi to na święty nigdy. Rozumiem, że może być zajęty – Reid, najbardziej zajęty człowiek na świecie – co może oznaczać wszystko: od kręcenia nowego filmu poczynając, na zdobywaniu kolejnej dziewczyny kończąc, ale miał naprawdę mnóstwo czasu, żeby przeprowadzić test na ustalenie ojcostwa i podpisać ten pieprzony formularz zrzeczenia się praw.

W środku tygodnia wysłałam mu SMS, ale nie odpowiedział. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do niego, ale nie odebrał. Nagrałam mu wiadomość, ale nie oddzwonił. Wyraźnie mnie unika, co każe mi podejrzewać, że dzieje się coś niepokojącego. Zbyt ciężko pracowałam, żeby zebrać wszystko do kupy, jak mawia Kathryn. Zadzwoniłam nawet do taty, co odkładałam najdłużej, jak się dało. Po tamtym uroczym spotkaniu z matką uznałam, że nie mam już nic do stracenia. Więc przedstawiłam mu w maksymalnym skrócie informację o tym, co robię. Milczał przez jakieś pół minuty.

– Brooke, jesteś jeszcze taka młoda, a rola rodzica jest trudniejsza, niż ci się wydaje – zaczął. Tytułem wstępu do wygłoszenia najmniej pożądanej rady w życiu.

– Tak sądzisz? – warknęłam i natychmiast się zamknęłam. – Słuchaj. Nie proszę cię o opinię czy radę, bo zależy mi na nich tak samo jak na zdaniu Sharli. Ja cię tylko informuję. Jeśli chcesz powiedzieć osobie, zajmującej się sprawą mojej adopcji, że będę okropną matką, to proszę bardzo.

Miał czelność odezwać się takim tonem, jakby poczuł się urażony.

– Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił, Brooke. Wiem, że nie jestem najlepszym ojcem...

– O, mój Boże – naprawdę? A ciągle robisz następne dzieci, więc wydawało mi się, że uważasz się za świetnego w tej dziedzinie. – Miałam ochotę natychmiast cofnąć te słowa i dać sobie samej porządne kopa. To był strzał w dziesiątkę, w najbardziej wrażliwe miejsce mojej psychiki. Idiotka.

– Wręcz przeciwnie. Ciągle mi się zdaje, że mogę zacząć od nowa i że tym razem będzie w porządku.

Cholera jasna, pomyślałam. Jak można się tak oszukiwać?

– To głupie. Bawisz się życiem innych ludzi, łamiesz im serca. Nie potrafię zrozumieć, jak mogłeś porzucić Kathryn dla Sharli. – Nie mogę przestać wymawiać imienia swojej matki tak, jakbym wypluwała truciznę. – I dlaczego Kelley i Kylie ci nie wystarczały. – Dlaczego nie wystarczałam ci ja.

– Widzisz, Brooke, problem polega na tym, że wraz z Sharlą pojawiłaś się ty.

A z Vivian – Rory i Evan. Z perspektywy czasu moje małżeństwa mogą się wydawać kolosalnymi błędami, ale nie żałuję przyjścia na świat żadnego z moich dzieci. I chyba dlatego potrafię zrozumieć, dlaczego chcesz odzyskać swojego chłopca. Być może to dobra decyzja. Będziesz miała dziecko bez wikłania się w toksyczny związek.

– Mówisz, że nie żałujesz mojego przyjścia na świat, a przecież mnie porzuciłeś. Zrezygnowałeś nie tylko z małżeństwa. Nie zostawiłeś wyłącznie mojej matki, tato – ty zostawiłeś mnie. – Łykam łzy.

– Przepraszam.

– No, dobrze. – Zaciskam zęby. – Spróbuj zadzwonić do Rory’ego, zanim zmieni się w nastolatka, który cię nienawidzi. Spróbuj zabrać Evana do ZOO czy gdziekolwiek. Przychodź na ich mecze piłki nożnej, na szkolne przedstawienia czy imprezy urodzinowe, zamiast przysyłać im tylko pieniądze.

Zanim skończyłam piętnaście lat, miałam już pełną świadomość, że mój ojciec nigdy nie zaniegował finansowych zobowiązań wobec mnie. Zawsze na czas płacił alimenty. Co roku przysyłał mi kartkę z życzeniami urodzinowymi i coraz większą kasę. Ale ja zazdrościłam dzieciakom, których ojcowie uczestniczyli w ich życiu.

– Czy ty mnie nienawidzisz, Brooke?

Westchnęłam; byłam zbyt zmęczona, żeby z prawdziwym przekonaniem nienawidzić więcej niż jednego rodzica na raz.

– Nie wiem.

Teraz on westchnął.

– Zawsze byłaś brutalnie szczerą.

Parsknęłam śmiechem, urażona.

– Mama powiedziała mi właśnie, że jestem dziwką.

– Co? To absurd. Myślę, że cały Teksas wie doskonale, kto jest dziwką, słonko. – Nie nazywał mnie słonkiem, odkąd skończyłam dziesięć lat. Wtedy mnie zostawił. Znowu zacisnęłam zęby.

– Ja nie żartuję, tato. Dzwon do Rory’ego i Evana. Będę cię informowała o Riverze.

– Ma na imię River? Brooke i River? Strumyk i Rzeczka? – Roześmiał się. – Podoba mi się. Chciałbym go poznać...

– Nie, jeśli zamierzasz potem zniknąć z jego życia – zaprotestowałam.

– Rozumiem. Informuj mnie na bieżąco. I nie przejmuj się Sharlą. Ona zmieni zdanie.

– Nie, nie zmieni, ale to mnie nic nie obchodzi. Wiesz tak samo jak wszyscy, że pewne rzeczy po prostu się nie udają.

Ja: DLACZEGO nie oddzwoniasz? Podpisałeś formularz?!

Reid: Daj mi pięć minut. Oddzwonię.

– Podpisałeś? – pytam, zamiast powiedzieć „halo”. Staram się usunąć z głosu panikę, ale coś się dzieje i ja o tym wiem. Coś, o czym Reid mi nie mówi. Wyczuwam to, jak wyczuwa się w górach nadciągającą burzę, zanim jeszcze ciemne chmury pojawią się na horyzoncie. Jakby powietrze było naelektryzowane. Niewidzialne włoski na naszym ciele zaczynają się jeżyć. W oczekiwaniu.

– Nie i nie zamierzam...

– Co? Co? Co, do cholery, Reid...

– Daj mi chwilę, dobrze? Musimy pogadać o...

– Reid, jeżeli nie podpiszesz tego formularza...

– Nie próbuj mi grozić, Brooke. – Jego głos jest mocny, stanowczy jak nigdy dotąd, a ja drętwieję ze strachu, bo on ma przewagę i najwyraźniej o tym wie. – Zamknij się, proszę, i posłuchaj.

Nie mówię nic.

– Nie mogę podpisać tego formularza, bo nie chcę się zrzec praw do niego.

Całe moje ciało zaczyna dygotać w niekontrolowany sposób, jak wtedy, kiedy zażyłam amfetaminę na jakiejś imprezie – co przeraziło mnie tak bardzo, że już nigdy więcej tego nie próbowałam. Wkładam buty, co wygląda idiotycznie, bo mam na sobie spodnie od piżamy, ale nic mnie to nie obchodzi. Z telefonem przy uchu wypadam na korytarz i wparowuję do kuchni, w której Kathryn i Glenn razem przygotowują brunch – to rytuał obowiązujący w niedzielne przedpołudnia. Z odtwarzacza cichutko sączy się jazz, a w powietrzu unosi się zapach wafli i bekonu.

– Idę nad strumyk – rzucam w przelocie, łapię sweter z wieszaka na płaszcze i otwieram tylne drzwi.

Kathryn odwraca się ze szpatułką w ręce, a jej uśmiech znika na widok telefonu przy moim uchu i mojej przerażonej miny.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Przechyliła głowę na bok i robi krok w moją stronę.

– W porządku. Wszystko w porządku. – Rozciągam twarz w fałszywym uśmiechu, jak kawałek elastycznej plasteliny. Nie ma mnie w tym uśmiechu. – Wracam za kilka minut.

– Chcę się dołączyć do twojego wystąpienia o adopcję – mówi Reid, kiedy zamykam za sobą szklane drzwi.

– Dlaczego to robisz? – Trzęsę się tak mocno, że obawiam się, iż upuszczę telefon. Naciągam na głowę kaptur swetra, jakby to chłodne powietrze było odpowiedzialne za ten dygot, a nie słowa Reida i pędzę nad strumyk. – Dlaczego?

– Rozmawiałem z tatą...

– A więc to jest posunięcie prawne? Ty starasz się chronić swój tyłek,

podczas gdy ja chcę mu zapewnić dom...

– Nie. Nie, to nie tak.

Nagle dociera do mnie, że Reid mówi cicho. Nieomal szeptem.

– Gdzie jesteś?

– W San Fran. Z Dori. Jutro są jej urodziny, więc przyjechaliśmy tu na weekend. Dlatego nie oddzwoniłem do ciebie od razu. No i wiedziałem, jak na to zareagujesz.

Przez ten krótki czas, jaki spędziłam u Kathryn, zdążyłam już wydeptać ścieżkę z domu nad strumyk.

– Niech zgadnę. Jeszcze jej nie powiedziałaś.

– Nie.

– Ale tacie powiedziałaś.

– Tak. I zamierzam powiedzieć Dori. Dzisiaj. Chciałem tylko zaczekać... – Wzdycha. – Żałuję, że nie da się uniknąć powiedzenia jej o tym. Nie wiem, jak ona zareaguje.

– Jesteś w hotelu? Tam u was jest pewnie ósma rano. Dzwonisz z pokoju?

– Nasz pokój ma własny taras. Jestem na zewnątrz. – Śmieje się cicho. – Z kocem. Tutaj jest chłodniej niż w LA.

– Nie mam ochoty rozmawiać o pogodzie, Reid.

Docieram nad strumień i włączę na swój ulubiony kamień, którego płaska powierzchnia jest zimna jak lód. Ale łagodny nurt i tak działa kojąco. Siadam na swetrze i podciągam kolana pod brodę, trzęsę się i przy każdym wydechu wokół moich ust unosi się obłoczek ciepłego powietrza, który szybko się rozwiewa.

– Okej. Tak. Wiem. – Reid wzdycha. – Tata uważa, że najlepiej będzie, jeśli dołączymy się do złożonej już przez ciebie aplikacji o adopcję.

– Nie rozumiem, dlaczego to robisz, Reid. Nigdy nie wyraziłeś najmniejszego zainteresowania nim...

– Nie wierzyłem, że to mój syn, Brooke. Przed laty wbiłem to sobie do głowy i nie zrewidowałem tego przekonania, do czasu naszej rozmowy sprzed kilku miesięcy. A jeśli mam być szczery, uwierzyłem ci w pełni dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem jego zdjęcie. Nie zapytałaś mnie nawet o wyniki testu, ale cóż, po prostu nie musiałaś pytać. Wiedziałaś, jakie będą.

Zamykam oczy. Czuję na twarzy plamki światła, przenikającego przez gałęzie drzew. Słucham bulgotania strumyka. I wybaczam mu, w końcu.

– Tak.

– Cholera, bardzo cię przepraszam...

– Byliśmy dziećmi, Reid, zdaję sobie z tego sprawę. Byliśmy zbyt młodzi, żeby się kochać. Byliśmy smarkaczami.

To puste słowa, oczywiście. Ja kochałam Reida, kiedyś. Długo, zdecydowanie zbyt długo, bo miałam w sobie taką głupią, dziewczęcą wiarę, że

przecież nie mogłam tak bardzo się pomylić. Że on również mnie kochał, choć trochę. Najwyższy czas, żebym otrząsnęła się z tych złudzeń, a jednak nie potrzebuję, nie chcę usłyszeć brutalnej prawdy.

– Brooke...

– Reid, nie... – Moje słowa są ledwo dosłyszalne.

– Ja tylko... nie chcę, żebyś odniosła mylne wrażenie...

– Okej, zostawmy ten temat, dobrze? – Przyciskam czoło do kolan i owijam się swetrem jak kocem. Nie mogę w tej chwili uporać się z tym.

– Brooke, ja cię ubóstwiałem. Mogłem zachować się zupełnie inaczej, znacznie lepiej po tym, co, jak mi się wydawało, robiłaś z tamtymi facetami. Wiem, że mnie nienawidzisz, bo cię zostawiłem, i w pełni na to zasługuję. Wmówiłem sobie, że to nie mój syn, i pozwoliłem, by to przekonanie wpłynęło na wszystko inne. Ale kochałem cię naprawdę.

Łzy napływają mi do oczu i wsiąkają w miękką flanelę okrywającą moje kolana.

– Muszę iść – mówi Reid. – Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

– Jasne. Okej. Porozmawiamy jutro.

Rozłączam się i uświadamiam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, że Reid powiedział mi właśnie, iż kiedyś mnie kochał. I po drugie, że nadal nie wiem, dlaczego chce adoptować naszego syna.

Dori

Kiedy się obudziłam, zegar przy łóżku wskazywał kilka minut po ósmej. Reid nie leżał obok mnie, a wglębienie po nim było już chłodne. Wstałam, włożyłam szlafrok, który poprzedniej nocy pozostał na kołku. Rumieniąc się na wspomnienie spełnienia przez Reida jego obietnic złożonych przed wyjściem na obiad, przeszłam nad naszymi butami, moją bielizną, jego koszulą i krawatem, tuzinami spinek do włosów i jego spodniami.

Sukienka wisiała na krześle przy biurku; nalegałam na jej powieszenie.

Reida nie było nigdzie. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, czy nie wyszedł po coś na dwór, ale w tym momencie zauważyłam go na tarasie, w szlafroku. Pomimo słonecznych promieni padających na poduszki w patio, o tak wczesnej porze jest tutaj całkiem chłodno, a że nasz apartament znajduje się na samej górze hotelu – jeszcze zimniej.

A Reid wyszedł na dwór. Z telefonem.

Mogłam odejść, żeby wziąć prysznic. Albo zamówić kawę i śniadanie. Albo pozbierać części garderoby i bielizny rozrzucone na drodze od drzwi apartamentu do królewskiego łóża, bo za kilka godzin powinniśmy się spakować i wymeldować

z hotelu.

Ale podeszłam do drzwi balkonowych i otworzyłam je, powoli. Moje ciało zareagowało bólem na dźwięk głosu Reida, zachrypniętego o poranku. Starał się mówić cicho, więc pochwyciłam tylko kilka słów. „Ubóstwiałem”. „Lepiej”. „Moja”. „Kochałem cię”.

Musiałam wydać jakiś dźwięk, bo odwrócił się i popatrzył na mnie, nie przestając mówić. Powiedział jej, że musi iść i że porozmawiają jutro. Rozłączył się, a ja wycofałam się do pokoju. Wszedł za mną do środka i zamknął drzwi.

Nie wiedziałam, że to się stanie tak szybko.

Reid rzuca telefon na niski stolik, dopada mnie w czterech susach i łapie za ramiona.

– Dori, powinniśmy porozmawiać. – Jeszcze nigdy nie robił wrażenia tak przerażonego. – Zadzwońię po śniadanie, chyba że ty już to zrobiłaś?

Kręcę głową, nie.

Prowadzi mnie na kanapę, sadza w rogu, a potem otwiera menu i składa zamówienie. Jego głos w czasie rozmowy z obsługą hotelową znowu brzmi mocno, z typową dla niego pewnością siebie, która znika jednak, gdy Reid siada przy mnie, a spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu krąży po pokoju, jakby chciał znaleźć odpowiednie słowa na zewnątrz, poza własnym umysłem.

– Okej. Wiesz, kim jest Brooke Cameron?

Kiwam głową.

– Tak.

Wypuszcza z płuc powietrze, jedną ręką obejmuje swój kark.

– No więc kiedyś chodziliśmy ze sobą. – Patrzy mi w oczy, uważnie, badawczo. Sama nie wiem, czy chcę ukryć przed nim swoje myśli, czy wręcz przeciwnie – odsłonić przed nim wszystkie. – Dawno, pięć lat temu.

Większość ludzi bagatelizuje związki, które mieli w wieku czternastu czy piętnastu lat. Szczęnięca miłość. Zauroczenie. Zakochanie. Ale ja wiem aż nazbyt dobrze, jak głębokie potrafią być uczucia piętnastolatków.

– To nie skończyło się dobrze. – Reid przesuwając ręką po włosach, nie jest w stanie usiedzieć spokojnie. – A właściwie całkiem paskudnie. Myślałem, że ona mnie zdradza. Więc zerwałem z nią bez żadnych wyjaśnień. W dwa miesiące później zadzwoniła do mnie, że jest w ciąży.

W ciąży?

Moje myśli natychmiast biegną do Colina, do tego, co bym zrobiła, czy powiedziała, gdybym dzisiaj na niego wpadła. Rzucił mnie bez żadnego powodu, chociaż Deb twierdziła, że wystarczającym powodem było to, iż skończył osiemnaście lat i mógł być pociągnięty do odpowiedzialności karnej za współzycie z piętnastolatką. Nie powiedziałam mu, że zaszłam w ciążę. Wiedziałam, że to nie miałyby dla niego najmniejszego znaczenia.

– Dori? – Reid dotyka mojej twarzy. Spoglądam w jego zatroskane oczy. – Dokąd uciekłaś? Rozmawiaj ze mną.

Potrząsam głową.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego ona teraz do ciebie wydzwaniania? – Domyślam się odpowiedzi już w chwili, gdy to pytanie pada z moich ust. Nie. Nie. Nie.

Reid zaciska zęby, widzę, jak porusza się jego szyja.

– Ona oddała go do adopcji.

Przygryzam wewnętrzną część policzków i mocno zaciskam dłonie spoczywające na kolanach.

Reid obejmuje rękami moje zaciśnięte dłonie.

– Boże, jakie ty masz lodowate ręce. Możemy porozmawiać o tym później...

– Nie. – Głos jest jedyną pewną częścią mnie, Reid wzdryga się, słysząc mój stanowczy ton. – Dokończ. Dokończ, proszę.

Zamyka na chwilę oczy, a potem odpowiada.

– To było moje dziecko, choć o tym nie wiedziałem. Nikomu o tym nie powiedziałem, Dori. Moi rodzice nie wiedzieli. Nie mówiłem nawet Johnowi.

– Skąd wiesz, że jest twój?

– Właśnie zrobiliśmy test na ustalenie ojcostwa.

Właśnie. Czyli w ostatnim czasie.

Coś mi umknęło, ale nie bardzo wiem co. Kiedy dzieci zostają adoptowane, ich rodzice biologiczni przestają się liczyć.

– Ale... mówiłeś, że go oddała do adopcji. To dlaczego...

– Dwa miesiące temu Brooke wynajęła prywatnego detektywa, żeby go odszukać. Miewała koszmarne sny na jego temat i chciała po prostu upewnić się, że nic złego mu się nie dzieje. Detektyw odkryła, że kilka miesięcy temu został zabrany z domu rodziców adopcyjnych z powodu narkotyków i drastycznego zaniedbania. Jest teraz w rodzinie zastępczej. Więc Brooke... wystąpiła o adopcję. Ja również.

Ręce, które przed chwilą Reid uznał za lodowate, teraz zmarzły tak, że straciłam w nich czucie. A potem nagle wróciło mi czucie. Fala chłodu zaczęła się rozchodzić po całym ciele, od karku aż po koniuszki palców u nóg, jak miliony drobniutkich ukłuć, ostrych i bolesnych. Jakby ktoś ścisnął mnie za gardło, ograniczając, a wreszcie odcinając całkowicie dopływ powietrza, jednocześnie pozbawiając mnie wzroku.

– Ja powiedziałam ci wszystko o sobie, o Colinie. – Spazmatycznie łapię powietrze. – A ty nie powiedziałeś mi... nie powiedziałeś ...

– Dori, ja nie... ja sam nie wiedziałem. Myślałem, że Brooke mnie okłamała. Przysięgam, nie wierzyłem, że on jest mój. Oboje byliśmy tacy młodzi i głupi, i uparci. Nie rozmawialiśmy ze sobą tak szczerze, jak ty i ja...

– Jak ty i ja? Na przykład o dziecku, które masz z inną?

Reid kryje twarz w dłoniach.

– Nie wierzyłem, że on jest mój i nie miałem wpływu na jej decyzję.

– Więc zostawiłaś decyzję jej? Samej? A teraz dostałaś drugą szansę i możesz postąpić przyzwoicie, bo ona podjęła inną decyzję niż kiedyś ja? – Odsuwam się od niego, ale on łapie mnie za rękę.

– Do licha, Dori, nie! To nie tak.

– Powiedziałaś, że adoptujecie go oboje. Więc... zejdziecie się znowu?

– Nie. Nie. Jezu. Tu nie chodzi o mnie i Brooke, wyłącznie o Rivera.

Jego dziecko ma imię. No jasne.

– O Rivera?

– Ma teraz cztery i pół roku. Pokażę ci jego zdjęcie... – Zostawia mnie, idzie do stolika po telefon i przegląda galerię. Podaje mi komórkę, a ja biorę ją, myśląc: Ja go nie znam.

Ale widzę go w twarzy jego dziecka. I jeśli ktoś potrzebuje ratunku, to ten mały chłopczyk. Jego smutek jest niewątpliwy, stanowi lustrzane odbicie niezliczonych małych twarzyczek od Wschodniego LA po Quito – dzieci dźwigających na barkach ciężar całego świata. Świata, którego nie stworzyły i w którym wcale nie chciały być porzucone.

– Tata ma o tym powiedzieć mamie w czasie tego weekendu. Jutro skontaktuje się z kimś z Sądu Rodzinnego LA, a we wtorek lecimy do Austin na rozmowę z adwokatem Brooke, możliwe że również z kimś z opieki społecznej i sędzią. I, last but not least, nie wiem, kiedy to przedostanie się do wiadomości publicznej, ale wtedy zaczniesz się cyrk. – Reid zabiera telefon z mojej ręki i unosi palcem mój podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy. – Powiedz coś, Dori.

Wzdrygamy się oboje, słysząc mocne pukanie do drzwi.

Reid wzdycha.

– To pewnie śniadanie.

Wstaje, żeby wpuścić obsługę hotelową, a ja przyglądam się przez okno łodziom na zatoce. Z oddali przypominają modele albo sterowane radiem zabawki. Wyobrażam sobie, że ci, którzy trzymają w rękach piloty do zdalnego sterowania, to znudzeni półbogowie, zajmujący takie apartamenty na szczytach wysokościowców jak ten.

Czuję na sobie jego wzrok, ale żadne z nas nie odzywa się, kiedy nakrywają do stołu.

Reid nie jest tamtym skoncentrowanym wyłącznie na sobie, aroganckim chłopakiem, którego poznałam ubiegłego lata na Habitacie, chłopakiem, który nazwał mnie hipokrytką za to, że nim wzgardziłam, a potem udowodnił mi, że warto go ratować. Nie jest tamtym chłopakiem, który namawiał mnie jesienią, żebym pozwoliła sobie na odrobinę lekkomyślności, bo z nim to bezpieczne. Nie jest chłopakiem, który kilka tygodni temu stanął pod przeszklonymi drzwiami

domu moich rodziców, zapewniając o swym całkowitym zaangażowaniu, a potem wniósł mnie na rękach na górę i kochał się ze mną w moim łóżku z dzieciństwa.

To Reid Alexander, obiekt marzeń zwyczajnych dziewcząt. Za kilka godzin moje marzenia odejdą w przeszłość. Ja wrócę do swojego życia, a on do swojego.

Rozdział 20

Reid

W drodze powrotnej do akademika Dori jest równie milcząca jak dwa dni temu, podczas podróży do San Fran. Wjeżdżam na rzadko używany parking i proponuję, że odprowadzę ją do pokoju, ale jeśli wysiądę z samochodu, istnieje ryzyko, że zostanę rozpoznany, a Dori z pewnością nie ma teraz ochoty się z tym zmagać, bo czeka ją ten ważny egzamin.

Pochylamy się ku sobie, żeby pocałować się na do widzenia.

– Pieprzę to – mruczę, odsuwam swoje siedzenia maksymalnie do tyłu i sadzam sobie Dori na kolanach. – Mmm. Tak lepiej. – Wsuwam rękę w jej włosy, pochylam jej twarz i całuję głęboko w usta, każdym muśnięciem języka o jej język, każdą pieszczotą zapewniam ją, ile dla mnie znaczy.

Oddycha w urywany sposób i opiera głowę na moim ramieniu.

– W czasie tego weekendu nie dałeś mi zbyt wiele czasu na naukę. – Kładzie dłoń na moim sercu.

– Za to ja miałem mnóstwo czasu na gruntowne studia. Mam już całkowitą pewność, że mógłbym cię rozpoznać po pępuszku, rzepkach kolanowych czy różowiułkich paluszkach u nóg, nie mówiąc już o innych częściach ciała, które zapisałem sobie w pamięci już dawno. Na przykład mogłem cię zidentyfikować po tych rozkosznych ustach już w dwa dni po spotkaniu cię.

Dori mruga i przechyla głowę na moje ramię.

– Ale nie całowałeś mnie przecież aż do, no wiesz, różowej szafy.

Przyszpiliam ją wymownym spojrzeniem.

– Pamiętam, ale usta były pierwszym, na co zwróciłem w tobie uwagę. Nie mogłem przestać o nich myśleć, w pracy i poza nią. W wyobraźni całowałem cię setki razy, a kiedy wreszcie zrobiłem to naprawdę, mogłem już myśleć tylko o tym, aby to jak najszybciej powtórzyć. – Przesuwam kciukiem po jej pełnej dolnej wardze i przypominam sobie te okropne czasy, kiedy próbowałem o niej zapomnieć i żyć dalej. A gdy zobaczyłem ją znowu, już po dwóch sekundach miałem pewność, że nie zapomniałem niczego.

Chciałbym umieć czytać w jej myślach. Dori to melancholijna, myśląca dziewczyna i wpatrywanie się w przestrzeń w głębokim zamyśleniu nie jest u niej czymś niespotykanym. Zazwyczaj jestem zafascynowany, kiedy to robi – na jej twarzy malują się zmienne emocje, przemykają przez nią lekkie uśmiechy, grymasy czy skrzywienia. Ale w tej chwili nie odczuwam fascynacji – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jej zamyślenie dotyczy mnie.

– O czym myślisz?

Mruga oczami w roztargnieniu, a potem zwraca spojrzenie na mnie i jej oczy są tak ciemne i przepastne, że nabieram pewności, iż nigdy nie odkryję jej tajemnic. Ale nawet jeśli nie jestem w stanie podążać za nią, gdy pogrąża się w sobie, chciałbym, żeby wiedziała, iż zawsze będę przy niej, gotów wydobyć ją na pewny grunt, zanim zapadnie się w otchłań. Że nie pozwolę jej zginąć.

– Nie chcę powiedzieć „żegnaj” – mówi z błyszczącymi oczami.

– To nie mów – odpowiadam, ignorując subtelne przeczucie wywołane jej słowami. Ignorując fakt, że nie zadała ani jednego pytania o Rivera, Brooke, czy adopcję. Ignorując własne pragnienie usłyszenia z jej ust choć raz, że mnie kocha.

River

Wendy powiedziała, że mogę mieć nową mamę. Że mogę wyjechać i zamieszkać z nią.

Pani z pomocy społecznej przyjechała, żeby o tym porozmawiać – ma na imię Kris. Czasem przyjeżdża ze mną rozmawiać. O mamie. Albo o Wendy. Albo o tym, co czuję i o czym myślę, kiedy chowam jedzenie. Powiedziała, że mam spotkać się z panią, która może chcieć zostać moją mamą (tylko że Kris powiedziała matką, a nie mamą).

– Możesz mi to narysować? – zapytała.

Tylko tego zawsze ode mnie chcą. Żebym coś narysował.

Ja nie chcę nowej mamy. Chcę zostać tutaj z Wendy i żeby to Sean znalazł nową mamę, a nie ja. Tylko nie wiem, jak to narysować.

Rozdział 21

Brooke

– Chcesz mi powiedzieć, że mamy zrobić album z wycinankami. – Reid unosi brew i patrzy na mnie autentycznie osłupiały. Fotografie i rozmaite rzeczy niezbędne do wykonania albumu – pożyczone od Kathryn – leżą rozrzucone na wiejskim stole w jej kuchni, przy którym siedzimy obok siebie na ławie.

– Sheldon, pracownica socjalna, nazywa to *Księgą Życia*. Ale tak, zasadniczo jest to album.

– A musimy to wykonać ponieważ...?

Wzdycham ciężko. Nie mogę mieć do niego pretensji – robotki ręczne to coś, czego żadne z nas nie wykonuje bez bardzo ważnego powodu, jeśli w ogóle.

– Opiekunka socjalna Rivera da mu ten album, żeby zobaczył, kim jesteśmy i gdzie mieszkamy. Gdzie on będzie mieszkał. Miejmy nadzieję, że matka zastępcza przeczyta mu to, co do niego napisaliśmy. Sheldon mówi, że niektóre dzieci srają ze strachu na myśl o opuszczeniu rodziny zastępczej, a inne nie – więc to pomaga.

Reid wybucha śmiechem.

– Pracownica socjalna Sheldon mówi: „srają ze strachu”?

Wzruszam ramionami i też zaczynam się śmiać.

– Sheldon jest wyluzowana.

Potrząsa głową.

– Próbuję sobie wyobrazić Dori mówiącą coś takiego do klientki. – Jeden kącik jego ust unosi się nieco. – Nie. Nic z tego.

Nie po raz pierwszy myślę o dziewczynie, która stała się tak nadspodziewanie ważna dla Reida. Reid wyciąga z kieszeni komórkę i po raz trzeci w ciągu pół godziny zerka na wyświetlacz. I nie znajduje tam tego, czego szuka.

– Skoro już się otrząsnąłeś z osłupienia, chodźmy włączyć komputer, żeby wydrukować zdjęcia, które wybrałeś. – Wstaję, a on rusza za mną do mojej sypialni.

Ja uruchamiam komputer, a Reid rozgląda się po pokoju. Niewiele tu do oglądania, prawdę mówiąc. Jestem minimalistką, kiedy gdzieś jadę. Przed przeprowadzką pozbyłam się z mieszkania w LA szklanych stolików i białej skórzanej tapicerki, ale i tak nie wygląda zbyt przytulnie – co mnie martwi ze względu na Rivera. Bo może przytulność jest pożądana dla dziecka w jego wieku? Nigdy nie malowałam ścian na kolorowo, wołałam neutralne barwy. W moim apartamencie nie ma zdjęć krajobrazów. Umeblowanie salonu nie zachęcało nigdy do spontanicznej drzemki. Nigdy nie miałam żadnych zwierząt domowych, nawet

rybek. A wszystkie rośliny usychały.

– Tutaj jesteś inna – mówi Reid.

Oglądam się na niego. Wyciągnął się na moim łóżku, jedną z długich nóg zwiesił z boku i oparł stopą o podłogę, a drugą zgiął tak, żeby nie zabrudzić białej narzuty. Opiera się o stertę poduszek z rękami założonymi za głowę, przedramiona naprężają się pod niedbale podwiniętymi rękawami jasnoniebieskiej koszuli z zapinanym na guziczki kołnierzykiem. Porusza głową, przyglądając się pokojowi i mnie, więc odwracam się do komputera, żeby nie czuć zażenowania.

Chyba wiem, co ma na myśli, ale nie jestem pewna, czy mam ochotę usłyszeć jego spontaniczną ocenę. Lubię, kiedy się na mnie patrzy, jeśli mam poczucie, że dołożyłam wszelkich starań, aby wyglądać sexy. Ale teraz tak nie jest. Olałam suszarkę i prostownicę, nie zadałam sobie trudu, żeby poskromić burzę naturalnie kręconych włosów i zmienić je w gładki blond wodospad, z którego jestem słynna. Mam na sobie ciepły podkoszulek z długimi rękawami w kolorze zszarzałego wrzosu, wytarte džinsy boot-cut i swoje ulubione kowbojskie buty z prawdziwej skóry. Zupełnie nie wyglądam na dziewczynę z LA – ani z Hollywood.

– Co masz na myśli? – pytam, udając obojętność i otwieram folder fotograficzny zatytułowany *Księga Życia*.

Reid zastanawia się, zanim udzieli odpowiedzi – co dowodzi troskliwości lub sprytu.

– Nie chodzi tylko o strój i brak makijażu, choć to godne uwagi. Raczej o język ciała i wyraz twarzy. Są... sam nie wiem... bardziej zrelaksowane? I masz wyraźniejszy akcent. Jesteś mniej...

Odwracam się i patrzę na niego ironicznie.

– Mniej szykowna? Mniej wyrafinowana?

– Zamierzałem powiedzieć: mniej sztuczna. Wiem, co myślisz o swojej matce i jak bardzo nie chcesz być do niej podobna. Ale nie jesteś do niej podobna. I nigdy nie byłaś. A do macochy? Mówisz podobnie jak ona. Teraz, kiedy ją poznałem, jestem tego pewien. Chociaż lata spędzone w LA prawdopodobnie na stałe osłabiły twój akcent. – Spogląda na mnie spod długich ciemnych rzęs, za które wiele blondynek byłoby gotowe popełnić morderstwo. – Co zawsze uważałem za dużą stratę.

– Co masz na myśli, mówiąc: sztuczna?

Reid ściąga brwi.

– Dobrze odgrywasz rolę dziewczyny z LA. Ale to tylko gra, prawda? Tak się prezentowałaś również kilka tygodni temu, kiedy wpadłem do twojego mieszkania. To jest prawdziwa Brooke Cameron.

O mało nie spadłam z krzesła.

– Wow. Od kiedy to zacząłeś się bawić w psychoanalizę? Czy to twoja

dziewczyna jest odpowiedzialna za tę nową, nietypową świadomość?

Uśmiecha się.

– Prawdopodobnie.

– Interesujące. Myślę, że powinnam ją poznać.

– Poznasz, bez wątpienia.

Przechylałam głowę. Nagle uderza mnie coś, czego właśnie się domyśliłam.

On ją kocha.

– Ty naprawdę myślisz o niej poważnie.

Kiwa głową, ale nie wygląda na szczęśliwego. Hmm.

– Powiedziałaś jej o wszystkim... – Wskazuję palcem nas oboje. –

O Riverze, adopcji itd. Mam rację?

Znowu kiwa głową i zaciska usta.

– W ostatnim okresie miała rozmaite paskudne przeżycia. To bardzo podkopało jej ufność.

– Z pewnością to nie przysłużyło się jej najlepiej. Ani fakt, że trzymałeś to przed nią w tajemnicy.

– Hmm, nie. – Potrząsa głową, a jego usta zmieniają się w wąską linię.

– A dlaczego to zrobiłeś, Reid?

– Dlaczego trzymałem to przed nią w tajemnicy?

– Nie. To sam musisz rozwikłać. Ja chcę wiedzieć, dlaczego to robisz.

Dlaczego chcesz adoptować Rivera?

Reid strąca źdźbło trawy z buta – zgrabnego, modnego, czarnego pantofla – nie kowbojskiego, jak moje, ani roboczego, jakie mógłby nosić Graham. To but cudownego chłopca z LA. Ale w Austin wydaje się zdecydowanie hipsterski. Nie żeby Reid się tym przejmował.

– To chyba skutek uboczny zmian, jakie we mnie zaszły, odkąd spotkałem Dori. Odkąd zostałem skazany na pracę przy tamtym domu. Zaczynam dostrzegać sprawy, których dotychczas nie zauważałem. I mój związek z nimi. Czuję się zobowiązany do robienia tego, co jestem w stanie zrobić. – Spogląda mi prosto w oczy. – Jeśli chodzi o Rivera, to zobowiązanie najwyższej klasy.

– Ja odczuwam ten rodzaj zobowiązania jedynie w stosunku do Rivera – przyznaję. – Wątpię, czy kiedykolwiek miałam jakieś poważniejsze poczucie więzi społecznej, ale z Riverem czuję się związana, choć nigdy go nie widziałam.

– On jest częścią ciebie – mówi Reid i wzrusza ramionami.

– Ciebie również. – Zanoszę laptopa na łóżko i podaję mu.

Podłącza swoją komórkę i wgrywa zdjęcia, o jakie go prosiłam – jego samego, domu rodziców i pokoju, jaki przeznaczyci dla Rivera.

– Czy to nie był kiedyś twój pokój? – Rozpoznaję układ okien i ciemne, rozsuwane drzwi do garderoby. To już pięć lat, a lepiej pamiętam pokój Reida niż swój własny w domu czy apartamencie, w którym mieszkałam w tamtym czasie

z mamą.

– Przeprowadziłem się do apartamentu babci w parę miesięcy po...

– Po naszym zerwaniu. Możesz to powiedzieć. – Siedzimy na moim łóżku, ramię przy ramieniu, co wydaje się równie niewiarygodne jak to, że rozmawiamy ze sobą spokojnie. – Wiem, że może ci być przykro to usłyszeć, Reid, ale to, co do ciebie czułam, już mi przeszło.

Uśmiecha się lekko.

– Wiem. Kiedy zeszłej wiosny rozpoczęłaś Operację Graham i wciągnęłaś mnie w próbę uwiedzenia Emmy, domyśliłem się, że ci przeszło.

Znowu Graham. Zamykam oczy i przyciskam palce do piersi. Cholera.

– Zeszłej wiosny byłam przekonana, że liczy się dla mnie tylko wszystko albo nic – mówię. – Kiedy go straciłam, zrozumiałam, że to nieprawda, ale było już za późno. W tamtym momencie dałabym wszystko, żeby móc cofnąć czas. Nasza przyjaźń mnie uratowała – on mnie uratował. Nieważne, co zrobiłam i kogo udawałam, on zawsze był przy mnie. Nie wiem, kim bym się stała, gdyby nie on.

– Przykro mi, że ci to zrobiłem, Brooke – mówi Reid, kopiując zdjęcia do mojego komputera, żebym mogła je wydrukować.

Potrząsam głową.

– To nie ty. W ciągu ostatnich kilku dni uświadomiłam sobie kilka spraw. Na przykład, co czułam, kiedy odszedł ojciec, kiedy przestał zwracać na mnie uwagę. Od tej pory ciągle szukałam czegoś lub kogoś, żeby zappełnić tę lukę. – Przesyłam zdjęcia Reida do drukarki w gabinecie Glenna, zamykam laptop i zdejmuję go z kolan. – W każdym z nas są takie puste miejsca, a niektórych z nich nigdy nie da się zappełnić. Ty nie mogłeś zastąpić mi ojca, a miałam o to do ciebie pretensję. Graham również nie mógł zappełnić tej luki. Myślałam, że to dlatego, iż potrzebowałam od niego czegoś więcej niż przyjaźń. Ale to nie była prawda.

Reid odwraca się do mnie.

– Wydaje mi się, że z początku Dori i ja byliśmy przyjaciółmi. Ale nie sądzę, żebym mógł ograniczyć się z Dori tylko do przyjaźni, choć ten aspekt naszych stosunków ma zasadnicze znaczenie. Pragnąłem jej niemal od początku, a odkąd z nią jestem, pragnę jej jeszcze bardziej. Umarłbym, gdybym spotykał się z nią i nie mógł jej dotknąć. Może byłaś na tym etapie z Grahamem.

Potrząsam głową.

– Widzisz, to właśnie jest strasznie głupie. Nie byłam. Wmówiłam to sobie, ale to było kłamstwo. Ty i Dori budujecie swój związek. Przyjaźń oznaczałaby zrobienie kroku wstecz, więc nie chcesz go wykonać. Ale Graham nigdy nie żywił do mnie takich uczuć. Nigdy. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi przez cztery lata.

– Łzy zaczynają płynąć po mojej twarzy. – Odrzuciłam najbliższy związek, jaki miałam w życiu – nie licząc Kathryn – postawiłam wszystko na jedną kartę, żeby zdobyć coś, czego Graham nigdy nie pragnął i co jasno dał mi do zrozumienia.

Reid otacza mnie ramionami i przytula do piersi. Od miesiący nie płakałam z powodu Grahama. Nie pozwalałam sobie na ulgę, jaką dają łzy, chciałam, żeby nieustający ból serca przypominał mi o tym, co zrobiłam.

– Zadzwoiłam do Grahama i powiedziałam mu o adopcji – mówię cichutko. Reid nieruchomieje i patrzy na mnie z góry zaskoczony. – Wiedziałam, że opiekunka społeczna Rivera zamierza do niego zadzwonić i obawiałam się tego, co mógłby jej powiedzieć. – Biorę urwany oddech. – Powiedział mi, że nie powinnam wykorzystywać Rivera, aby zaspokoić swoją potrzebę miłości.

Odsuwam się, sięgam po chusteczkę higieniczną i patrzę na koszulę Reida, mokrą od moich łez.

– Reid, River stracił jedynych rodziców, jakich znał. I, co zrozumiałe, przywiązał się do Wendy, to będzie kolejna strata w jego życiu. Jeżeli to zrobimy, nie możemy się potem wycofać. – Biorę go za rękę i patrzę mu w oczy. – Proszę, nie rób tego, jeśli nie będziesz mógł przy nim być. Jeśli zamierzasz założyć pewnego dnia rodzinę i zostawić go. On naprawdę nie potrzebuje kolejnych pustych miejsc w sercu.

Reid patrzy na nasze złączone ręce.

– Przez wiele lat myślałem, że nie mogę liczyć na ojca, a mogłem. Był przy mnie – nawet jeśli wydawało mi się, że nigdy nie miał dla mnie czasu. Nawet jeśli nie poświęcał mi tyle uwagi, ile powinien. – Podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. – Będę obecny w jego życiu, Brooke. Nie chcę składać obietnic, których nie będę w stanie dotrzymać, ale postaram się być w jego życiu więcej niż obecny. Daj mi słowo, że gdybym zaczął nawalać, to mi o tym powiesz. I dasz mi szansę, żebym to naprawił.

Kiwam głową.

– Okej.

Reid odrzuca włosy do tyłu i otwiera dłoń.

– O, rany. Czy każda dziewczyna, którą znam, musi nagle robić się taka strasznie przenikliwa? Do licha – wiem, że jestem płytki, ale Jezu... Można by pomyśleć, że ktoś jednak pozostanie powierzchowny, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

Rozmowa schodzi na lżejsze tory, bo zrzuciłam z serca ciężar – na Reida – choć mnie o to nie prosił. A jego żartobliwa uwaga pozwoliła mi złapać grunt pod nogami.

– A John?

– Racja – śmieje się Reid. – Zapomniałem o Johnie. Chłopie, jestem taki stłamszony.

Reid

Wczoraj nie byłem przerażony, kiedy Dori nie odpowiadała na SMS-y i telefony. Przez cały dzień miała zajęcia, w tym ten egzamin ze statystyki, którego tak się obawiała. Ale to był dzień jej urodzin, a ja nie miałem szansy z nią porozmawiać. Mówiłem sobie, że pewnie przyjaciele urządzili jej jakąś imprezę.

Ale nawet jeśli tak było, to odpisanie na SMS zajęłoby jej najwyżej trzydzieści sekund.

Teraz jest już wtorek, a ona nadal nie odpowiada i z każdą godziną coraz mi trudniej tłumaczyć jej milczenie absorbującym życiem studenckim czy wyladowaną baterią. Zastanawiam się, czy wszystko u niej w porządku. I czy jej rodzice próbowaliby mnie zawiadomić, gdyby nie było w porządku. A potem rozważam, czy nie powinienem do nich zadzwonić. Próbuję sobie przypomnieć nazwiska jej przyjaciółek. (Kayla jakaś tam. Aimee jakaś tam. Shayma jakaś tam.)

Nie jestem zachwycony kierunkiem, w jakim biegną moje myśli, bo nie jestem typem czepliwym, uzależnionym czy zaborczym.

Większą część dnia spędziłem z Brooke: najpierw byłem z tatą w kancelarii jej adwokata, a teraz w domu Kathryn robimy album dla Rivera. Po wydrukowaniu zdjęć nas samych i rozmaitych miejsc w LA – szlaków turystycznych, parków, jego przyszłych sypialni w każdym z naszych domów – przyklejamy je do kartek, jak przedszkolaki.

– Jak wytłumaczemy mu nasz związek, skoro chcemy go zabrać z domu, który zna, do dwóch innych, których nie zna w ogóle? Dwoje rodziców, będących już w separacji – może być skołowany.

Brooke w zamyśleniu przygryza jedną stronę wargi.

– Hmm. Musimy go przekonać, że jesteśmy przyjaciółmi. Że nie będziemy go szarpać, każde w swoją stronę. Na wszystkich portretach jesteśmy osobno. Czy w ogóle istnieją jakieś zdjęcia, na których jesteśmy razem, szczęśliwi? Ale nie tacy, wiesz, szczęśliwi-szczęśliwi. Może jakieś fotosy ze *Szkolnej dumy*? – Spogląda na moją pełną powątpiewania minę i macha ręką. – Tak, nieważne. Nie znosiliśmy się przez cały ten czas.

Po dzisiejszych rewelacjach czuję się jeszcze gorzej, gdy pomyślę, jak traktowałem Brooke. Poważnie, wyrzuty sumienia są gówniane.

– Znam tylko jedno przyjazne zdjęcie, sprzed pięciu lat – to, które wydrukowali razem z fotkami z LAX kilka tygodni temu, wraz z teoriami na temat przyczyn, dla których podróżujemy razem.

Brooke przewraca oczami.

– No tak. Bo celebrytom nigdy nie zdarzają się przypadki. – Wali się pięścią w czoło i łapie telefon. – Mam. Zróbmy zdjęcie teraz. Pochyl się.

Przysuwamy głowy do siebie, uśmiechamy się i Brooke pstryka dwa czy trzy zdjęcia. Wybieramy jedno i Brooke wrzuca je do swojego laptopa.

– Wiesz, że media zrobią z tego wielką historię, prawda? – mówię do niej. – Z Rivera. Z nas.

Brooke wzdycha i kiwa głową.

– Nie wiem, jaką interpretację wybiorą, ale najprawdopodobniej spróbują z nas zrobić przykładną rodzinę jak z reklamy. Albo zostaniemy nowymi bohaterami negatywnymi kampanii przeciwko nieodpowiedzialności nastolatków. Jakby posiadanie dziecka było występkiem porównywalnym z odsiadką w więzieniu, czy wielokrotnym pobytem na odwyku kokainowym. Nie przejmuję się tym, co o mnie mówią...

– To coś nowego.

Brooke wzrusza ramionami.

– Ale nie chcę, żeby ucierpiał na tym River. Szczególnie z powodu nieślubnego pochodzenia. Dlatego zastanawiam się nad udzieleniem Rowenie zgody na pierwsze ekskluzywne zdjęcia Rivera...

– Co? Nie. Jak mogłaś choćby pomyśleć, żeby jedna z tych sępów robiła mu zdjęcia?

– Daj spokój, Reid, bądź realistą – oni i tak będą go fotografować. To duża historia, a hollywoodzkie dzieci są bardzo prześladowane przez stalkerów. Jeśli te zdjęcia zrobi Rowena, zaspokoimy częściowo głód informacji opinii publicznej i będziemy mieli wpływ na to, jak River zostanie zaprezentowany opinii publicznej.

Krzywię się.

– To straszne, ale nie pozbawione sensu.

– Oczywiście, że tak. Pomyśl. On ma cztery lata. Jeżeli teraz zaprezentujemy w odpowiedni sposób jego historię, stanie się ona obowiązującą wersją na całe jego życie. Kiedy będzie dość duży, żeby zrozumieć, iż jesteśmy jego prawdziwymi rodzicami, to nie będzie dla niego wielkie halo.

– Z wyjątkiem tego momentu, w którym zrozumie, że ty i ja byliśmy przynajmniej raz szczęśliwi-szczęśliwi, co powinno się stać naszym sekretnym synonimem słowa „seks”. – Trzepoczę rękami i staram się mówić kobiecym głosem. – Reid, ponieważ w ten weekend ty będziesz miał Rivera, ja zamierzam być szczęśliwa-szczęśliwa z moim nowym trenerem osobistym!

– Zamknij się. – I daję mi potężnego kuksańca w ramię; zostanie mi po tym siniak. – Nie sypiam z ludźmi, którzy dla mnie pracują. Przeważnie. I możesz mi wierzyć, w ostatnim okresie ty zaznałeś bez porównania więcej szczęścia-szczęścia niż ja.

– Zazdrosna? – Brooke znowu próbuje mnie szturchnąć, ale ze śmiechem łapię ją za rękę. – Czy nie mówiłaś przypadkiem, że postanowiłaś wrócić na ostatni sezon tego serialu o życiu na plaży? Z tym bezmózgim mięśniakiem, z którym byłaś związana... Zaraz, jak on się nazywa? Xavier jakiś-tam? Jestem pewien, że

on się nadaje do odrobiny szczęścia-szczęścia.

Brooke wybucha śmiechem i zasłania twarz.

– Uch! Byliśmy ze sobą wszystkiego jeden raz. Jest ładniutki, ale niezbyt utalentowany.

– W przeciwieństwie do twojego oddanego sługi. – Poruszam brwiami z lubieżnym uśmiechem, a ona przewraca oczami.

– Chryste, twoje ego zawsze było rozdęte do gigantycznych rozmiarów, Reid. Trudno w to uwierzyć, ale chyba jeszcze wzrosło. Jak twoja nowa dziewczyna sobie z tym radzi? A może to właśnie najbardziej ci się podoba w związku z normalną dziewczyną, że wyskakuje ze skóry ze szczęścia, bo taka wielka gwiazda jak Reid Alexander raczyła zwrócić na nią uwagę.

Poczułem się nagle tak, jakby Brooke przekłuła szpilką balon z dobrym nastrojem.

– Dori nie jest taka.

– O?

– Ona nigdy nie patrzyła na mnie z podziwem i całe to zamieszanie wokół celebrytów nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Nie myśli o mnie w tych kategoriach.

Brook unosi brew.

– Skoro tak mówisz. Ale nie zdołasz uciec od tego, kim jesteś, Reid, ona również.

Brooke werbalizuje to, czego najbardziej się obawiam. Dziwna solidarność, jaka zrodziła się dzisiaj między nami, pozwoliła mi oderwać na chwilę myśli od niepewności związanej z Dori. Ale tym właśnie była – próbą oderwania się od zasadniczych problemów.

– Wyjdę na dwór, żeby do niej zadzwonić – mówię.

Ale Dori, oczywiście, nie odbiera. Rozłączam się, kiedy odzywa się poczta głosowa i wysyłam jej kolejny SMS, staram się ukryć poczucie klęski z powodu tego, że od czterdziestu ośmiu godzin, odkąd wysiadła z mojego samochodu, unika ze mną kontaktu.

Rozdział 22

Dori

Reid: Nie powiedziałaś mi, jak ci poszedł egzamin. W porządku? Masz depresję z powodu osiągnięcia dojrzałego wieku dziewiętnastu lat?

Czytam ponownie ostatni SMS od Reida i wiem, że muszę mu odpowiedzieć. On jest w Austin z matką swojego dziecka – dziecka, o którego istnieniu dowiedziałam się dopiero dwa dni temu. Przez cały niedzielny wieczór myślałam o tym, co Reid powiedział. Że nie wierzył, iż to jego dziecko. Że nie wiedział, jak mi o tym powiedzieć.

Rozumiem z tego, że w ogóle nie chciał mi o tym mówić i że powinnam być zła albo wyrozumiała, albo urażona. Odczuwam to wszystko, ale z powodu samego istnienia jego dziecka, a nie dlatego, że mi o nim nie powiedział. Kiedy otrząsnęłam się z szoku, zrozumiałam, dlaczego nie chciał mi powiedzieć.

Obawiał się, że tak właśnie zareaguję. Może nawet wiedział, że tak będzie.

Minęło już kilka godzin od ostatniego SMS-a Reida, ale kiedy odpisałam, odpowiedział natychmiast.

Ja: Przeżyłam egzamin. Dziewiętnastka to niesamowity wiek. Myślę, że powinnam się czuć starsza. Albo młodsza. Nie potrafię się zdecydować.

Reid: Dam ci znać, jak to jest z dwudziestką za trzy i pół tygodnia. Podejrzewam, że mniej więcej tak samo.

Ja: To będzie przynajmniej inna dekada. Zauważalny postęp.

Reid: To prawda.

Reid: Spotkaliśmy się z adwokatem Brooke i pracownikiem socjalnym. Spróbują maksymalnie wszystko ułatwić, żeby proces adopcyjny nie przeciągnął się w czasie z uwagi na to, że ja dołączyłem się do wniosku Brooke.

Reid: Mogę teraz do ciebie zadzwonić? Albo jutro wieczorem, po powrocie do domu?

Ja: Za kilka minut zaczynam zajęcia, a jutro mam sympozjum z gościnnym wykładowcą.

Reid: Okej. W czwartek rano jadę do Utah, bo zaczynamy od scen kręconych tam, ale wyślę ci SMS.

Kilka naszych zdjęć z wieczoru w San Francisco trafiło na portale plotkarskie. Ale minęło kilka dni, zanim ktoś mnie rozpoznał, choć dotąd zdarzają się sceptycy – bo w tej niebieskiej sukni, na wysokich obcasach i z twarzą częściowo zasłoniętą ramieniem Reida, zupełnie nie przypominam skromnej dziewczyny z Habitat. Nie wyglądam też na zwyczajną dziewczynę z LA.

Najwięksi niedowiarkowie twierdzą, że jestem jakąś mało ważną osobą

z jego ostatniego filmu, albo nową podrywką, z którą zaczął się spotykać kilka dni temu. Wieść niesie, że przeskakiwanie z łóżka do łóżka i zaliczanie wszystkich bab z obsady to stały zwyczaj Reida Alexandra. Próbowałam skłonić Kaylę i Aimee, żeby przestały mi przysyłać linki do zdjęć i artykułów, ale są zbyt podekscytowane „znajomością” z takim celebrytą jak Reid.

Wracam myślami do okresu sprzed kilku miesięcy, kiedy zaczęliśmy się spotykać w jego mieszkaniu. Do tamtego wieczora, kiedy dogryzałam mu po znalezieniu na nocnym stoliku powieści uwielbianej przez jego fanki. Przeszedł do porządku dziennego nad zgryźliwym tonem mojego głosu i wyjaśnił, że będzie grał główną rolę w tym filmie, tak spokojnie, jakby to nie było nic szczególnego. Specjalnie, a potem zapytał z tym swoim leniwym uśmiechem, czy moim zdaniem uda mu się tchnąć życie w tę postać na szerokim ekranie.

Doskonale wiedział, jak na mnie podziałają te słowa, kiedy puszcze wodze wyobraźni.

Zanim zdołałam ukryć zaskoczenie, zirytował mnie, zgadując, że należałam do „przemądrzałych” dziewczyn, które pakują się w tarapaty wyłącznie z powodu czytania po nocy. (Należałam.) Zanim wyszłam tego wieczora, pocałował mnie – i to nie raz – a ja, wbrew własnej woli, oczami duszy widziałam go jako ponurego bohatera, którego tak dobrze znałam.

Potem nastąpiły tygodnie, które określa się terminem „niefrasobliwe” – i obawiam się, że przynajmniej z mojego punktu widzenia to słowo najlepiej określa nasz związek. Reid prowadzi niefrasobliwe życie i kiedy nasze drogi zderzyły się ze sobą ubiegłego lata, straciłam równowagę. Reid nie mieści się w trajektorii mojej ciasnej, bezpiecznej orbity i nawet przy najlepszej woli nie da się tego zmienić.

Powiedział mi w niedzielę, że kiedy rozejdzie się wieść o Riverze, zaczniesz się cyrk. Nie jestem pewna, co to znaczy, nie do końca, choć mam lepsze rozeznanie niż większość ludzi. Prawda będzie oznaczała to, co na nią wygląda, a nie to, czym ona naprawdę jest. Media zaczną snuć najrozmaitsze rozważania, a fani śledzić je łączywie i dodawać jeszcze to i owo od siebie. Wszyscy będą oczekiwali, że Reid i jego piękna eks zejda się znowu, uratują swojego syna od koszmaru narkomanów i opieki społecznej i absolutnie nie będą sobie życzyli, żeby jakaś zwyczajna dziewczyna, panna nikt, ładowała się w sam środek tej historii.

Claudia wiezie Raula, Afton i mnie do pizzerii Zachary’ego na burzę mózgow w sprawie wspólnego projektu naszej grupy. Afton i ja nie mamy samochodu, a malutki, źle utrzymany fiat Raula ma tylko dwa siedzenia i wiecznie jakieś fanaberie. Kłócili się na ten temat z Claudią przez całą drogę i jeszcze nie skończyli.

– Ty nigdy nie jedziesz swoim, nawet ten jeden raz, kiedy byliśmy tylko we dwoje.

Raul unosi brwi aż do linii czarnych, sterczących włosów i spokojnie przegląda menu.

– Wolę korzystać z podwózki jakiegoś palanta albo jeździć kolejką i mieć jakieś życie towarzyskie, niż kupować benzynę do mojej małej śmiertelnej pułapki.

– Właśnie, palanta – mamrocze Claudia.

– Wiesz przecież, że pizzę można zamówić? Nie musieliśmy się fatygować osobiście – ripostuje Raul.

– Nie od Zachary’ego. A z innych źródeł zupełnie nie jest taka sama...

– *Vraiment!* – Przerywa Afton po francusku, choć sądząc po minach obojga, żadne z nich nie zna tego języka. – To najlepsza pizzeria. I przestańcie wreszcie się kłócić, wy dwoje. Boże. – Kończy swój surowy, matczyzny edykt nadaną minką, która niszczy cały efekt.

– To nie kłótnia, to sparring – protestuje Raul, machając w jej stronę menu. – Zwyczajny sparring. Jak ci się nie podoba, możesz się odwrócić. – I macha wolną ręką, żeby dała spokój.

Afton przewraca oczami.

– Głosuję na cienką chrupiącą ze szpinakiem i grzybami.

– Nie ma mowy. – Raul jest wstrząśnięty. – Jestem facetem. Potrzebuję mięcha i grubego ciasta.

– Jako rzeczce pan i władca – mamrocze Claudia.

Raul szykuje się, żeby odpowiedzieć jej z ogniem, a ja dostrzegam nagle jedną z dziewczyn z mojego akademika, która widziała mnie z Reidem w windzie – jedną z tych, do których spontanicznie mrugnął. Siedzi przy sąsiednim stoliku z kilkoma koleżankami, wszystkie pochylają głowy ku sobie i gapią się – na mnie.

– Och – mówi Claudia po cichu. – Wydaje mi się, że zostałam zdemaskowana.

– Jaka znowu zdemaskowana? Co się dzieje? – Afton szeroko otwiera oczy, a jej sceniczny szept jest słyszalny w odległości paru stolików.

– Dlaczego. My. Właściwie. Szepczemy? – dopytuje się Raul, równie donośnie.

– Czy możemy pójść gdzie indziej? – pytam i wszyscy troje patrzą na mnie tak, jakbym postradała zmysły. Całe stado ludzi czeka na wolny stolik, a nam udało się go znaleźć.

Pojawia się kelner, jakby przywołanym głośnym burczeniem w brzuchu Raula.

– Co dzisiaj podać?

Raul i Afton składają zamówienie, a Claudia przesuwając krzesło, żeby zasłonić mnie przed wzrokiem najwyżej dwóch z sześciu osób siedzących przy

sąsiednim stoliku.

– Po prostu je ignoruj.

Ignorować je. Racja. Przesuwam sztucce, aż nazbyt świadoma, że dziewczyny powyciągały swoje komórki i pstrykają zdjęcia. Mnie. Kiedy Reid prowadził mnie w sobotę do sali restauracyjnej, obejmując ramieniem moją talię, flesze paparazzi były inne. Fotografowali jego, a ja mu jedynie towarzyszyłam.

Tutaj jestem sama, zamawiam z przyjaciółmi pizzę na obiad i prowadzę życie zwyczajnej dziewczyny.

Jeśli nie liczyć tego fotografowania mnie przez nieznajomych.

– Dlaczego to stadko panieneczek z bractwa robi ci zdjęcia? – pyta Raul po odejściu kelnera.

– Nie nazywaj ich tak – prycha Claudia. – Ty seksisto...

– A widziałaś, jak wparowały rzędem do mojego pokoju w akademiku? Nie. Nie widziałaś. – Jeśli wierzyć Raulowi, jeden z jego współlokatorów to totalny dziwkarz, obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami do lokalizowania i zwabiania do siebie wszelkich chętnych dziewczyn z kampusu. – Teraz już nic nie jest w stanie wyrwać mnie ze snu. Boleję tylko nad swą utraconą niewinnością.

Claudia parska śmiechem.

– Och, proszę. Jeśli ty jesteś niewinny, to ja jestem Dalaj Lamą.

– Moje uznanie – odpala Raul.

– Przepraszam. – O, nie! Dziewczyna z windy. Trzyma w ręce czasopismo otwarte na stronie ze zdjęciami celebrytów w najrozmaitszych miejscach – na pokazie mody, przy sklepowej ladzie, nad basenem. A na samym środku Reid w szarym garniturze i niebieskim krawacie oraz ja, przesłonięta do połowy jego ciałem, w niebieskiej sukni. – To ty, prawda? A kiedy widziałyśmy was z Genewą w windzie, to był on, prawda? To znaczy, ja potrafię zrozumieć, dlaczego chcieliście zachować to w tajemnicy, ale daj spokój.

Krzyżuję palce pod stolikiem.

– Jesteśmy przyjaciółmi. – Nawet nie wiem, dlaczego kłamię. Ja nienawidzę kłamać.

Dziewczyna unosi brew.

– To co on robi z Brooke Cameron? I dlaczego, jak zapytałyśmy, powiedziałaś, że facet, z którym cię widziałyśmy, to twój chłopak.

Niech diabli porwą jej dobrą pamięć.

– On nie chciał zostać rozpoznany.

– Bo nie chciał, żeby Brooke się dowiedziała, że spędza nocę z tobą?

Szczęka mi opada. Na szczęście wtrąca się Claudia.

– Słuchaj no ty. My próbujemy odbyć tutaj sesję naukową. Powiedziała ci, że są przyjaciółmi i nie będzie komentowała tej, jak-jej-tam. I powiedz koleżankom, żeby nie fotografowały obcych ludzi, bo to niegrzeczne. Pa, pa. Spływaj.

Dziewczyna odwraca się na pięcie, pędzi z powrotem do swojego stolika i cała szóstka zaczyna konferować.

– No to klops – mówię.

W środę wieczorem pojawia się niewyraźne zdjęcie Reida i Brooke Cameron zrobione we wtorek rano przed budynkiem sądu z centrum Austin. Wtedy spekulacje ruszają na całego. Zdjęcia z lotniska i z samolotu – na których każde z nich coś czyta, nie rozmawiają ze sobą i nie dotykają się – zostają uznane za sprzeczkę kochanków.

Jedna z teorii głosi, że przyczyną tej sprzeczki musiała być dziewczyna z San Francisco. Zdenerwowana Brooke wróciła do domu w Teksasie, a Reid pojechał za nią. Ale co robili w sądzie?

Każdy ma na ten temat własną opinię, ale żadnego z nich dwojga nie udało się dopaść i poprosić o komentarz.

Reid: Dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony i SMS-y?

Reid

Za każdym razem, kiedy dostaję SMS, liczę, że to od Dori, ale nie.

Dziś rano mama przysłała mi zdjęcia mojego dawnego pokoju po remoncie. Oboje z tatą umówili się na sprawdzenie warunków domowych i wszyscy wypełniliśmy kwestionariusze, rzeczywiście tak wścibskie, jak ostrzegęła Brooke. Mama jakimś cudem jest uszczęśliwiona z powodu Rivera, co mnie dosłownie rozwalilo, ale najwyraźniej nie zaskoczyło taty, który, jak twierdzi, spodziewał się po niej jednej z dwóch reakcji.

Kiedy jej powiedział, najpierw się rozplakała, a potem zadzwoniła do mnie i oświadczyła, że jest ze mnie dumna.

Powiedziała mi to przedtem tylko raz – w dniu, w którym stłukłem w szkole pewnego chłopaka, bo na oczach wszystkich obecnych na boisku podniósł spódniczkę jakiejś dziewczynce i uważał to za zabawne... dopóki nie rozciąłem mu wargi. Dla nas obu skończyło się to tylko zawieszeniem, choć w naszej ekskluzywnej prywatnej szkole obowiązywała zasada: zero tolerancji dla przemocy. Zabawne, jak łatwo zero tolerancji zmienia się w: tym razem możecie jeszcze liczyć na tolerancję – kiedy wpływowi rodzice rzucają pieniądze na stół.

To było dziesięć lat temu.

Właśnie dostałem wiadomość od Emmy, z którą rozmawiałem tylko dwa razy od zakończenia festiwalu filmowego w Vancouver minionej jesieni; SMS od niej jest sporym zaskoczeniem.

Emma: Tata uprzedził mnie telefonicznie, że będę miała rozmowę z pracownikiem socjalnym z Teksasu, zakładałam, że chodzi o Brooke, a tymczasem chodziło o CIEBIE!?

Ja: Wow, ale szybko.

Emma: ???

Ja: Oboje występujemy o sprawowanie opieki nad dzieckiem.

Emma: Zaraz! Chyba mam halucynacje. Czytałam, że chodziliście ze sobą, ale sądziłam, że to nieprawda. Ale TY i BROOKE – wspólna opieka? Możesz rozmawiać?

Ja: Jasne, mam kilka minut.

– Widzę, że czytujesz portale plotkarskie – mówię zamiast „halo”, łapię butelkę wody z bufetu w przyczepie obsługi planu i odchodzę na pewną odległość od aktualnie kręconej sceny. Jestem już w pełnym kostiumie i charakteryzacji – wliczając w to dwa realistycznie wyglądające noże, jeden w pochwie przy pasie, a drugi w bucie, ale mam jeszcze piętnaście czy dwadzieścia minut, zanim zostanę wezwany na plan.

– Reid, przecież wiesz, że nie wolno mi do nich zaglądać. Emily je czyta. Ja dostaję linki albo streszczenia najświeższych wiadomości, tych najważniejszych, o których trzeba wiedzieć.

– Nadal? Domyślam się, że ona stara się chronić cię przed rzeszami wielbicielk Grahama, co? – Emma wydaje ponury pomruk i nie mogę się nie roześmiać. – Cóż, możesz poinformować Emily, że pogłoski o odnowieniu mojego dawnego związku z Brooke są bezzasadne. Jestem z Dori. Choć ona ze mną nie rozmawia.

– A ta wspólna opieka nad dzieckiem, o której wspomniałeś tak mimochodem?

– Tak, w tym rzecz. To jeszcze nie jest powszechnie wiadome – ale będzie. Wkrótce.

Emma wzdycha.

– Reid, wiesz, że kiedy to wyjdzie na jaw, wzmocnią się oczekiwania, że ty i Brooke będziecie razem, media rzucą się na to jak hieny. Nie znam twojej dziewczyny, ale ja na jej miejscu byłabym naprawdę zaniepokojona. Powinieneś z nią pogadać.

– Wiem, ale ona nie odbiera moich telefonów i SMS-ów. Jej rodzice mnie nienawidzą. Właściwie nie znam żadnych jej przyjaciół. Zamierzam zrobić w sobotę krótki wypad do Berkeley, ale na razie jestem uziemiony w jakimś pieprzonym kanionie w pieprzonym Utah. – Prycham z frustracją i w ostatniej chwili powstrzymuję się przed przeczesaniem ręką perfekcyjnie ufryzowanych włosów. – Ale dlaczego ja ci o tym wszystkim mówię?

– Bo jestem wścibska?

Parskam śmiechem, ale zaraz wzdycham ciężko.

– Wiem, że w porównaniu z Dori nie jestem normalną dziewczyną – szczególnie że zamierzam zawiesić karierę filmową, żeby brać udział w przesłuchaniach na Broadwayu. Ale znam to uczucie, kiedy na moich oczach tysiące dziewczyn ślinią się do mojego chłopaka gwiazdora filmowego i pojawiają się coraz to nowe pogłoski o jego romansie z tą czy inną babą. Czasami to trudne do zniesienia, nawet kiedy mam pewność, że to kompletne bzdury. A przecież ufam Grahamowi, jak nigdy nikomu innemu.

Jej słowa trafiają we mnie jak cios.

– Myślisz, że Dori mi nie ufa?

– Tego nie powiedziałam. Ale może czuje się niepewnie? Nikt nie lubi się do tego przyznawać. Niepewność sprawia, że człowiek wydaje się sobie słaby, bezsilny, a wtedy nie ma mowy o zdrowym związku. Wiem coś o tym. Nigdy nie byłam taka nieszczęśliwa.

– Ale to nie jest typ niepewnej dziewczyny. Wręcz przeciwnie. Raczej nie ma do mnie zaufania. Dlaczego miałyby mi ufać? Pokpiłem sprawę, nie mówiąc jej o Riverze. Tak jak nie powiedziałem o nim tobie.

Emma wzdycha.

– Pamiętasz, mówiłam ci już przedtem, że to, co było między tobą a Brooke, zanim mnie poznałeś, to nie moja sprawa. Przeszłabym nad tym do porządku dziennego, gdyby nie... no, wiesz, ta parada dziewczyn później.

Zamykam oczy.

– Och, Emmo...

– Nieważne. Było, minęło. Liczy się to, co teraz. Graham i ja rozmawiamy ze sobą o przeszłości, o ważnych wydarzeniach w naszym życiu. Ale tylko takich, które mają wpływ na nasz związek. Żadne z nas nie musi wiedzieć o wszystkim ani spowiadać się ze wszystkiego, co miało miejsce przed naszym spotkaniem. W chwili, kiedy postanowiłeś zająć się Riverem, powinieneś jej o tym powiedzieć. I chyba to właśnie zrobiłeś. W końcu. Teraz ona musi to przepracować we własnej głowie. Może potrzebuje czasu. A może nie chce w tak młodym wieku wziąć na siebie roli macochy. W takim przypadku będziesz musiał dokonać wyboru między nią a Riverem.

Poczułem się tak, jakby zwała mi na łeb tonę cegieł, ledwo mogę oddychać. Bo to, co powiedziała, to prawda. Pieprzona prawda. Emma dobrze wie, co oznacza taki wybór – trzeba w pełnym rozkwicie miłości zaakceptować dziecko, które nie jest twoje i które przypomina ci nieustannie o poprzedniej kochance człowieka, z którym budujesz cudowny związek. Do licha, w pierwszej chwili gotów byłem wycofać się i zostawić dziecko – którego w ogóle nie znam – jeśli to pozwoliłoby mi zatrzymać Dori.

Ale jakim człowiekiem bym się przez to stał?

Agent woła, że za dziesięć minut wchodzę na plan. Podnoszę rękę i kiwam głową. Cholera. Jak mam zagrać scenę walki, skoro czuję się wdeptany w ziemię? Potrzebuję każdej sekundy z tych dziesięciu minut, żeby z powrotem włożyć maskę na twarz.

– Muszę lecieć. Dziękuję, Emmo.

– Przepraszam, Reid. Wiem, że nie poprawiłam ci nastroju...

– Nie. – Śmieję się cicho. – Ale powiedziałaś mi to, co powinienem usłyszeć.

Postaram się spotkać z wami, kiedy będziemy mieli zdjęcia w Nowym Jorku.

Brooke: ZADZWOŃ, JAK TYLKO DOSTANIESZ TĘ WIADOMOŚĆ!

Ja: Gram. Nie mogę gadać. CO?!

Brooke: Mamy wizytację przedadopcyjną. Możliwe, że dostaniemy go wcześniej. Matka z rodziny zastępczej ma jakieś kłopoty ze zdrowiem, prawdopodobnie czeka ją operacja i nie chcą przenosić go do nowej rodziny zastępczej i wkrótce potem do nas.

Ja: Cholera. KIEDY?

Brooke: W sobotę. Możesz być? Muszą zobaczyć nas oboje w interakcji z nim. Robisz internetowy kurs rodzicielski?

Ja: Tak i tak. Coś wymyślę. Zadzwonię później.

Ja: W sobotę rano mamy wizytę u Rivera, więc w ten weekend nie będę w stanie przyjechać do Berkeley – latam w tę i z powrotem w piątek i sobotę. Tak mi przykro.

Ja: Dori, ODPOWIEDZ. Proszę.

Dori: Okej. Zresztą w sobotę pracujemy z Shaymą w darmowej pralni dla bezdomnych. Zamierzałam wysłać ci wiadomość.

Ja: Czyżby?

Ja: Czy odbierzesz, jeśli zadzwonię dziś wieczorem?

Ja: Tęsknię za tobą.

Dori: Ja też tęsknię.

– Halo.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo spodziewałem się usłyszeć sygnał poczty głosowej, dopóki nie odezwał się jej głos.

– Cześć, odebrałaś. – Zaraz za ulgą czai się gniew. Tego również się nie spodziewałem, więc zaczynam terapeutyczne odliczanie w nadziei, że pozbędę się złości. Ale to i tak nie działa – irytacja narasta we mnie w tym samym tempie, w jakim się jej pozbywam, jak przeciekająca łódź wiosłowa w deszczowy dzień, kiedy do wylewania wody nie ma się nic innego poza puszką.

– Przepraszam, ale byłam bardzo zajęta – mówi Dori, a ja zaciskam zęby, żeby powstrzymać słowa cisnące mi się na usta.

Oddycham przez nos i liczę. Jeden. Dwa. Trzy. Liczę, dopóki nie mogę sobie zaufać na tyle, żeby się odezwać.

– Możemy porozmawiać? Proszę. Nadal jesteś zdenerwowana?

– Nie jestem zdenerwowana, Reid. Po prostu sędzę, że nie powinniśmy rzucać się w coś...

– Co masz na myśli, mówiąc: „rzucać się w coś”? To coś to my? Czy chodzi o Rivera, Dori?

– Nie. Możliwe. Nie chodzi konkretnie o niego. Ciągłe jesteś w rozjazdach, w sprawie filmu, Rivera, Brooke...

– Dori, te tabloidowe historie o mnie i Brooke to tylko głupie spekulacje i domysły, pamiętasz chyba te wszystkie sfabrykowane informacje, kiedy napadłaś na mnie ubiegłego lata – że mamy sekretny romans...

– My naprawdę mieliśmy sekretny romans...

– Ale nie wtedy.

– To ma być argument?

– Tak. Nie twierdzę, że ich domysły nie okazują się czasem słuszne. Ale czy naprawdę muszę szukać argumentów?

Nie odpowiada. Cisza staje się ciężka, przygniatająca. Chciałbym móc dotrzeć do Dori przez telefon i przyciągnąć do siebie.

– Dori?

– Nie musisz się tłumaczyć, Reid. Masz rację. Chcę tylko, żebyś był wolny i mógł zrobić to, co powinieneś zrobić...

– A nie jestem? Nie jestem wolny i nie mogę zrobić tego, co powinienem?

Cisza, znowu. Przypieram ją do ściany, to właśnie robię. Ale jeśli Dori przestanie się przez to do mnie odzywać, to co mi z tego przyjdzie, że mam rację? Więc wycofuję się na dobrze znany teren. Tak mnie nauczono wychodzić z konfliktów. To proste, naprawdę. Jeżeli coraz trudniej ci się porozumieć w jakiejś sprawie, przestań o niej mówić.

– Za trzy tygodnie zaczyna się przerwa międzysemestralna, prawda? Do tego czasu ja skończę zdjęcia w Utah. Czeka mnie jeszcze kilka długich dni zdjęciowych w Universal, ale przynajmniej oboje będziemy w LA. Możemy spędzać z sobą każdą wolną chwilę. I wszystko będzie dobrze. Obiecuję. – I bez zastanowienia pytam: – Ufasz mi? – Jakby w tym pytaniu nie zawierało się to co najważniejsze i jakbym nie krążył wokół tego przez cały czas, choć nie do końca świadomie.

– Robisz to, co należy, Reid, i jestem z ciebie dumna. – Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni słyszę to stwierdzenie, ale tym razem wyczuwam, że to preludium do czegoś niepożądanego. – Przerwa wiosenna zaczyna się za trzy

tygodnie, owszem.

Wszystko idzie nie tak. Kadencja jej głosu jest niewłaściwa – płaska, sztywna, ale nie mam pojęcia, co na to poradzić. W dodatku nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Zadzwoń do ciebie po spotkaniu z nim?

Przez kilka sekund wydaje mi się, że nie doczekam się odpowiedzi. Może już się rozłączyła. Ale potem odzywa się.

– Jasne. Doskonale.

Rozdział 23

Brooke

Przed chwilą skończyłam rozmowę telefoniczną z Janelle, która mnie błagała, po raz milionowy, za każdym razem zaklinając mnie na wszystkie świętości, żebym nie rezygnowała z *Papierowych oceanów*. Odebrała wstępny telefon od producenta i umiera ze strachu, że powiem „nie”. Tłumaczenie moich motywów nie przynosi pożądanego skutku.

– Koniec z rozmowami na ten temat, dopóki nie będziesz miała oferty na stole – mówię, okropnie rozdrażniona. To, czego nie dopowiedziałam, ona usłyszała i tak: „A wtedy ją odrzucę”.

Telefon dzwoni ponownie, podejrzewam, że Janelle chce mnie uraczyć kolejnymi deklaracjami na temat Rozlicznych Sposobów Zniszczenia Przeze Mnie Własnej Kariery, ale na wyświetlaczu pojawia się nieznany mi numer rozpoczynający się od 512. Miejscowy.

Drżącą ręką wciskam „rozmowę” i staram się nadać głosowi spokojne brzmienie.

– Słucham, Brooke.

– Halo, panno Cameron, mówi Wendy Long. Jestem matką zastępczą Rivera.

Zaciskam pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk i siłę się na zachowanie fałszywej pewności siebie. Wiem, że ta kobieta zgłaszała zastrzeżenia do opieki społecznej, kuratora i sędziego, opowiadała się przeciwko adoptowaniu Rivera przeze mnie, choć nie wiem, co konkretnie miała mi do zarzucenia. Norman przypomina mi nieustannie, że ta kobieta dba tylko o jego interesy, ale ja czuję się osobiście dotknięta.

Robię wszystko co w mojej mocy, żeby zamaskować to uczucie.

– Tak, Wendy, dobry wieczór. – Cholera. Odruchowo zwróciłam się do niej po imieniu, co zwykle robię, żeby wyrównać szanse przed konfrontacją z przeciwnikiem. Cudownie. Wałę się w czoło tą zaciśniętą pięścią. – Proszę, mów mi Brooke.

– Oczywiście, Brooke. – Mocno przeciąga głoski i miękko wymawia końcówki wyrazów, łączy je ze sobą, jej akcent jest lustrzanym odbiciem dialektu mojej matki. Mój mózg krzyczy: „wieśniaczka”, a ja staram się wyzwolić od osobistych uprzedzeń. – Myślę, że powinniśmy porozmawiać o Riverze przed jutrzejszą wizytą. Czy pan Alexander będzie ci towarzyszył? Możesz teraz rozmawiać?

– Tak. Reid ma być w Austin dziś wieczorem, rano podjadę po niego po drodze.

– Hm. Dobrze. No, a jeśli chodzi o Rivera, jest parę spraw, o których powinnaś wiedzieć przed jutrzejszym spotkaniem.

– Okay.

– Po pierwsze i najważniejsze: on nie mówi.

Wszystkiego, co wiem o dzieciach, dowiedziałam się w ostatnich tygodniach. Może nie wiem zbyt wiele, orientuję się jednak, że większość czterolatków biegle posługuje się językiem i może zagadać człowieka na śmierć. Kathryn twierdzi, że cztery lata to etap pytań „Dlaczego?”.

– Kylie była milczącą obserwatorką, co dość dziwne – opowiadała Kathryn.

– Ale za to Kelley pytała „dlaczego” milion razy dziennie. O, Boże, pamiętam! „Dlaczego jabłka mają tyle różnych kolorów?” „Dlaczego pies to je?” „Dlaczego zęby wypadają?” „Dlaczego nie mogę skakać z dachu do basenu?” Kiedy wreszcie poszła spać, dom wydawał się nienaturalnie cichy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam Wendy.

– To znaczy, że nie wypowiada słów. Nie komunikuje się za pomocą mowy.

– Kompletnie? Nigdy?

– Kompletnie. Nigdy – potwierdza.

– Czy jest upośledzony umysłowo? Wskutek tego, co go spotkało? – Przygryzam wargę i czuję smak krwi, w duchu przeklinam jego matkę adopcyjną. Znowu.

– Nie sędzę. Doskonale rozumie, co się do niego mówi. I kiwa albo potrząsa głową, więc można od niego uzyskać podstawowe odpowiedzi: „tak” i „nie”. Ponadto, co godne odnotowania, kilkakrotnie słyszałam, jak przez sen wypowiadał słowa i krótkie zdania, zwykle w czasie koszmarów sennych. A więc potrafi mówić. Po prostu nie robi tego. Możliwe, że nie zdaje sobie sprawy z tego, że potrafi.

Marszczę brwi.

– Co zrobiono w tej sprawie?

– Co tydzień spotyka się z terapeutą, a co miesiąc z opiekunką społeczną.

– Jaki pożytek z tej... z tego terapeuty, skoro on nadal nie może, czy nie chce mówić?

– Terapeuta namawia Rivera, żeby rysował to, co czuje. Jest w tym naprawdę dobry. To bystry mały artysta. – Słyszę w jej słowach autentyczne uczucie, które o mało mnie nie rozbraja. – Po prostu ma za sobą ciężki okres.

– Tak. To prawda. I zamierzam zamknąć ten ciężki okres jego życia, pani Long. Obiecuję to pani.

– Proszę mi mówić Wendy. Chciałabym w to wierzyć, panno... ee, Brooke. Ale te historie w tabloidach, o tobie i panu Alexandrze... Cóż, jestem zaniepokojona. Z pewnością to rozdmuchiwane historie, żeby gazety się lepiej sprzedawały. W zeszłym tygodniu przeczytałam w jednym z takich pisemek, że

kobieta urodziła trzydziestofuntowe dziecko, a zapewniam cię, że to kompletnie niemożliwe.

– Cóż...

– Nie zrozum mnie źle... oboje jesteście młodzi i przystojni, i nie zamierzam osądzać waszego trybu życia, jakikolwiek on jest. Nie mam zresztą prawa się o tym wypowiadać, z wyjątkiem kwestii związanych z Riverem. Zrozum, on nie jest... – Głośno przetyka ślinę. – On nie jest bibelocikiem czy zwierzątkiem domowym. Został skrzywdzony i nie ulecą go najpiękniejsze ubrania na świecie ani nowe zabawki. Przypomina mały kwiatusek, pączek, który nie rozchyła płatków, i nie potrafię powiedzieć, czy kiedykolwiek to zrobi – jeśli mam być szczerą.

Łzy płyną mi strumieniami po twarzy i dławią w gardle.

– Jestem ci wdzięczna za szczerść, Wendy. A teraz pozwól, że odpłacę ci tym samym. – Mój głos brzmi szczerze, nawet błagalnie, to obcy dla mnie wysiłek, ale muszę przekonać do siebie tę kobietę, musi mi uwierzyć. – Nie wiem, jak należy wychowywać dzieci, wiem tylko, jak ich nie wychowywać. Wiem, że dziecko potrzebuje domu. Potrzebuje miłości. I zamierzam mu to dać. – Biorę drżący oddech. – Jeżeli on nie chce mówić, to będę musiała po prostu doprowadzić do perfekcji sztukę interpretacji obrazu. Może rysować na ścianach, jeśli tego potrzebuje.

Reid wskakuje na siedzenie pasażera w przestronnej szoferce pickupa Glenna. Ma ciemne okulary, czapkę bejsbolową uniwersytetu Cal, rozpiętą koszulę narzuconą na biały podkoszulek, dzinsy i tenisówki. Wygląda jak elegancki student college'u, a nie hollywoodzki symbol seksu.

– Brooke Cameron, jednego dnia w kowbojskich butach, a następnego za kierownicą fordka 250. Nie przestajesz mnie zadziwiać. Co będzie następane? Kapelusz kowbojski?

Pokazuję mu środkowy palec, ale on tylko unosi brew i uśmiecha się złośliwie.

– Auuu, spokojnie, tylko żartuję – mówi przesadnie rozciągając głoski. – Nie ma powodu do złości.

Przewracam oczami ukrytymi również za ciemnymi okularami, czekam, żeby zapiął pasy i włączam się do ruchu.

– Mam powody do złości, Reidzie Alexandrze. – Jakbym wskakiwała w stare, wygodne buty, wracam do teksańskiego akcentu, który on podobno tak lubi. – Zamknij te swoje prześliczne usteczka, jeśli nie chcesz pokazać się synowi ze spuchniętą wargą.

Na szczęście Reid powstrzymuje się od dalszych złośliwych komentarzy, uśmiecha się tylko tymi podniecającymi ustami i potrząsa głową.

– Denerwujesz się? – Potem ścisza staje radiową nadającą rocka i pyta, kiedy wyjeżdżamy z centrum miasta i kierujemy się I-35 na wschód.

Wzdycham.

– Tak, do diabła. A ty?

– Nigdy w życiu nie byłem taki spanikowany przed żadnym spotkaniem.

– Dobrze powiedziane – mówię i kiwam głową.

– Jak długo potrwa ta wizyta?

– Wendy mówi, że około godziny. Chyba że River wyraźnie będzie miał dosyć, wtedy lepiej wyjechać wcześniej. Nie chcemy, żeby czuł się nieswojo.

Opowiadam Reidowi o tym, czego dowiedziałam się wczoraj od Wendy, o tym, że River jest niemy, że miewa nocne koszmary i dodaję kilka szczegółów o jego rodzicach adopcyjnych.

– Cholera – mruczy Reid i przez kilka minut wpatruje się w boczną szybę.

Dwa lata temu adopcyjny ojciec Rivera zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Niejasno przypominam go sobie z informacji o potencjalnych rodzicach adopcyjnych, jakie przeglądałyśmy z Kathryn tamtego lata. Przystojny blondyn po trzydziestce. Dobrze sytuowany. Najlepiej zapamiętałam zdanie, które napisał na końcu oświadczenia przyszłych rodziców adopcyjnych: „Mam nadzieję być równie wspaniałym, kochającym ojcem dla swojego dziecka, jakim mój ojciec był dla mnie”. To zdanie przeważało szalę i skłoniło mnie do wyboru właśnie tej spośród wielu par.

Ojciec jednak zmarł, a siedemdziesięcioletnia matka mieszkała w domu starców. Żadnej szansy na to, by dziadkowie zapewnili dom wnukowi.

Natomiast matka adopcyjna Rivera odsunęła się od swoich rodziców już wiele lat temu i dziadkowie z jej strony nie mieli najmniejszej ochoty zająć się Riverem, którego nigdy nie uznali za swojego wnuka. Wkrótce po śmierci męża wpadła w nałóg i nie chciała, czy nie mogła iść na odwyk, nawet jeśli to oznaczało utratę dziecka – małego chłopca, który poza nią nie miał nikogo na świecie.

Z wyjątkiem mnie.

– Jak mamy rozmawiać z dzieckiem, które nie mówi? – pyta w końcu Reid, wszelkie oznaki poprzedniej swobody zniknęły bez śladu.

– On rozumie, co my mówimy. Wzięłam ze sobą *Księgę Życia*, leży na siedzeniu za tobą.

Reid odwraca się i sięga po album, który zaczęliśmy robić, kiedy był tu na początku tygodnia. Przerzuca stronicę, a ja wypatruję zjazdu.

– Jest wspaniały, Brooke – mruczy Reid.

– Kiedy miałam mniej więcej sześć lat, Kathryn zrobiła mi taki album. Zazdrościłam Kylie i Kelley ich książeczek ze zdjęciami i opisami pierwszych lat życia.

– A mama nie zrobiła ci albumu? – pyta Reid, a ja patrzę na niego

wymownie: Doprawdy? – To chyba żadna niespodzianka.

Sharla robiąca album? Wykluczone.

– Kathryn prosiła, żebym przywiozła trochę swoich zdjęć, kiedy przyjadę do niej następnym razem. Przez kilka tygodni skrzętnie chowałam do kieszeni wszystkie swoje zdjęcia, jakie tylko znalazłam w szufladach czy pudłach. Nie było ich wiele, choć jestem jedynaczką. Kathryn kupiła na jakichś targach rzemiosła ręcznie robiony brulion, na wierzchu przykleiła błyszczące, różowe litery głoszące: „Księga Brooke” i skomponowała opowieść o mnie.

Nie myślałam o tym od lat. Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam.

– Nadal masz tę księgę? Moja mama jest całkowicie pozbawiona zdolności manualnych, ale przechowuje wiele albumów z moimi zdjęciami z dzieciństwa. Do dziesiątego roku życia przynajmniej.

Przygryzam wargę tak mocno, że aż drętwieje.

– Nie, nie mam. Popełniłam błąd i zabrałam ten brulion do domu. Sharla go znalazła. Wpadła w furję. Powyrywała wszystkie stronicę i podarła zdjęcia.

– Cholera jasna, Brooke. – Spogląda na mnie. – Co za pieprznietta baba!

– Tak. Wspaniały wzorzec matki, prawda?

Dłoń Reida zaciska się w pięść na konsoli pomiędzy nami.

– Twoim wzorcem matki jest Kathryn, a nie Sharla. Wiesz o tym, prawda?

Wiedziałam, w głębi duszy. Choć nigdy sobie tego tak jasno nie uświadomiłam.

– Tak. Masz rację.

Skręcam w uliczkę parterowych domków, jednakowych, malutkich, z dużymi podwórkami od frontu, podjazdami z prawej strony i płotami przeciw cyklonom. Kilka orzeszników pekanowatych i langestremii indyjskich przerywa monotonię płaskiego krajobrazu, zapewne były tu pola uprawne, zanim zbudowano osiedle, więc nie ma tu starych dębów, jakie otaczają dom Kathryn i Glenna.

– To tutaj – szepczę na widok numeru widniejącego na skrzynce pocztowej, otoczonego ręcznie malowanym wianuszkiem z serduszek. Serce bije mi tak mocno, że każde uderzenie odbieram jak cios, wymierzony w moją klatkę piersiową od wewnątrz przez kogoś, kto próbuje się z niej wydostać. Ręce mam zimne, choć w ten piękny, późnozimowy dzień temperatura w Austin jest najwyższej o dwa stopnie niższa niż w LA.

Idąc długim zniszczonym chodnikiem, przenoszę wzrok z kredowych rysunków i napisów zdobiących beton na cichy, mały domek, który znam ze zdjęcia, przyniesionego przez Bethany Shank niespełna dwa miesiące temu. Reid, który podąża za mną w milczeniu, bierze mnie za rękę i razem stajemy przed drzwiami. Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, ja zdejmuję swoje i przez moment spoglądamy na siebie. Nigdy nie wyglądał równie stanowczo.

– Wchodzimy – mówi i wciska dzwonek. Kiedy w głębi domu rozlegają się

sygnały, moje serce zaczyna bić jeszcze szybciej. Reid ściska moją dłoń. – Będzie dobrze, Brooke. Damy radę.

Nie pozwalam mu się odsunąć.

A wtedy otwierają się drzwi i staje w nich kobieta w średnim wieku, którą rozpoznaję z jedyne go zdjęcia Rivera. Uśmiecha się do nas. Jej orzechowe oczy są czyste i dobre.

– Brooke i Reid, jak mniemam? – mówi, a my oboje kiwamy głowami. Kobieta delikatnie wysuwa zza pleców rękę, do której uczepiony jest mały chłopiec. Powoli wyłania się zza jej lewego biodra. Widzę tylko ogromne ciemnoniebieskie oczy, niewiarygodnie wielkie w drobnej buzi. – A to jest River.

Dori

Shayma trąciła mnie dzisiaj łokciem co najmniej dziesięć razy – kiedy nie uważałam, a ktoś zadawał mi pytanie w sprawie obsługi pralek i suszarek, dopuszczalnej ilości sztuk odzieży na osobę albo lokalizacji najbliższej łaźni publicznej.

– Dziewczyno, gdzie ty masz głowę? – pyta Shayma, kiedy znowu odpływam gdzieś daleko.

Moja współlokatorka należy do nielicznych osób, które orientują się w rodzaju stosunków łączących mnie z Reidem, ale nie jestem zwolenniczką udzielania wyczerpujących informacji o sobie komukolwiek, nawet bliskim przyjacielom. Kocham Kaylę i Aimee, ale mam całkowitą pewność, że rozpowiedziały na prawo i lewo, iż przyjaźnią się z dziewczyną Reida Alexandra. Shayma wie, że ze sobą chodzimy i że spotkaliśmy się, kiedy nadzorowałam go (a raczej próbowałam go nadzorować) podczas programu Habitat. Wie również, że nie chcę upubliczniać naszego związku, więc i ona tego nie robi – co stawia ją w szeregu moich wypróbowanych przyjaciół.

Od czasu do czasu zaskakuje mnie niepoważnymi pytaniami w rodzaju: „Czy Reid Alexander dobrze całuje?” albo: „Założę się, że Reid Alexander jest rewelacyjny w łóżku, prawda?” Cieszę się, że nie zauważyła jeszcze moich zdradliwych, różowiejących uszu. Czuję się wystarczająco zażenowana, gdy wbija we mnie wymowne spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Jak sobie radzisz z tym, że twój chłopak występuje w scenach erotycznych? – pyta teraz swoim z natury dyskretnym (dzięki Bogu) głosem, wręczywszy stertę żetonów do pralki i suszarki typowi, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie prał swoich rzeczy od wielu miesięcy. Ich zapach sprawia, że oczy zaczynają mi łzawić, zanim bezdomny odejdzie, szurając nogami, do najbliższej maszyny z naręczem łachmanów do prania i niewielkim pudełkiem

detergentu z darów, które mu przed chwilą wręczyłam. Podejrzewam, że będzie potrzebował więcej niż jednego pudełka.

– I z plotkami o jego eks-dziewczynach czy nie-dziewczynach. Już to samo doprowadziłoby mnie do szału. Moja babcia – samozwańcza wieszczka? – jest praktykującą Cajun Voodoo Queen. Z przyjemnością zrobiłaby dla ciebie jakiś mały *gris-gris*.

Przy słowie „voodoo” unoszę brew.

– Aż się boję zapytać, co to jest *gris-gris*?

– To amulet ochronny. Czasami na szczęście, ale częściej dla ochrony przed złem. Na przykład z kategorii: eks-dziewczyn. Domyślam się, że nie chciałabyś stosować nadal praktykowanych, choć etycznie dyskusyjnych praktyk voodoo, mających zapewnić wierność mężczyzny.

– Teraz naprawdę boję się pytać.

Shayma pochyła się bliżej i wyjaśnia szeptem.

– Dodajesz kroplę swojej krwi do jego kawy.

– Uch! – Zerkam z niepokojem na trzymany w ręce kubek latte.

– Prawda? – chichocze Shayma. – Słyszałam, jak babcia radziła to mamie, kiedy byłam mała. I moja zazwyczaj rozsądna, praworządna, pracująca jako sekretarka mama słuchała. Nigdy jej nie zapytałam, czy to zrobiła. Jeśli tak, to nie podziałało. A jeśli nie, to... kto chciałby zatrzymać przy sobie takiego faceta?

– Ale używanie amuletu jest w porządku – śmieję się.

Shayma wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– Po raz pierwszy od wielu dni usłyszałam twój śmiech. – Zaciskam usta i wzdycham, więc mówi: – Amulety są po to, żeby odpędzać złe moce, a nie zmuszać ludzi do robienia tego, czego w innym wypadku by nie zrobili. Ale jestem z tobą. Jeśli, czy też kiedy znajdę faceta, którego będę chciała przy sobie zatrzymać, wołałabym, żeby został przy mnie z własnej woli. Nie dlatego, że wbiłam igłę w penis symbolizującej go laleczki voodoo.

Podczas show, który oglądałyśmy wczoraj na Hulu, wyskoczyła informacja o MTV Movie Awards, które będą przyznawane w przyszłym miesiącu. Reid i partnerująca mu w *Szkolnej dumie* Emma Pierce zostali nominowani do nagrody w kategorii Najlepszy Pocałunek. Podczas pokazywanego klipu Shayma zerkała na mnie kątem oka, ale nie odezwała się ani słowem. A w mojej głowie pojawił się niechciany obraz ich dwojga, ponownie łączących usta w pocałunku wprawiającym w zachwyt każdą dziewczynę (z wyjątkiem Claudii) podczas uroczystości rozdania nagród i przez pewien czas pałałam żądzą krwi.

– Może powinnam poprosić babcie o *gris-gris* dla Emmy Pierce – mruczy teraz Shayma, a ja tłumię głuchy pomruk. – Choć podobno jest ona od kilku miesięcy związana z Grahamem Douglasem. Zeszłej jesieni pojechali razem na festiwal w Vancouver, a parę miesięcy temu wybrała się na romantyczny weekend

do Dublina, kiedy on kręcił tam film. Przez cały czas widuje się ich razem – sami lub z przyjaciółmi, czasami z jego córką. Szczególnie w pobliżu NYU, gdzie, jak wieść niesie, kupują mieszkanie.

Patrzę na nią zwężonymi oczami.

– Wyszperałaś te informacje wczoraj wieczorem, prawda?

– Nie! Wyszperałam je dziś rano. – Wzrusza ramionami i zaczyna odliczać żetony dla zmęczonej kobiety z dwojgiem małych dzieci; każde z nich trójga trzyma kosz pełen ubrań do prania, a ja wrzucam do każdego z koszyków pudełko detergentu.

– Wyglądałaś na nieźle wkurzoną, kiedy zobaczyłaś tę zapowiedź, to wszystko. Co trochę dziwne u tak spokojnej dziewczyny, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Do licha. Moja nieistniejąca twarz pokerzystki znowu mnie zdradziła.

Rozdział 24

Reid

W czasie wizyty River oczywiście nie odzywa się ani słowem, ale wydaje się zaciekawiony i nie daje sygnału do zakończenia wizyty. Pierwsza godzina przebiega pod nadzorem Wendy, od której on nie oddala się ani na chwilę. Brooke i ja siedzimy obok siebie na sfatygowanej sofie, z nogami wciśniętymi pod stolik do kawy pachnący pastą do polerowania mebli, ale porysowany i generalnie piekielnie zniszczony. River tkwi przy krześle matki zastępczej jak wmurowany, przytulony do niej całym drobnym ciałkiem, jakby potrzebował jej silnego wsparcia, aby utrzymać się w pionie.

– Zrobiliśmy dla Rivera album, a właściwie zrobiła go głównie Brooke. – Biorę brulion z kolan Brooke i podaję go Wendy ponad stołem. River przysuwa się bliżej, szerzej otwiera oczy i przechyla na bok głowę, żeby obejrzeć okładkę z widokiem na plażę i zachodni horyzont Pacyfiku o świcie. – Jest tam kilka zdjęć z Los Angeles, gdzie oboje mieszkamy, parków i innych fajnych miejsc. Oraz kilka naszych fotek.

Ściskam zimną rękę Brooke, kiedy Wendy przewraca stronicie albumu i odczytuje Riverowi podpisy, a on nie odrywa wzroku od albumu aż do samego końca. A potem wyciąga rękę i wraca do pierwszej strony, patrzy na Wendy z oczekiwaniem, dopóki nie zaczyna mu czytać wszystkiego od początku. Brooke ściska moją rękę kurczowo, jakby wisiała nad przepaścią. I ani na chwilę nie odrywa oczu od niego.

Po zakończeniu ponownej lektury Wendy wręcza album Riverowi.

– River, może pokazałbyś Brooke i Reidowi swój pokój? I postaw ten album obok swoich pozostałych książek.

River patrzy na nas przez moment, a potem przyciska album do piersi i prowadzi nas krótkim, ciemnym korytarzem do ciasnej sypialni, w której stoi piętrowe łóżko oraz jedno oddzielne, podwójne, a także szafa i regał na książki. Na nic więcej nie ma miejsca. Stoimy w progu, a on podchodzi do pojedynczego łóżka i chowa album pod poduszkę. Poszewka poduszki jest pokryta obrazkami samochodów i ciężarówek w żywych kolorach, a mnie przychodzi nagle do głowy, że ten chłopczyk mógłby pokochać mojego żółtego lotusa.

River klęka na niewielkim kwadracie wolnego dywanu i wyciąga spod łóżka pudełko. Wciągając Brooke za łokieć do pokoju i zmuszam ją, żeby usiadła obok mnie na podłodze.

– Co tam masz? A, klocki lego, to była moja ulubiona zabawka, jak byłem w twoim wieku. Chciałem mieć każdy zestaw, jaki się tylko pojawiał na rynku. –

Nie powiedziałem „dostawałem” każdy zestaw, jaki się tylko pojawiał. Wszystkie są bez wątpienia schowane w domu rodziców.

Siedzimy we trójkę na podłodze i budujemy, kiedy Wendy staje w drzwiach i oznajmia, że pora myć ręce przed lunchem. Zerkam na swój zegarek na szerokim pasku i ze zdumieniem stwierdzam, że spędziliśmy tu prawie dwie godziny. Patrzę pytająco na Brooke, a ona lekko kiwa głowa. Pora iść.

Chrząkam.

– My też musimy iść na lunch. – River wciska jeszcze plastikowy klocek w coś, co z grubsza przypomina pająka wielkości mojej dłoni, którego wyczarował z czarnych i szarych prostokątów. Z dwóch czerwonych kwadracików zrobił oczy – przynajmniej mnie wydaje się, że to oczy – stwora, którego większość małych dzieci widuje tylko w koszmarnych snach.

Intensywnie niebieskimi oczami, pełnymi wahania, do którego ma pełne prawo, malec przygląda się badawczo mnie, a potem Brooke, na przemian. Brooke jest równie ostrożna jak River i niemal równie cicha. Nie mam pojęcia, o czym myśli; nie potrafię jej przejrzeć. Nie znamy się już tak dobrze, co wydaje się dość dziwne, zważywszy, że staramy się razem adoptować dziecko.

– Dzięki, że pozwoliłeś nam się z tobą pobawić, chłopie. – Wyciągam do niego zaciśniętą pięść – jak do każdego poniżej dwudziestego piątego roku życia. River wpatruje się w nią ze ściągniętymi jasnymi brewkami i przez chwilę obawiam się, że zrobiłem fałszywy ruch, ale on po przelotnym spojrzeniu na moją twarz podnosi małą piąstkę i leciutko uderza o moją.

A potem na jego buzi pojawia się uśmiech. Przelotny i nieśmiały, ale z pewnością uśmiech.

– Miło było cię poznać, River – mówi Brooke miękko. River zerka na nią, a potem wysuwa ku niej piąstkę, a ona przygryza wargę i delikatnie robi żółwika. Jej oczy stają się szkliste. W tym momencie dochodzę do wniosku, że lepiej ją stąd zabrać.

Idziemy z Brooke do pickupa, milczący i zamyśleni. Przy krawężniku odwracam się i spoglądam na dom. River stoi z Wendy w drzwiach z niepokojąco stoickim wyrazem twarzy. Macham ręką na pożegnanie i Wendy robi to samo. River stoi sztywno wyprostowany, jak ołowiany żołnierz, nie mruga nawet okiem, ale palce jego prawej ręki leciutko się poruszają.

Żadne z nas nie odzywa się ani słowem podczas dwudziestominutowej jazdy do mojego hotelu. Jesteśmy wręcz porażeni ogromem tego, na co się porywamy. Potrzebujemy czasu, żeby wybrać odpowiednie słowa i ułożyć je w zdania. Po przyjeździe na miejsce Brooke parkuje samochód i jak automat podąża za mną do hotelu. Uświadamiam sobie niejasno, że na trasie od drzwi wejściowych do windy

zostajemy rozpoznani przez pozostałych gości hotelowych.

Oboje, Brooke i ja, niemal od trzech tygodni bijemy rekordy kasowych hitów, a ja gram główną rolę w kręconym właśnie filmie na podstawie jednej z najpopularniejszych powieści ostatniej dekady. Słupki naszej popularności świecą na zielono i czasy, kiedy mogliśmy pokazywać się bez ochroniarzy w miejscach publicznych, należą już do przeszłości – szczególnie, kiedy jesteśmy razem. A jest oczywiste, że teraz często będziemy razem.

Brooke wysiada z windy, idzie za mną do pokoju, ciężko siada na sofę obok mojej rozbebeszonej walizki i wpatruje się w okno wychodzące na jezioro pod bezchmurnym niebem.

Doba hotelowa już się kończy i powinienem się wymeldować, ale dochodzi południe.

– Lunch? – proponuję, a Brooke kiwa głową.

Biorę do ręki menu i pytam, na co ma ochotę, ale ona macha tylko ręką.

– Wszystko jedno – mamrocze.

Zamawiam kanapki i frytki, wydaję z mini lodówki dwie butelki wody i padam na fotel obok niej. Brooke pije w milczeniu, ja wlewam w siebie na raz pół butelki.

– I co teraz?

Brooke zwraca na mnie spojrzenie, a ja mrugam powiekami, gwałtownie. Wygląda na wykończoną albo naćpaną.

– Ja go chcę, Reid. Nigdy niczego tak bardzo nie chciałam. To źle? Że go pragnę?

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, dlaczego pomyślała, że pragnienie Rivera może być czymś złym. Ale zaraz mnie olśniło.

– Nie ufasz własnym intencjom.

Potrząsa głową i łzy napływają jej do oczu.

Pochyliam się do przodu i ujmuję jej dłoń, już po raz trzeci czy czwarty tego dnia. Nadal jest zimna, jakby pozbawiona dopływu krwi.

– Brooke, nigdy cię takiej nie widziałem, tak niepewnej siebie, a równocześnie z takim poczuciem misji. Już w momencie, gdy powiedziałaś, że zrezygnujesz z roli w *Papierowych oceanach*, żeby go adoptować, zniszczyłaś moje uprzedzenia i zmusiłaś do zmiany zdania o Brooke Cameron. – Wspomnienie Rivera, trącającego małą piastką moje knykcie, odebrało mi na chwilę głos. I ten jego przelotny, leciuteńki uśmiech. – Ale ja również go chcę, aż mi zaszumiało w głowie. Widzę, że dobrze mu u Wendy, zżył się z nią, ale to jest rozwiązanie na krótką metę i zawsze nim było. Mój tata miał rację. Jeżeli tego nie zrobimy, to kiedyś w życiu tego pożałujemy – i to raczej wcześniej niż później, jak mi się zdaje.

– Twój tata tak powiedział? – pyta Brooke i marszczy brwi, zmieszana.

- Tak – śmieję się. – Byłem piekielnie zaskoczony.
- Więc nie ma nic przeciwko temu, żebyś to zrobił?

Wzruszam ramionami i myślę o tym, że dom rodziców jest na gwałt przygotowywany na przyjęcie czterolatka, o którego istnieniu jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedzieli. Tamtego ranka tata wkroczył do biura adwokata Brooke z miną zarezerwowaną do sal rozpraw, ale jej doradca okazał się genialny i zanim od niego wyszliśmy, obaj przygotowali już wspólnie strategię batalii o Rivera, jakby pracowali razem od zawsze. Najwyraźniej źródłem potencjalnych problemów jest fakt, że mam dopiero dwadzieścia lat, a według prawa minimalny wiek rodziców adopcyjnych to dwadzieścia jeden lat. Ustalili, że należy ostrożnie uświadomić sędziemu, iż w momencie faktycznej rezygnacji z praw rodzicielskich miałem zaledwie piętnaście lat i byłem pozbawiony opiekuna prawnego.

– To mało powiedziane, że nie ma nic przeciwko temu, podobnie jak mama. To dziwne. Na ich obronę mogę powiedzieć, że w ciągu ostatnich lat zmusiłem ich do zdecydowanego obniżenia oczekiwań w stosunku do mnie.

Brooke śmieje się cicho, po jej policzku spływa łza. Wyciągam rękę, żeby ją zetrzeć, ale ten prosty gest sprawia, że jej uśmiech znika. Przelyka ślinę i prostuje się na sofie.

– Dzięki, że zrewidowałeś swoje plany, choć zawiadomiłam cię z tak niewielkim wyprzedzeniem, i przyjechałeś tu dzisiaj.

Opieram łokcie na kolanach, łączę dłonie i wzdycham.

– Nie musisz mi za nic dziękować. Działamy w tej sprawie razem. Nie robię ci żadnej łaski. Robię to, co powinienem zrobić od początku: biorę na siebie pieprzoną odpowiedzialność.

Kończę lunch, pakując swoje rzeczy i Brooke zgadza się podrzucić mnie na lotnisko, żebym nie musiał zawracać sobie głowy zamawianiem samochodu. Kiedy wychodzimy z hotelu, czatuje na nas samotny fotograf. Odpycha się od samochodu, o który stał oparty i wykrzykuje nasze imiona, ale żadne z nas nie daje się złapać na haczyk. Próbuje do woli, ty draniu. Na szczęście pickup jest zaparkowany po przeciwnej stronie, a że fotograf jest sam, nie może podejść zbyt blisko – choć zoom w obiektywie z pewnością nas przybliży.

Dori

Moja komórka sygnalizuje nieodebrany telefon od Reida, choć nie słyszałam dzwonka, ani nie czułam wibracji aparatu. Okazuje się, że nawet kiedy mam najlepszą wolę, żeby odebrać, mój telefon staje na przeszkodzie. Oddzwaniam, ale komórka Reida jest wyłączona – od razu odzywa się poczta głosowa – więc zakładam, że jest w samolocie, gdzieś między Teksasem a Utah. Zostawiam mu

wiadomość, że wieczorem będę się uczyła w swoim pokoju.

– Zadzwoń, kiedy wrócisz do swojego... do swojej przyczepy, jak sądzę? Pogadamy później. Cześć.

Próbuję sobie wyobrazić Reida w przyczepie, w jakiej mieszkają filmowcy, ale ponieważ nigdy nie byłam w środku, nasuwa mi się obraz wnętrza campera, jaki nasi emerytowani sąsiedzi wypożyczyli przed laty, kiedy sprzedali dom, w którym mieszkali od czterdziestu lat. Byli bardzo dumni z tego ruchomego domu na kółkach i zminiaturyzowanych sprzętów – od lodówki i prysznicza poczynając, a kończąc na sypialni, która była właściwie tylko łóżkiem od ściany do ściany na tyłach pojazdu.

Podczas „zwiedzania” Deb pochyliła się i szepnęła mi do ucha:

– A co będzie, jak Oscar wdepnie na hamulec na jakimś ostrym zakręcie, a Ethel będzie w łóżku albo pod prysznicem? Naga, mokra, zasikana staruszka wpadnie z impetem do kokpitu, oto co się stanie.

O mało się nie udusiłam, powstrzymując się od śmiechu. Kiedy mama odwróciła się i zerknęła na nas podejrzliwie, Deb wskazała mnie głową z anielsko niewinną miną.

– Połknęła gumę do żucia. – Kilkakrotnie klepnęła mnie ręką w plecy. – Wypluj ją, Dori, wypluj ją.

Pomiędzy kompletowaniem bibliografii do pracy pisemnej ze wstępu do psychologii, a kuciem do kartkówki ze wstępu do socjologii, wysłałam SMS do Aimee, która wścieka się, że ona i Kayla nie będą miały normalnej przerwy wiosennej, jak na wszystkich innych uczelniach, bo na UCLA mają cztery okresy zamiast semestrów.

Aimee: Mamy tylko DWA DNI przerwy przed rozpoczęciem kolejnego okresu! A gdzie zwyczajnie uniwersyteckie? Dawali fałszywe ogłoszenia.

Ja: Nie przejrzałyście kalendarza akademickiego, składając aplikację o przyjęcie? I potem rejestrując się?

Aimee: Oczywiście, nie. :(

Ja: Współczuję. :(Ale ja przyjadę do domu na cały tydzień, a wy studiujecie w LA.

Aimee: Tylko że na pewno będziesz spędzać cały czas z REIDEM (i nie mam ci tego za złe). A... Nick?

Ja: U Nicka przerwa zaczyna się tydzień wcześniej niż u mnie, więc oboje mamy wolny tylko pierwszy weekend. A jeśli chodzi o Reida, to tak, będzie w mieście. Ale kręci film. I nie znam jeszcze jego planów.

Aimee: BA. Kręci w Universal, więc będzie w mieście. Powołuję się na autorytet Pereza.

Ja: Przewracam teraz oczami jak szalona!

W dziesięć minut później odbieram SMS od Kayli.

Kayla: Hej, sprawdź link, który ci właśnie przesłałam. Nie chcę być posłańcem przynoszącym złe wieści, ale są pewne sprawy, o których musisz WIEDZIEĆ!

Ja: Ok.

Link prowadzi do jednej z tych stron, które wolałabym, żeby nie istniały, a które wywlekają na światło dzienne życie takich ludzi jak Reid. Znajduję tam niezbyt wyraźne zdjęcie z podpisem: „Reid Alexander i Brooke Cameron! Znowu razem?” Wchodzą do hotelowej windy. I jakby tego było mało, jest również wyraźna fotografia ich obojga, opuszczających w kilka godzin później ten sam hotel i wsiadających do pickupa.

Brooke Cameron jest piękna. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady, wywołanej zazdrością – to po prostu stwierdzenie faktu. To jedna z najładniejszych dziewczyn, jakie w życiu widziałam. I ma dziecko z Reidem. I była z nim w sobotę w Austin. Wchodzili razem do hotelu i razem go opuszczali.

Nagle czuję się straszliwie zmęczona.

Jestem zmęczona zazdrością – uczuciem, którego przed Reidem właściwie nie znałam, a które stało się wszechogarniające. Nieustępliwe. I takie wyczerpujące.

Zamykam stronę internetową i prawie nie czuję łez płynących mi po twarzy, ale nie mogę dopuścić, żeby uczyniły mnie ślepą na rzeczywistość. Gdybym porozmawiała z Reidem, język by mnie świerbił, żeby zapytać, co się między nimi dzieje, jeśli coś się dzieje. Ale nawet jeżeli nie dzieje się nic – na razie – to nie wierzę, że nie będzie się działo w przyszłości. Ani w to, że nie powinno się dziać.

Nie spodziewałam się, że to nadchodzi – nie tak szybko. Nie w ten sposób. Ale to nieważne, bo zawsze wiedziałam, że on wróci do dawnego, hollywoodzkiego stylu życia i do swych kumpli. Nie mogę mieć o to do niego pretensji i nie mam. Występując o adopcję swego syna, wybrał niełatwą drogę. Ale właściwą. I podziwiam go za to.

On wierzy w to, że pomogłam mu stać się lepszym człowiekiem, że mam na niego dobry wpływ i to prawda. Taka miała być moja rola. Teraz to widzę. Nigdy nie miałam być dziewczyną, z którą będzie chciał pozostać na zawsze. To nieważne, że tak się w nim zakochałam, tak mocno – że szaleję z miłości do niego. Kiedy się kogoś kocha, to pragnie się tego, co najlepsze dla niego, a nie dla siebie.

Nie zmieniłam Reida Alexandra. Ja mu tylko pomogłam zrozumieć, kim zawsze był, w głębi duszy. Teraz powinnam pozwolić mu odejść.

Reid: Nieodebrane telefony (3)

Wiadomości (2)

Reid: Okej, powiedziałaś, że wieczorem będziesz u siebie. Dzwoniłem i zostawiałem wiadomości. Chciałem porozmawiać z tobą o dzisiejszym dniu.

Reid: Jesteś na mnie zła? Zrobiłem coś, z czego nie zdaję sobie sprawy? Nie

rozumiem.

Reid: Nieodebrane telefony (2)

Reid: Gdybym nie ugrzązł na środku tej cholernej pustyni, waliłbym do drzwi twojego akademika i do diabła z tym, czy ktoś mnie usłyszy albo zobaczy. Martwię się.

Reid: Będę musiał zadzwonić do twoich rodziców. (Nie mogę UWIERZYĆ, że to napisałem.)

Reid: Dori, do licha, nie rób tego znowu. Proszę, nie rób tego znowu.

Rozdział 25

Reid

– Halo?

– Pani Cantrell, mówi Reid. Alexander.

– Tak, panie Alexander? – Jej ton brzmi jakoś oskarżycielsko, o co chodzi z tym „panie Alexander”?

Wystarczyło dziesięć sekund rozmowy, a już zaczynam chodzić po tej cholernej przyczepie i zastanawiać się, jaki wpływ mają na nią nadal rodzice. Zastanawiam się, czy to ich mam obwiniać o jej wycofanie się. Po spotkaniu sprzed dwóch miesięcy wiem doskonale, że byliby zachwyceni zerwaniem naszego związku i to sprawia mnie we wściekłość.

Raz. Dwa. Trzy. Głęboki oddech. Cztery. Pięć. Sześć.

– Od kilku dni nie mam kontaktu z Dori. Chcę tylko sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

Jej matka robi pauzę, zanim udzieli mi odpowiedzi.

– Wszystko dobrze. Doceniam pańską troskę, ale Dori ma się świetnie. – Bez pana, dopowiadam sobie w duchu. Bez pana ma się świetnie.

– A więc wie pani o tym, że Dori nie odpowiada na moje SMS-y i telefony. I bez wątpienia wie pani również dlaczego. – Kładę rękę na karku i walczę z całych sił z impulsem, żeby zażądać od niej wyjaśnień, co, do cholery, ona wie, czego ja nie wiem. – Czy byłaby pani łaskawa podzielić się ze mną tą informacją? Bo ja nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Nie ma pan?

– Co to ma znaczyć?

– Czytuje pan strony plotkarskie, panie Alexander?

Wypuszczam z płuc powietrze.

– Nie, jeśli to tylko ode mnie zależy. Ignoruję je w miarę możliwości, bo to same kłamstwa albo półprawdy wynikające z nieporozumienia, względnie bezwstydne ingerencje w prywatność. Dori wie, co jest prawdą, a co nią nie jest. A przynajmniej sądziłem, że wie. Myślałem, że mi ufa.

– A co jest prawdą? To, że został pan wielokrotnie sfotografowany z inną młodą damą, a którą niegdyś pan... chodził?

– Dori wie, dlaczego...

– Tak. Powiedziała mi o dziecku, którego jest pan ojcem, i o tym, co robi pan teraz wraz ze swą byłą dziewczyną, co – nota bene – dobrze świadczy o was obojgu. Ale to nie jest coś, w co moja córka musi być wplątana, czym musi być niepokojona...

– Może ma pani rację. Może to nie jest coś, z czym Dori powinna się zmagać. Może to nawet więcej, niż potrafi znieść. – Chryste. Wypowiadając to zdanie, czuję się tak, jakbym wbijał sobie nóż w serce. Nie mogę przyjąć do wiadomości, że to prawda. – Ale dlaczego o tym ze mną nie rozmawia? Dlaczego uważa, że odwracanie się od problemu to sposób na jego rozwiązanie?

Jej odpowiedź jest miażdżąca.

– Wyobrażam sobie, że chce się ustrzec przed jeszcze głębszym zranieniem przez pana.

– Jeszcze głębszym? – wyrzucam z siebie, kiedy udaje mi się złapać oddech.
– Co ma znaczyć to pani: „jeszcze głębszym zranieniem”? Ja ją kocham. Nie zamierzam jej ranić. Nigdy. O mało nie zrezygnowałem z praw do własnego syna z obawy, że ją stracę, z obawy przed jej reakcją. – Nie mogę powiedzieć tej kobiecie, co najprawdopodobniej jest przyczyną takiego zachowania Dori: bezsensowne poczucie winy z powodu decyzji, jaką podjęła przed laty. Decyzji, którą wówczas uznała za właściwą. – Ale nawet wtedy nie wyobrażałem sobie, że zrobi coś takiego. Ona nie jest tchórzem, a to najbardziej tchórzliwe zachowanie, jakie u niej widziałem.

– Więc chronienie siebie przed pewną szkodą emocjonalną uważa pan za tchórzostwo?

– Przed nieuchronną szkodą emocjonalną? W pani ustach zabrzmiało to tak, jakby ta szkoda emocjonalna była czymś nieuniknionym. Jakby od początku nie było innych możliwości dla naszego związku, jakbyśmy byli na to skazani. Ale pani dedukcja nie wypływa z informacji o istnieniu mojego syna, nie ma również nic wspólnego z Brooke Cameron, jest skutkiem pani uprzedzeń wobec mnie. Wobec mojego stylu życia, kariery zawodowej czy mojej dawnej reputacji...

– Czy nie na tej właśnie podstawie oceniamy innych ludzi i przewidujemy bieg wydarzeń, panie Alexander? Na podstawie ich dawnej reputacji? Powiedzmy, że ma pan rację. Co z pana stylu życia i reputacji wyszłoby na dobre mojej córce? Czy pański zawód może dać jej poczucie bezpieczeństwa? Ma stać z boku i przyglądać się, jak wiąże się pan na ekranie, a w plotkach również poza nim – nieważne, czy to prawda, czy nie – z innymi kobietami? Dlaczego ja miałabym pragnąć tego dla niej?

– Dodajmy do tego jeszcze istnienie pańskiego syna, zrodzonego z jedną z tych innych kobiet, przypisywanych panu przez plotki. Co z nią będzie, kiedy tajemnica wyjdzie na jaw? Co ludzie powiedzą? Oczywiście, że nie chcę tego dla niej. Dlaczego miałabym życzyć jej czegoś takiego, na litość boską?

Rozwała mnie świadomość, jak bardzo ta kobieta ma rację. Nawet jeśli jej córka jest jedyną znaną mi osobą, która nie odsądziła mnie od czci i wiary na skutek mojej reputacji, ale oceniała mnie na podstawie tego, co widziała – Bóg jeden wie, jak to się jej udało. Mam tylko jeden argument przemawiający na moją

korzyść.

– Ja. Ją. Kocham.

– Jeżeli to prawda – odpowiada spokojnie – to chcesz tego, co najlepsze dla niej. Nie dla siebie.

Przypomniały mi się słowa Brooke o Grahamie i uderzyły mnie tak, że padłem na kolana na środku przyczepy. Wydaje mi się, że serce eksplodowało mi w piersi. Cały gniew i słuszne oburzenie wyparowały. Wszystkie argumenty obróciły się w popiół. Ponieważ ona ma rację, oczywiście. Jeżeli kocham Dori, to chcę tego, co dla niej najlepsze. A tylko sama Dori wie, co to jest.

Brooke: Dziś rano widziałam się z sędzią. Sprawa została przyśpieszona. Dostajemy go na noc. Pierwsza ma być tutaj, już jutro. (Jeśli przyjedziesz do Austin, Kathryn mówi, że możesz u niej zanoć. Hotel nie zapewni dyskrecji.) Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to każde z nas dostanie go do LA na kilka dni. Jego opiekun prawny przyjedzie wraz z nim.

Ja: Do licha. Nie mogę się wyrwać w tej chwili. Jestem DOSŁOWNIE na środku pustyni. Musieli ustawić specjalną wieżę, żeby nasze komórki miały zasięg. Gdybym mógł opuścić te zdjęcia, byłbym już w Kalifornii. Zadzwoń za dwie godziny? Mam scenę do nakręcenia.

Brooke: Okej.

W dwie godziny później, co do minuty, dzwoni mój telefon. Brooke.

– Hej. Więc jutro będziesz go miała u siebie, w domu Kathryn? Czy moja nieobecność będzie stanowiła duży problem?

– Nie – odpowiada Brooke. – Wyjaśniłam sędziemu, że ja w tej chwili nie pracuję, ale ty tak, i że jeśli go dostaniemy, to będziemy uzgadniać nasze plany zawodowe. Że jedno z nas i tak będzie przy nim. – Brooke zawsze potrafiła na poczekaniu znaleźć wyjście. – Reid? – W jej głosie pojawia się nutka wahania. – Jesteś pewien?

– W sprawie Rivera? Tak. Jestem pewien. – Nie muszę pytać, czy ona jest pewna.

Moja odpowiedź sprawia, że oddycha z ulgą – jakby się spodziewała, że w każdej chwili mogę się wycofać. Nie potrafi polegać na innych. Zaufać zapewnieniom, że ktoś przy niej będzie. Biorąc pod uwagę naszą historię, to niemal cud, że w ogóle potrafi uwierzyć w jakąkolwiek moją obietnicę. Nie mogę mieć do niej pretensji, że pyta.

– Wendy idzie na operację za dwa tygodnie i w tym czasie będziemy go mieli na noc w LA. Jeden z chłopców, których miała pod opieką, zostanie przeniesiony do innej rodziny zastępczej, a drugi wróci do własnej rodziny, choć może to trochę przedwcześnie. Nie mówiła zbyt wiele o żadnym z nich, ale dawało

się wyczuć, że bardzo się boi o nich obu. Wydaje mi się, że my staliśmy się nagle najlepszym z możliwych scenariuszy.

Paskudnie jest czuć się szczęściarzem z takiego powodu, ale jestem fagasem, więc to biorę.

– Hurra, że inni spieprzyli sprawę?

Brooke parska śmiechem.

– Chyba tak. Wrócisz już wtedy do LA?

– Tak. Będziemy uziemieni tutaj, w samym środku pieprzonego zadupia, jeszcze przez czternaście, piętnaście dni. Potem kręcimy w studiu, w Universal. Wrócę do miasta tuż przed jego przyjazdem.

– I załatwisz do tego czasu przegląd warunków domowych i kurs dla rodziców? – naciska Brooke.

Podnoszę oczy do nieba, ale mówię sobie, że ona upewnia się co do najistotniejszych szczegółów. Nie ma powodu na nią warczeć. Więc zaciskam zęby.

– Tak.

– Okej. – Bierze głęboki oddech i przechodzi do drugiej części rozmowy. – Myślę, że już czas zadzwonić do Roweny. – Klnę i zaczynam protestować – znowu – ale Brooke nie dopuszcza mnie do głosu. – Wiem, że po wydarzeniach z ostatniej wiosny jesteś do niej uprzedzony, ale, Reid, ona naprawdę stanowi najlepsze rozwiązanie, jeżeli chcemy mieć jakąkolwiek kontrolę nad tym, w jaki sposób ta wiadomość się rozejdzie. Opinia publiczna będzie żądała zdjęć naszego dziecka. Wiesz, że tak będzie.

Ona ma rację, River stanie się celem numer jeden dla wszystkich paparazzi. Jedyne sposobem ograniczenia prześladowań jest opublikowanie zdjęć przez nas. W nagłym olśnieniu uświadamiam sobie, że zacząłem ufać Brooke. A co do osoby Roweny... Uch. Mój sprzeciw pozostaje niewypowiedziany.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że jeśli będziesz mógł, zjawisz się w Kalifornii? – pyta Brooke, niewątpliwie żeby zmienić temat, zanim znajdzie argumenty przeciwko skorzystaniu z usług fotografki, która się jej podlizuje.

– Dori. Od tygodnia ze mną nie rozmawia.

– Od tygodnia? Co się stało?

– Nie mam pojęcia. To największy problem.

– Nie bądź dupkiem. Pokłóciliście się? A może zrobiłeś coś głupiego, na przykład zerznąłeś jakąś dziewczynę, która zrobiła zdjęcie twojego gołego tyłka i wrzuciła je do Internetu?

Byłbym urażony, gdyby właśnie taka sytuacja nie wydarzyła się kilka lat temu.

– Nic z tych rzeczy. Oczywiście nasze zdjęcia z Austin są teraz wszędzie, ale ona nie powiedziała o nich ani słowa. Ale wie już o Riverze. Podejrzewam, że

uznała, iż temu nie sprostą.

– To do bani. Powinna wiedzieć, że nie ma sensu zwracać uwagi na te głupoty w Internecie, chociaż czasami okazują się prawdziwe. Ale jeśli nie jest w stanie sobie z tym poradzić, to może lepiej ci będzie bez niej.

Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego okresu do grania roli zamkniętego w sobie, ponurego faceta. Mój Darcy był może nieco ponury, ale przede wszystkim sarkastyczny i arogancki.

Z uwagi na to, ile czasu spędzam samotnie – albo w swojej przyczepie, albo spacerując po pustyni tak daleko, że nasze przyczepy stają się ledwo widoczne – pozostali wykonawcy uznali przypuszczalnie, że należę do aktorów, którzy wczuwają się w rolę, zarówno przed kamerą, jak i poza nią. Dotarły do mnie takie informacje, ale ja nie muszę uciekać się do żadnych sztuczek, żeby wprowadzić się w ponury nastrój mojego bohatera.

Jestem ponury. Jezu Chryste, naprawdę jestem.

I choć z pewnością odwołuję się do własnych myśli i emocji, portretując swojego bohatera (inaczej mówiąc stosuję współczesną metodę aktorstwa), to nie sięgam do bolesnych doświadczeń z przeszłości. Wystarczy, że pomyślę o Dori i ogarnia mnie czarna rozpacz. Na zawołanie.

Brooke

Już od sześciu dni go nie widziałam.

Kathryn była głosem rozsądku na każdym etapie tej sprawy.

– Tylko nie przytłocz go rzeczami, Brooke – mówi, kiedy usiłuję kupić każdy zestaw lego, jaki tylko znajdę online. Wybieramy razem pół tuzina, ale cztery odkładamy na później. Prawie godzinę zajmuje mi ograniczenie się do zaledwie dwóch pluszaków: – misia, to oczywiste, i szczeniaczka z oklapłymi uszkami (żeby zrekompensować sobie fakt, że Kathryn nie pozwoliła mi kupić żywego pieska.)

Jedna ze ścian jego pokoju w domu Kathryn jest pomalowana na zielono – Wendy twierdzi, że to ulubiony kolor Rivera. W jego pokoju w moim apartamencie będzie mnóstwo zieleni – zatrudniłam artystę specjalizującego się w tworzeniu trójwymiarowych iluzji optycznych, żeby wymalował na wysokości oczu szosę z kolorowymi samochodami i w tle krajobraz. Sufit będzie niebieski z białymi obłoczkami rozsianymi od jednej ściany do drugiej. A szafki zostaną pokryte farbą, po której można rysować kredą, żeby River miał czym mazać.

Wygląda na to, że nie jestem w stanie powstrzymać się od przedobrzenia.

Tym też się martwię, ale Kathryn śmieje się tylko i kręci głową.

– Taka już jesteś, Brooke. Po prostu staraj się trochę hamować swoje zapędy. Pamiętaj, że tym, czego on naprawdę potrzebuje, jest twoja miłość. Dlatego rodzice, którzy żyją w biedzie, potrafią wspaniale wychowywać dzieci.

Jednego nie powiedziała: „I dlatego rodzice bogaci często ponoszą klęskę wychowawczą. Zastępują uczucia przedmiotami”.

– Będę o tym pamiętać.

W jednej sprawie się zgadzamy – wypełniamy półki wbudowanego w ścianę regału w jego pokoju książkami, tuzinami książeczek z obrazkami – moimi ulubionymi lekturami z dzieciństwa i wszystkimi nowymi, na które zwróciłam uwagę. Ich różnobarwne grzbiety wyglądają bardzo zachęcająco, kiedy ustawiamy na półkach tę małą biblioteczkę. Wendy mówi, że River lubi, aby mu czytać przed snem, a ja zaczynam się zastanawiać, czy lubiłby również czytanie na płaskim kamieniu na środku strumyka. Tak mi to wpada do głowy, całkiem bez powodu.

Kupuję również matchboxy i tor wyścigowy z podwójną pętlą pośrodku, bo Reid twierdzi, że każdy chłopiec byłby nim zachwycony. I ciężarówki tak realistyczne, że ich elementy ruchome są zabrudzone.

Wybieram zieloną szczoteczkę do zębów i trzy różne pasty. I lampkę nocną w kształcie wyścigówki, która zapala się i gaśnie. I parę kaloszy w odcieniu zieleni marki John Deere, choć według prognoz pogody zapowiada się chłodny, słoneczny dzień.

Opiekunka prawna zabiera Rivera z domu Wendy po jego popołudniowej drzemce i przywozi do nas. Kris była tutaj kilkakrotnie, sprawdzając warunki domowe, więc już zna to miejsce. Ona i Kathryn natychmiast przypadły sobie do gustu – na szczęście dla mnie. Trochę dłużej trwało, zanim Kris zaczęła cieplej spoglądać na mnie, ale to dlatego, że jest kobietą i ma otwartą osobowość.

Czasami ludzie po prostu mnie nie lubią. I bądź tu mądry.

Glenn planuje obiad z grilla. Należy do facetów, którzy chełpią się fartuchami z czarnego płótna, oglądają programy *Licensed to grill!* i mają bez liku akcesoriów z długimi rączkami. Wracając wczoraj do domu, kupił po drodze zaopatrzenie: wołowe hamburgery i hot dogi oraz bułki, pikle, słodki sos i szatkowane ziemniaki.

Kathryn powierzyła mi obowiązek zrobienia sałatki owocowej, żeby mnie czymś zająć (czytaj: doprowadzam ją do szalu, niespokojnie patrolując cały dom). W jednej chwili jestem szczęśliwa i dziwnie rodzinna, a w następnej mam pewność, że zaraz ktoś zadzwoni i powie, że popełnili błąd. Że nigdy nie powinnam być brana pod uwagę jako matka dla Rivera. Że to pomyłka sądowa – cha, cha, cha – tak nam przykro, proszę pani.

Nagle naprawdę dzwoni telefon, moje ręce podrywają się nerwowo nad krojonych truskawek i czuję jak ostrze przecina skórę.

– O, cholera jasna! To znaczy – o, rany! – W jednej chwili mój palec wskazujący zaczyna sikać krwią.

– Danie ci do ręki ostrego noża nie było chyba najlepszym pomysłem – zauważa Kathryn i idzie do spiżarni po materiały opatrunkowe, a ja oczyszczam skaleczenie i przyciskam do ranki papierowy ręcznik, żeby zatamować krwawienie.

Glenn odbiera telefon po trzecim sygnale.

– Y’ello? – Ma tak przejętą minę, że serce mi się ściska, ale potem słyszę: – Więc wydaje te odgłosy tylko podczas hamowania, a nie kiedy pracuje na jałowym biegu? Aha. Daj mi jeszcze raz posłuchać tego dźwięku.

Ależ ze mnie idiotka! Przecież to był dzwonek telefonu stacjonarnego, a nie mojej komórki. To nie stan Teksas postanowił rozwiać moje nadzieje na macierzyństwo, tylko Kelley albo Kylie ma jakiś problem z samochodem.

– Obejrzyjmy tę straszną ranę. – Kathryn ujmuje moją dłoń i przygląda się rozcięciu. Z wesołym błyskiem w jasnozielonych oczach stwierdza: – Chyba uda nam się uratować twój palec. Zabandażujmy go, a potem znajdziemy ci jakieś bezpieczniejsze zajęcie na czas oczekiwania.

Sadza mnie na barowym stołku w rogu, jakbym znowu miała sześć lat, smaruje skaleczenie maścią i owija palec jaskraworóżowym bandażem.

– Reid powiedział, że dla mnie wzorem matki jesteś ty, a nie Sharla – mówię, a ona zwraca na mnie zatroskane spojrzenie. – W głębi duszy musiałam o tym wiedzieć od lat. Ale nigdy sobie tego tak jasno nie uświadamiałam. Zawsze myślałam, że to, jaka jestem i jaka będę w przyszłości, jest zapisane w genach. Ale to nieprawda. Nie wiem, kim bym się stała, gdyby nie ty. Co wydaje się być mocno nie w porządku, bo przecież moje przyjęcie na świat zniszczyło twoje życie.

– Och, kochanie – wzdycha Kathryn i cmoka mnie w czoło. – Popatrz wokół siebie. Naprawdę uważasz, że moje życie zostało zniszczone? Mam trzy piękne, utalentowane córki i kochającego... – Słyszymy, jak Glenn porusza się przed domem, szykuje w patio miejsce do kucharzenia i nuci własną wersję popowego przeboju z lat osiemdziesiątych, w którym grille wariują na tle odświętnie wystrojonych mężczyzn. – ...trochę zwariowanego męża. Niedługo zostanę babcią, podwójną – w ciągu kilku miesięcy! Mam cudowne życie, Brooke. I jestem szczęśliwa, że stanowisz jego element.

Kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, zamieram w bezruchu. Nie mogę oddychać.

– Idź otworzyć, kochanie – ponagla Kathryn i wychodzi przed dom do Glenna, żeby River nie poczuł się przytłoczony widokiem nowych twarzy jeszcze

przed przestąpieniem progu.

Podchodzę do drzwi, kompletnie roztrzęsiona, i otwieram je w nadziei, że mój uśmiech wygląda na serdeczny, a nie spanikowany. Przedemną stoi River i trzyma Kris za rękę tak kurczowo, jak ja zaledwie tydzień temu ścisnęłam dłoń Reida na frontowym ganku domu Wendy. Obok niego miniaturowa walizka na kółkach w kształcie kwadratowej żaby. Zielonej, oczywiście. River nie robi najmniejszego ruchu, żeby wejść, a jego pozbawiona uśmiechu twarz ma wciąż ten sam wyraz.

Wendy twierdzi, że River ma czterdzieści cali wzrostu i waży trzydzieści cztery funty, co go lokuje w szesnastym centylu, zarówno pod względem wzrostu, jak i wagi. Orzeczenie lekarskie: niedożywienie we wczesnym dzieciństwie; przy odpowiedniej diecie może nadrobić niektóre braki. Wczoraj wieczorem, podczas rozmowy poprzedzającej jego wizytę w moim domu, dowiedziałam się od Wendy o chowaniu przez niego jedzenia i psychologicznych przyczynach takiego zachowania.

– Czasami miewa również senne koszmary oraz lęki nocne. Teraz większość nocy przesypia już spokojnie. Ale w nowym miejscu mogą powrócić.

Spokojnie przyjmowałam wszystko, co mówiła Wendy, zadawałam rozsądne pytania i robiłam metodyczne notatki, a kiedy się rozłączyłyśmy, poszłam nad strumień, usiadłam na swoim kamieniu i ryczałam, aż rozboleło mnie gardło.

Kucam przed nim, żeby nasze twarze znalazły się na jednym poziomie i przywołuję na twarz uśmiech. Jestem aktorką. Potrafię to zrobić.

Przed laty znalazłam pod szopą na narzędzia Glenna miot kociąt. To były szybkie jak błyskawica kulki futerka i bardzo chciałam jedno z nich wziąć na rękę, pragnęłam tego nad życie. Przesiedziałam na trawie całe popołudnie, prawie bez ruchu, wabiąc je i przemawiając łagodnie, jakbym była najłagodniejszą dziewczynką na świecie.

Teraz tak samo modulując głos, przemawiam do swojego syna, dla którego ciągle jeszcze jestem obcą osobą.

– Cześć, River. Cieszę się, że mnie odwiedzasz. Może chciałbyś wejść do środka?

A on, podobnie jak tamte kocięta, spogląda na mnie ostrożnie, starając się ocenić, czy można mi zaufać. Mija wieczność, zanim decyduje się kiwnąć głową – raz.

Prostuję się, witam również Kris i proponuję, że wezmę walizkę Rivera. Jego małe, miękkie paluszki ocierają się o moje, kiedy przekazuje mi rączkę walizki. Odwracam się, zagryzam wargę i prowadzę ich przez pokój dzienny i dalej, szerokimi korytarzami.

– Twój pokój jest zaraz obok mojego. Jesteśmy.

River staje w drzwiach, przechyla głowę na bok i rozgląda się – jego oczy

przesuwają się powoli po każdym przedmiocie z osobna. Kładę jego walizkę na łóżku i czekam. River nie omija mnie wzrokiem. Jestem obiektem równie starannych oględzin jak wszystko inne. Tym, co skłania go w końcu do wejścia do pokoju, jest pluszowy piesek ze złocistym futerkiem. River zbliża się, podchodzi do podwójnego łóżka z drugiej strony i przygryza dolną wargę. Kris zostaje w progu.

– Myślę, że ten szczeniaczek chce, żebyś go wziął na ręce. – Mój głos jest nadal ciepłym szeptem. – Wiesz dlaczego?

River kieruje na mnie spojrzenie.

– Bo mamy na obiad hot dogi, więc jest troszeczkę zaniepokojony.

Jedna brew malca wędruje w górę i o mało nie zachłystuję się powietrzem – bo przez dwie sekundy mam przed sobą Reida i teraz już wiem, że wszystko będzie dobrze. Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś równie upartego i niezłomnego jak ojciec tego dziecka, chyba że jego matka. River przetrwał wszystko, co mu życie przyniosło, bo jest twardy jak paznokcie, choć wydaje się równie mały i kruchy jak one.

Ja również unoszę brew.

– Zjemy na dworze. Możesz wziąć go ze sobą, jeśli chcesz. Nie ma jeszcze imienia. Myślałam, żeby go nazwać Hot Dog, ale może właśnie dlatego martwi się tym, co będzie dziś na obiad.

Usta Rivera krzywią się lekko z jednej strony, a oczy kierują się znowu na psiaka.

– Kris, czy chcesz zostać na obiad? – proponuję.

Z uśmiechem potrząsa głową.

– Myślę, że sobie poradzisz. Daj mi znać, gdybyś mnie potrzebowała. Masz moje numery?

Kiwam głową.

– Zapisałam sobie wszystkie numery, a twoja wizytówka jest na lodówce.

– Świetnie. – Zwraca się z uśmiechem do niego. – Dobranoc, River. Zobaczymy się jutro po lunchu, okej?

Kiedy się odwracam, piesek jest już przytulony do jego piersi. River jeszcze raz zerka na mnie, a potem kiwa głową Kris, dając jej zgodę na pozostawienie go tutaj ze mną. Samego.

Rozdział 26

River

Brooke jest ładna. Jej włosy wyglądają na miękkie i podoba mi się jej uśmiech. Kathryn jest miła i nawet Glenn jest miły. Jest dużo, dużo większy od Harry'ego, ale mnie nie przeraża. Pokazuje mi, co zrobić, żeby brokuły miały lepszy smak – trzeba wsadzić je do miski z serem.

Nie wiedziałem, że ser może być w misce. Podoba mi się to.

Brooke i Kathryn nie jedzą sera, tylko ja i Glenn. Wsadzam do sera również paluszki ziemniaczane i hot doga (takiego hot doga do jedzenia, a nie pieska Hot Doga). Próbuję też truskawki z serem, ale nie jest zbyt dobra.

Po jedzeniu biorę swój pusty talerz. Jednym z moich obowiązków w domu Wendy jest pomoc w sprzątaniu ze stołu.

– Dziękuję, River – mówi Kathryn z uśmiechem. I pokazuje mi, gdzie go postawić w kuchni.

Brooke pyta, czy nie chciałbym przespacerować się nad strumyk. Wychodzimy z domu. Dookoła nie ma ogrodzenia. Widzę jeszcze tylko jeden dom i to w oddali.

Brooke każe mi obejść duże mrowisko w trawie, ale mrówki biegają wszędzie i każda coś niesie, więc chcę popatrzeć. Ona mówi, że mogę obserwować mrówki, jeśli nie podejdziesz zbyt blisko. Mrówek jest tak dużo, że nie umiem ich policzyć.

– Jak podejdziesz za blisko, to pomyślą, że jesteś ogromnym potworem i wszystkie zaczną cię gryźć, żeby cię przepędzić – mówi Brooke. – Zobacz, w zeszłym tygodniu jedna mnie ugryzła. – I pokazuje mi czerwony znak na kostce nogi.

Nie chcę przestraszyć tych mrówek.

Brooke ma za domem prawdziwy strumień. Po obu jego stronach rosną drzewa. Wdrapujemy się na duży kamień i siadamy blisko brzegu. Mogę patrzeć w wodę. Na dnie widzę piasek i kamienie. Nie ma żadnych ryb, ale nad wodą bzyczą jakieś robale i słyszę też kumkanie żaby.

– To moje najukochańsze miejsce na świecie – mówi Brooke.

Moim ulubionym miejscem była szafa mamy. Tam zawsze było ciemno i Harry nie mógł mnie znaleźć. Ale myślę, że ten kamień jest lepszy.

Brooke robi ze swojego swetra poduszkę i kładzie się na plecach.

– Lubię patrzeć przez gałęzie drzew na chmury płynące po niebie – mówi.

Zwijam swoją kurtkę i kładę się obok niej. Pokazuje mi jedną chmurę i mówi, że jest podobna do wiewiórki. Moim zdaniem przypomina Hot Doga.

Podnoszę go do góry, żeby porównać jego kształt z chmurą.

– Masz rację – mówi Brooke. – Ta chmura rzeczywiście wygląda raczej jak Hot Dog.

Kiedy kładę się spać, mam zły sen. Budzę się i siedzi przy mnie Brooke, a nie Wendy. Chcę Wendy. Chcę Wendy. Chcę Wendy.

– Przykro mi, że jesteś przerażony i w nowym miejscu – mówi Brooke. – Wiem, jak się czujesz.

Gładzi mnie lekko po głowie, jak Wendy, kiedy mam złe sny. Wendy musiała obciąć mi włosy króciutko, bo Sean miał wszy i dał je też mnie. Lubię robaki, ale tych robaków nie lubiłem. Swędziały.

Brooke mówi, że w pokoju jest ciemno, i idzie rozsunąć zasłony.

– Teraz lepiej? – pyta, a ja kiwam głową. Na niebie jest mnóstwo gwiazd, całe mnóstwo, widać też księżyc.

– Chciałbyś, żebym ci coś zaśpiewała? Nie znam zbyt wielu kołysanek, zaledwie kilka. Tata mi je śpiewał, kiedy byłam małą dziewczynką i miałam złe sny.

Znowu kiwam głową, a ona bierze mnie na rękę. Siada w dużym fotelu przy oknie i śpiewa *Mrugaj, mrugaj malutka gwiazdeczko*. Wendy też mi to czasem śpiewała. Pod uchem słyszę uderzenia jej serca: bum, bum. Gwiazdy mrugają na niebie, jakby i one słuchały.

Brooke

Zazwyczaj przyszli rodzice adopcyjni spotykają się z dzieckiem w jakimś fast foodzie czy parku, zanim dostaną je na noc. Ale w naszym wypadku to niemożliwe. Na razie nie mogę pokazywać się z Riverem w miejscach publicznych, bo istnieje ryzyko, że szmatławce dowiedzą się o jego istnieniu, a plotki potrafią być wkurzające.

Spędził w domu Kathryn jeszcze dwa wieczory, podczas których oswajałam go z myślą o rozmowie z Reidem online. River, oczywiście, nie mówi – ale słucha.

Reid pokazał się raz w pełnym kostiumie – ze szpadą itd. River wpatrywał się w niego okrągłymi oczami, a Reid opowiadał o tym, jak zjeżdżał tego dnia na linie z pionowego klifu przy bardzo mocnym wietrze, który ciągle rozwiewał mu włosy, a wtedy reżyser krzyczał: „Cięcie”! i wołał, żeby ktoś spryskał mu włosy lakierem, kiedy on wisiał na linie.

– To wyglądało tak – powiedział Reid i postawił włosy pionowo do góry, czym wywołał uśmiech na twarzy naszego syna.

Naszego syna. Za każdym razem, kiedy to powiem, albo pomyślę, to sformułowanie wydaje mi się coraz mniej dziwaczne, a bardziej prawdziwe.

Następnym razem dostanę Rivera na noc już w LA. Spędzi u mnie trzy dni i noce, a u Rivera cztery. Kris będzie zdawać codzienne raporty sędziemu. Kiedy zapytałam prosto z mostu, czy sąd rozważa wcześniejsze oddanie nam dziecka w związku z problemami zdrowotnymi Wendy, powiedziała, że nie może ujawniać takich informacji. A potem uniosła brew i uśmiechnęła się.

W tym tygodniu nagrywam finałowy odcinek tegorocznego sezonu serialu *Życie to plaża*. Dziwnie się czuję, grając znowu z dawnymi kolegami, z których większość oddałaby wszystko za którąkolwiek z ról filmowych, które zagrałam po odejściu z zespołu. Są również dwie nowe dziewczyny, zatrudnione po moim odejściu jako zastępcze blondynki, co stawia mnie w pozycji osoby obrzucanej zjadliwymi spojrzeniami i obgadywanej za plecami. Jeżeli zdecyduję się wrócić do serialu, ich marzenia i zabiegi o pozycję czołowej dziwki prysną.

Jakie to smutne. Bardzo mi przykro.

Jeżeli oboje z Xavierem postanowimy przykleić się ponownie do serialu, scenarzyści dopiszą kontynuację gorącego romansu pomiędzy pełnoletnią już Kirsten i seksownym Kristopherem, który od dawna jest jej obsesją. Wreszcie dojdzie do namiętnej konsumpcji (w czasie tygodnia ratingowego, bez wątpienia), a potem zostanie oczywiście wymyślony jakiś powód ich rozstania. Fani będą co tydzień siedzieli wgapieni w ekrany telewizorów, szlochając i dysząc z pragnienia, żebyśmy zeszli się znowu – dopóki Stan i scenarzyści nie zdecydują wreszcie położyć ich znowu do łóżka – albo, co bardziej prawdopodobne, na jakiejś malowniczej, odludnej plaży – jakby takie miejsca były gęsto rozsiane wzdłuż kalifornijskiego wybrzeża.

Zieeew.

Xavier jest równie tępy jak zawsze. Jak zawsze teraz na ekranie działa między nami niesamowita chemia, więc Stan pieje z zachwyty nad własnym geniuszem z powodu ściągnięcia nas obojga do finałowego odcinka. Kręcimy scenę miłosną, co dla mnie oznacza dwie godziny wyginania ciał i miażdżących usta (w wykonaniu Xaviera) pocałunków, a na koniec Stan wyrzuca ramiona w górę i woła:

– Czyż nie jestem piekielnie błyskotliwy?

Jest taki nadęty i zadowolony z siebie, że mam ochotę go udusić. Ale już prawie skończyliśmy ujęcie i mamy za sobą długi dzień, więc tylko uśmiecham się sztywno, choć w swojej ślicznej, małej główce kreślę plany zamordowania go na tuzin najróżniejszych sposobów.

W niespełną godzinę później, w obecności całego zespołu i ekipy

technicznej, Stan szczerzy w przytulnym uśmiechu pokryte emalią zęby do Xaviera i do mnie.

– Widzę, że jak już zakosztowaliście oboje świata wielkiego filmu, zatęskniliście jednak za miłymi, stabilnymi pensjami z dużych sieci telewizyjnych, co?

Zupełnie jakbyśmy ponieśli klęskę na dużym ekranie, podobnie jak wielu pełnych optymizmu aktorów telewizyjnych przed nami.

Xavier mruczy coś w odpowiedzi, całkowicie skoncentrowany na kanapce z trzema rodzajami mięsa, którą przyniosła mu biegiem (dosłownie) jedna z rozchichotanych asystentek producenta – więc to może być pomruk zwierzęcej satysfakcji.

Ja trzymam język za zębami, choć z największym trudem, i milczę do chwili, kiedy wsiadam za kierownicę samochodu i dzwonię do Janelle, która zostawiła mi pięć czy sześć wiadomości. Nie fatyguję się, żeby je najpierw odsłuchać.

– Brooke! – piszczy tak, że ściszam dźwięk w telefonie. – Dostałaś propozycję!

Szajs! Zamierzałam ją błagać, żeby znalazła mi kolejną komedię romantyczną, operę mydlaną, cokolwiek – nawet serię reklam – byle na lepszym poziomie niż Stan, pod warunkiem, że zdjęcia będą kręcone na miejscu. Nie chcę z nią dzisiaj rozmawiać o *Papierowych oceanach*. W zeszłym tygodniu, kiedy dałam jej do zrozumienia, że najprawdopodobniej odrzucę tę rolę, zaczęła płakać. Nigdy nie słyszałam płaczącej Janelle i, na rany Chrystusa, mam nadzieję, że już nigdy nie usłyszę.

Nie wspominając już o tym, że ja sama rozpaczliwie pragnę zagrać tę rolę.

A po dzisiejszym dniu marzę o tym, żeby powiedzieć Stanowi: „wsadź sobie tę rolę Kirsten Wells, plażowego króliczka, w dupę”.

– Prowadzę samochód – mówię.

– Omójboże! Wiesz, co myślę, o rozmowach w trakcie jazdy!

Tak. Tak, wiem.

– To nie zostawiaj mi miliona wiadomości, kiedy filmuję, już myślałam, że ktoś umarł. Zadzwoń później.

– To niezbyt obiecująca reakcja. Brooke! Proszę. Nie. Odrzucaj. Tej. Roli.

– Wjeżdżam na autostradę! – Totalne łgarstwo.

– Okej, okej! Zadzwoń wieczorem.

Gównno.

Za godzinę spotykam się w nowym mieszkaniu ze swoją osobistą paparazzi. Pomimo zastrzeżeń Reida do mojego pomysłu wykorzystania Roweny, aby przedstawić światu Rivera, ja w nią wierzę – do pewnego stopnia, oczywiście, jedynie na gruncie zawodowym. Rowena zawsze pokazywała mnie w takim świetle, w jakim chciałam być pokazywana. Nigdy nie sprzedała zdjęcia, które mi

się nie podobało. Kilkakrotnie okazała się użyteczna do uciszenia plotek, których nie chciałam.

A jednak nigdy dotąd nie spotykałyśmy się w moim mieszkaniu. Mój dom był zawsze strefą zakazaną dla mediów – również dla Roweny. Nowy apartament znajduje się w ogrodzonym, strzeżonym osiedlu. Wchodzący i wychodzący są filmowani, a osób niebędących stałymi mieszkańcami zatrzymują strażnicy przy dużej, żelaznej bramie. Niepotwierdzonych gości odsyłają z kwitkiem.

Dzwonek do drzwi sygnalizuje jej przybycie.

– Cześć, Roweno. – Staram się nie być przerażająca.

Jest nieufna, jak dzikie zwierzę wabione przynętą w pułapkę, ale zbyt głodne, by oprzeć się pokusie. Ściskam jej rękę, czego chyba nigdy przedtem nie robiłam, bo jej dłoń jest maleńka. Widziałam, że Rowena jest chuda, niemal na granicy niedożywienia, ale z bliska wydaje się, że nie ma więcej sił od papużki. Nie pojmuję, jak może dźwigać cały ten sprzęt fotograficzny.

– Pani Cameron. – Skłania głowę na powitanie i z wahaniem wchodzi do środka. Jakby się obawiała, że to pułapka i lada chwila zostanie przyparta do ściany. Wielokrotnie prosiłam, żeby mówiła mi po mieniu, ale w końcu zrozumiałam, że nie zamierza tego zrobić i dałam spokój.

Przyniosła ze sobą sprzęt, ale schowany w zniszczonej czarnej torbie. Rozgląda się dokoła ukradkiem i niewątpliwie marzy o wyjęciu aparatu. Siadamy na mojej nowej kanapie, obchodząc wokół zrobiony z drzewa różanego stoliczek o zaokrąglonych rogach. Na jego środku stoi wierzba o różowych końcówkach, pod oknem jakieś drzewko w donicy, a wiele innych roślin, wiszących i stojących, zdobi najwyższe piętro domu od strony patio.

Zatrudniłam ogrodnika. Serio.

– Mam dla ciebie propozycję. Obejmuje ona informacje, które muszą pozostać w najgłębszej tajemnicy i, oczywiście, historię, którą pragnę zaprezentować światu – fotograficznie – w określonym świetle.

– Słucham. – Kiwa głową. Milknę na widok ambicji płonącej w jej oczach.

– To, co ci powiem, musi pozostać w tym pokoju. Na zawsze.

Rowena szerzej otwiera oczy. Wielokrotnie obdarzałam ją zaufaniem, ale nigdy wcześniej nie robiłam takich zastrzeżeń.

– Zawsze byłam w stosunku do pani bardziej niż fair, pani Cameron. I zgadzam się, oczywiście, nie rozgłaszać informacji, które mi pani powierzy.

Biorę głęboki oddech i patrzę jej prosto w oczy.

– Adoptuję syna.

Mruga oczami, dwukrotnie. Najwyraźniej nie tego się spodziewała.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję, ale to bardziej skomplikowane, niż się w pierwszej chwili wydaje, i dlatego właśnie jesteś mi potrzebna. To nie tykający zegar biologiczny

ani akt filantropii. Nie adoptuję obcego dziecka. Adoptuję własne, które oddałam zaraz po urodzeniu, cztery i pół roku temu. – Oczy Roweny wychodzą z orbit. Jeszcze nigdy nie widziałam takich emocji na jej twarzy. – Pewnie zadajesz sobie to samo pytanie, które będą zadać wszyscy: „kto jest tatusiem”? Masz szczęście. Jeżeli zgodzisz się zrobić zdjęcia nas trojga i przedstawić je nam do akceptacji przed publikacją, będziesz miała wyłączność.

Nie muszę jej tłumaczyć, że kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw, będzie dużo hałasu. Jeśli wybierze odpowiednią chwilę i wyprzedzi wszystkich innych, zbije fortunę.

– O, mój Boże – mówi. A potem robi coś, czego nigdy, przenigdy nie spodziewałam się po niej. Zalewa się łzami.

Brooke: Rowena umówiona.

Reid: Okej. Jaki masz plan?

Brooke: Myślę, że moglibyśmy wybrać się razem w jakieś miejsce pół publiczne i pozwolić jej zdobić „słodkie” fotki, podobnie jak to zaaranżowaliśmy w maju, z tobą i Emmą przed lotniskiem.

Reid: Cholera. Jak ona była w stanie mi to wybaczyć?

Brooke: Powiedziałaś jej prawdę we właściwym momencie, choć to stawiało cię w złym świetle. Podziwiałam cię za to. Nienawidziłam cię jak cholera, ale równocześnie cię podziwiałam. Byłeś lepszym człowiekiem ode mnie.

Reid: Cha, cha, cha.

Brooke: A więc, co powiesz na jakiś punkt widokowy na wzgórzach, wczesnym rankiem, w dzień powszedni? O rany! Już wiem, zrobmy to wtedy, kiedy będziemy go prznosić ode mnie do ciebie. Wymienimy się dzieckiem. Jak pary po rozwodzie.

Reid: Tak, doskonale. To przy okazji rozwieje również wątpliwości „czy oni są parą?”

Brooke: Okej, cool. Rowena w to wchodzi. Zatkąło ją, nota bene, że się przyłączyła. Chyba zdobyła nową fankę. Okazuje się, że ona jest samotną matką. Powiedziała, że jej facet ją bił. Odeszła w dniu, kiedy uderzył jej dziecko.

Reid: Jezu.

Brooke: Mówi, że zawsze mnie lubiła, bo ja nad nikim się nie znęcam, kupa śmiechu.

Reid: Cha, cha, cha. Prawda.

Reid: A wiesz coś więcej o *Papierowych oceanach*?

Brooke: Tak. Janelle odebrała dziś telefon – oficjalnie zaproponowali mi tę rolę. Ale cały czerwiec musiałabym spędzić w Australii. To niemożliwe.

Reid: Brooke. To twoja KARIERA. Powiedz tak. W czerwcu ja go wezmę.

Do tego czasu zakończę już prawdopodobnie zdjęcia. A jeśli nie, zostaną już tylko drobne dokrętki. River może pojechać ze mną do Nowego Jorku, z opiekunką, którą zatrudnimy. Będzie dobrze.

Reid: Chyba że wolisz *Życie to Plaża*...

Reid: Słyszałem, że ten Xavier to prawdziwy mistrz pocałunków...

Reid: A Stan to istna perła wśród producentów, bez śladu egocentryzmu...

Brooke: Ja płaczę... Cholera jasna! Jesteś pewien? Jesteś PEWIEN?

Reid: TAK. Doskonale sobie tutaj poradzimy bez ciebie. Tak będzie wyglądało jego życie. Przywyknie. Dam sobie radę. I tak, mogę ci nawet obiecać, że w razie potrzeby zadzwonię po radę do wszystkowiedzącego i wszechmocnego Grahama.

Brooke: Czy to w porządku, że w tej chwili prawie cię kocham?

Reid: Tak. A czy to w porządku, jeśli ci podziękuję za to, że pozwoliłaś mi cię wydymać?

Brooke: Boże, ale z nas dziwadła.

Reid: Cholera, rzeczywiście.

Rozdział 27

Dori

– Cześć, Deb. – Pochyłam się i całuję jej skroń, a ona mruga, ale poza tym jej twarz pozostaje nieruchoma, jak twarz figury woskowej. – Pomyślałam, że może znudziły ci się już tulipany, a akurat zakwitła jedna z róż taty. Różowa, wiem, że uważasz ten kolor róż za najbardziej banalny. Ale pachnie tak ładnie, że chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Wyrzucam ubiegłotygodniowe fioletowe tulipany do kosza na śmieci, wstaję i napełniam wazon świeżą wodą z umywalki w jej łazience. Minęło pięć tygodni od mojej ostatniej wizyty u siostry.

Pięć tygodni od pogrzebu Esther. Cztery tygodnie od wyjazdu z Reidem do San Francisco. Trzy tygodnie od ostatniej rozmowy z nim. Dwa tygodnie od jego ostatniego SMS-a, od ostatniej wiadomości głosowej.

– Lubię Cal. Moja współlokatorka, Shayma, pochodzi z Louisiany. Polubiłabyś ją. Jest na ekonomii, ale chodzi ze mną na zajęcia z pomocy społecznej.

Shayma nie pytała o Reida – ani o to, że od pewnego czasu o nim nie wspominam – od dawna, zapytała dopiero dwa dni temu. Kiedy jej powiedziałam, że od kilku dni nie miałam możliwości z nim pogadać, wydeła tylko usta i wymamrotała „uhm”, nic więcej.

– W tym semestrze mam same wstępy do rozmaitych przedmiotów, ale większość profesorów jest całkiem w porządku. I miałaś rację, kampus to fajne miejsce. W budynku wiedzy o życiu jest T-rex naturalnych rozmiarów. Tereny są przepiękne, ale zabudowa dość chaotyczna. I jest mnóstwo historycznych pamiątek – na przykład w jednym z budynków brakuje zewnętrznej klamki, ponieważ podczas protestów pięćdziesiąt lat temu studenci zamknęli drzwi na łańcuch, więc administracja usunęła jedną z klamek, żeby nie mogli tego zrobić ponownie. Na głównym placu grupy studentów rozdają ulotki i sprzedają rozmaite przedmioty, zbierając pieniądze na cele dobroczynne. Czasami stoliki konkurencyjnych grup są oddalone od siebie zaledwie o kilka stóp, ale członkowie tych grup odnoszą się do siebie zadziwiająco kulturalnie.

Przesuwam szczotką po krótkich włosach Deb i przypominam sobie, jak wyglądały przed wypadkiem. Miała piękne włosy do ramion, brązowe z kasztanowymi pasemkami, które sama robiła. Teraz są krótkie, matowe i kędzierzawe; notuję w pamięci, żeby następnym razem przynieść ze sobą odżywkę. Łyse placki po operacji wreszcie zarosły, ale blizna pooperacyjna z tyłu jej głowy pozostanie na zawsze.

– W Berkeley żyje się jak w małym miasteczku, choć miasteczkiem nie jest. Ale zdecydowanie nie przypomina LA czy San Francisco – co można wyraźnie zobaczyć z pewnych punktów kampusu, jeśli nie spowija ich mgła.

Fotel Deb jest ustawiony tak, żeby mogła „wyglądać” przez okno, co nie jest ani mniej, ani bardziej śmieszne od zabierania jej przez mnie na spacer do ogrodu. Rodzice twierdzą z uporem, że nie ma żadnych dowodów, iż Deb jest kompletnie nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje, ponieważ jej mózg przejawia pewną aktywność. W pewnym sensie jest to bardziej przerażające, niż gdyby z medycznego punktu widzenia pozostawała całkowicie bez reakcji. Nikt nie może stwierdzić z całkowitą pewnością, że nie zachowała w jakimś stopniu świadomości i tylko nie jest w stanie odpowiadać, aczkolwiek lekarze powtarzają niezmiennie, że aktywność jej mózgu jest zbyt niespójna, aby mogła świadczyć o świadomości.

Rodzice słyszą jednak tylko to, co chcą usłyszeć.

A ja nadal mówię do siostry, ponieważ muszę do kogoś mówić.

– Od pewnego czasu nie rozmawiałam z Reidem. Tęsknię za nim. Czasami wydaje mi się, że serce mi pęka i niemal tego pragnę.

Gdy byłam mała, miałam chroniczne infekcje ucha oraz babcię z niekonwencjonalnymi poglądami na to, jakie opowieści mogą pomóc choremu.

– Dawniej, za moich czasów, nie było antybiotyków – opowiadała mi podczas szczególnie bolesnego ataku choroby. – Błona bębenkowa puchła, aż wreszcie pękała z trzaskiem.

– Mamo! Nie opowiadaj jej takich okropnych rzeczy! – prosiła przerażona mama.

– Jak pękła, przestawało boleć! – prychała babcia. – I po problemie.

Ciągle czekam, aż moje serce pęknie z trzaskiem.

– On ma syna. Rivera. Myśli, że dlatego przestałam z nim rozmawiać, że jestem na niego zła, bo to przede mną ukrywał. Nie rozumie, że bez trudu mogłam mu to wybaczyć i zrozumieć jego decyzję. To prawda, że kiedy mi o nim powiedział i zobaczyłam zdjęcie chłopca w jego telefonie, poczułam się odepchnięta. Ale nie spowodował tego gniew.

Okrywam kocem kolana siostry i wyjmuję z jej szafy lekki sweter. Ubieranie jej przypomina ubieranie niemowlęcia – Deb nie pomaga mi, ale i nie przeszkadza, kiedy delikatnie zginam jej łokieć i wsuwam rękę do rękawa swetra.

Na dworze podejmuję naszą jednostronną rozmowę.

– Jestem strasznym tchórzem, boję się, że jeśli poznam Rivera, to stanie się dla mnie ważny. A kiedy skończy się historia z Reidem, stracę również jego.

Odnajduję nasze miejsce – ustronną ławeczkę otoczoną sięgającymi do pasa krzewami kamelii pokrytymi białymi kwiatami. Siadam, stawiam fotel Deb twarzą do mnie i patrzę w jej piękne, orzechowe oczy. Powoli mruga powiekami, jakby skupiała spojrzenie na czymś dalekim, znajdującym się ponad moim ramieniem. Jej

dłonie spoczywają na kolanach, tam, gdzie ułożyłam je przed opuszczeniem pokoju, a palce poruszają się, co niekiedy czynią – ale lekarze twierdzą, że to mimowolne ruchy.

– Wiem, powiedziałaabyś, że jestem strachliwa – mówię do Deb. – Tylko ty ujęłabyś to delikatniej, na przykład: „Dori, jesteś zbyt odważna, żeby zachowywać się w ten sposób”. To prawda, ale kiedy w grę wchodzi Reid, robię się tchórzliwa. Jeżeli z nim porozmawiam, to będę chciała uwierzyć we wszystko, co mi powie.

Łzy napływają mi do oczu, a serce ściska się boleśnie, ale nadaremnie czekam, aż pęknie z trzaskiem.

– Wiem, że go ranię i nienawidzę się za to. – Po jego ostatnim SMS-ie: „Proszę, na litość boską, nie rób tego znowu”, o mało nie poddałam się. Musiałam zmobilizować całą siłę woli, żeby nie odpowiedzieć. – Ale to byłoby nie fair zatrzymywać go przy sobie, choć nie mam mu nic do zaoferowania.

Ocieram z oczu łzy, nie pozwalając im spłynąć po policzkach.

– Jest coś, czego ci nie powiedziałam o decyzji, którą podjęłam cztery lata temu. – Wciążam drżący oddech. – Nie znalazłam złotego środka pomiędzy akceptacją i wyrzutami sumienia. Od czterech lat, każdego dnia, odczuwam jedno albo drugie. Czarne albo białe. Szarość nie istnieje. Mogłam to znieść tylko dlatego, że miałam ciebie. Kiedy cię straciłam, zaczęłam się pograżać w permanentnym poczuciu winy. Po raz pierwszy muszę dźwigać na barkach tę tajemnicę sama, próbuję zachować równowagę pomiędzy wizją dobrotliwego Boga a Boga, który dopuścił, by cię to spotkało – i czuję się tak, jakbym się zapadała w ruchome piaski.

Reid ocalił mnie przed pójściem na dno. Potrzebował mnie, żeby odkryć, kim mógłby się stać, ale w zamian pozwolił mi być sobą, czego dotąd prawie nie znałam. Zadowoliliam się tym szczęściem, dopóki trwało. I próbowałam dać mu szczęście, dopóki był mój.

– Deb – szepnęłam i pochyliłam się bliżej do niej. – Czuję w sobie pustkę. Jestem odseparowana od wszystkiego i wszystkich. Nic do mnie nie dociera, poza tym, co mnie rani. Mówiłaś zawsze, że pomaganie innym, nawet jeśli tylko będę należała do jakiegoś ruchu, zapewni mi stabilność emocjonalną. I z czasem pomoże mi zdefiniować i poznać na nowo samą siebie. Ale tym razem to nie działa. Nie wiem, kim jestem w relacjach z innymi ludźmi. Straciłam siebie.

Kiedy popołudniu wracam do domu, tata parzy „kazaniotwórczą kawę”, jak w każdą sobotę.

– Cześć, kochanie. Co u Deb?

Chciałam powiedzieć „bez zmian”, ale nie o to pytał.

– Róże wyglądają ślicznie, a kiedy wróciłyśmy ze spaceru, w całym pokoju

unosił się cudowny zapach.

Tata uśmiecha się.

– Nie przeszkadza jej różowy kolor, jak sądzisz?

Sądzę, że nie zauważyła, iż są różowe.

– Nie, tato. – Uśmiecham się i podaję mu kluczyki do hondy civic.

– Możesz je zatrzymać, jeżeli będziesz później potrzebowała samochodu – mówi.

Potrząsam głową.

– Nick po mnie przyjedzie. Wybieramy się na wczesny obiad, żeby nadrobić zaległości, bo jutro wraca do Winconsin. Nasze przerwy międzysemestralne wypadają jedna po drugiej, nie w tym samym czasie.

– O? Jaka szkoda. – Tata patrzy na mnie z nadzieją, a ja gryzę się w język, żeby nie ulec pokusie powiedzenia mu, że ten okręt już dawno odpłynął.

Tata chrząka; wiem, co powie, zanim jeszcze otworzy usta. Oboje z mamą są tacy przewidywalni.

– Spotkasz się w tym tygodniu z Reidem? – pada pytanie, kiedy zmierzam już w stronę schodów, odwrócona tyłem do niego, żeby nie widział mojej twarzy, żeby nie widział, jak zamykam oczy i wciągam powietrze przez nos, starając się, by głos mnie nie zawiódł.

– Nie. Chyba nie.

– O. Czy wy...

– Tato, nie czuję się jeszcze na siłach mówić o tym.

Na szczęście tata zostawia ten temat.

Nigdy nie będę czuła się na siłach mówić o tym.

Nick przychodzi w godzinę później. Dzwonek rozbrzmiewa w całym domu, a potem słyszę jego głos w holu – wymieniają z tatą uwagi na temat sezonu koszykarskiego Borsuków. Ojciec nigdy nie rozmawiał tak swobodnie z Reidem... ale muszę powstrzymać irytację z tego powodu. Teraz to już bez sensu.

– Cześć, Nick – mówię, schodząc po schodach. Rozpromienia się i ściska mnie, a kiedy wypuszcza mnie z ramion, pytam: – Czyżbyś urosł?

Unosi brwi z nadzieją.

– Nie wiem. Urosłem?

Śmieję się.

– Moim zdaniem tak! Chłopcy na pierwszym roku dodają tę przysłowiową piętnastkę do wzrostu, a nie do wagi jak dziewczyny! To okropnie nie fair.

Nick patrzy na mnie z góry i uśmiecha się.

– Rzeczywiście wydajesz się niższa.

– Zamknij się. – Daję ku kuksańca na niby i ruszamy do wyjścia. – Wróć trochę później, tato. Nie narozrabiaj tu, kiedy mama jest w pracy.

– To nie jest śmieszne, koteczku! – woła tata z udawanym oburzeniem

i śmiejąc się zamyka za nami drzwi.

Odwracamy się, żeby zejść z ganku, i zamieramy w bezruchu na najwyższym stopniu schodów.

Reid jest w połowie drogi do domu. Zatrzymuje się raptownie, dostrzegłszy mnie i Nicka. W ciągu dwóch sekund na mojej twarzy pojawia się uśmiech, po czym zaraz znika. Reid zdejmuje ciemne okulary, patrzy na Nicka, a potem na mnie. Zaciska zęby i pięści, wszyscy stoimy jak wmurowani. Jest ewidentnie wściekły, ale przy tym tak piękny, że z trudem znoszę patrzenie na niego.

– Dori? – Nick przerywa w końcu pełne napięcia milczenie.

– Czy mógłbyś poczekać na mnie w samochodzie, Nick?

– Jesteś pewna... – Zerka na Reida.

– Tak. Wszystko będzie dobrze.

Oczy Reida kierują się na mijającego go Nicka. Nick, pomimo ponadprzeciętnego wzrostu, jest niższy i smuklejszy, Reid wydaje się w porównaniu z nim masywniejszy i silniejszy. Nick omija go z daleka, unikając kontaktu wzrokowego, i zmierza do sedana, który pożyczył od matki na ten wieczór. Nieskazitelne ferrari Reida stoi zaparkowane tuż za nim.

Zaczynam schodzić ze schodów.

– Reid. Co ty... – Przełykam dławiącą gulę i zaczynam jeszcze raz. – Co ty tutaj robisz?

On patrzy, jak się zbliżam, ale nie robi kroku w moją stronę.

– Przestałaś ze mną rozmawiać, Dori. Przyjechałem sprawdzić dlaczego. – Ogląda się przez ramię na Nicka, który czeka przy drzwiach samochodu, opierając ramiona na dachu i obserwuje nas. – A może powinienem uznać, że to jest odpowiedź? – Kiedy ponownie kieruje na mnie spojrzenie, w jego oczach widzę autentyczny ból.

Potrząsam głową i podchodzę do niego.

– Nie. Nick nie ma nic wspólnego z nami.

– Czy jeszcze można mówić o jakichś nas, Dori? – Drgnęłam, słysząc nieskrywaną udawkę w głosie Reida. Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale natychmiast opadła wzdłuż boku. – Złożyłem ci pewne obietnice i zamierzałem ich dotrzymać. Wiem, że postąpiłem źle, ukrywając przed tobą istnienie Rivera, i jestem gotów zrobić wszystko, żeby to naprawić. Ale musisz ze mną rozmawiać. Jeżeli chcesz zerwać, to powinnaś mi wyjaśnić dlaczego. Nie możesz tak po prostu zniknąć, jak poprzednio.

Mama powiedziała mi o tym, że dzwonił, ale jej pamięć okazała się podejrzenie zawodna, jeśli chodzi o przebieg tej rozmowy. Z jego perspektywy moje wycofanie się wygląda tak samo jak wtedy. Ale ostatniej jesieni uległam naciskowi rodziców. Tym razem chodzi wyłącznie o mnie i moje własne demony.

– To nie jest tak jak poprzednio.

– Nie? – pyta Reid miękko.

Moje serce ściska się rytmicznie zamiast bić.

– Nie możemy rozmawiać o tym teraz...

– Bo randka z innym facetem jest dla ciebie ważniejsza?

Krzywię się, słysząc w jego głosie oburzenie – szybko przechodzi od bólu do gniewu.

– Nick jutro wyjeżdża. Mamy plany na dzisiaj.

Reid patrzy na mnie twardo, milcząc.

Kładę dłoń na jego przedramieniu i wyczuwam, jak napinają się jego mięśnie. Jakby osłaniał się tarczą przed moim dotykiem. A przynajmniej jakby chciał to zrobić.

– Możemy porozmawiać jutro, Reid? Proszę...

Wzdycha, napięcie ustępuje z jego ramion. Ostrożnie, jakby bał się mnie przestraszyć, podnosi rękę, unosi palcem mój podbródek i zagląda mi w oczy.

– A będziesz ze mną rozmawiać, Dori?

Jego kciuk wsuwa się w zagłębienie w mojej brodzie, jakby chciał tam pozostać na zawsze, ale potem przesuwa się wyżej i obrysowuje moją dolną wargę. Pochyla głowę, żeby mnie pocałować, a moje ciało reaguje natychmiast, nie bacząc na to, że ten pocałunek rozdziera mi serce. Moje spragnione usta same się rozchylają, a wszystkie racjonalne argumenty, dlaczego nie powinnam ulec jego pragnieniom, w jednej chwili tracą znaczenie. Reid obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, wręcz natarczywie, a moja dłoń przesuwa się w górę po jego ramieniu, wślizguje się pod rękaw T-shirta i zaciska na bicepsie.

Chcę tego. Potrzebuję. I on o tym wie, całując mnie.

Muska językiem mój język, jest zaborczy i delikatny zarazem, a ja niczego nie pragnę bardziej, niż owinąć się wokół niego i pozwolić się zanieść w jakieś miejsce, w którym nie będę musiała myśleć. W miejsce, w którym nie ma strachu i poczucia winy, nie ma dobra i zła, nie ma kary boskiej ani bezsensownych wypadków, ani nieokreślonych stanów.

Odsuwa się wreszcie, jego pierś unosi się i opada wraz z moją.

– Wrócę jutro po południu – mówi, odwraca się i wyjmuje z kieszeni kluczyki, nie oglądając się za siebie. Całkowicie ignoruje Nicka; wsiada do samochodu i odjeżdża.

Chwiejnym krokiem podchodzę do Nicka i uświadamiam sobie niejasno, że w ciągu ostatnich kilku minut co najmniej troje sąsiadów wyszło z domu, żeby pozamiatać czyste chodniki, albo opróżnić puste skrzynki na listy, i widziało, jak Reid Alexander mnie całuje.

Reid

Gdy tylko Immaculada opuszcza kuchnię, pojawia się mama z filiżanką w ręce i podchodzi do imponującego ekspresu, który prawdopodobnie potrafi zrobić wszelkie możliwe rodzaje kawy. A skoro tak, jest szansa, że zaparzy też normalną kawę.

– Reid? – Mama odsuwa sąsiedni stół i ogląda się przez ramię na zegar nad piekarnikiem. – Boże, ale dziś wczesnie wstałeś – zauważa i siada obok mnie.

Wzruszam ramionami.

– Chyba jestem jeszcze w trybie roboczym. W poniedziałek zaczynamy zdjęcia w Universal.

– Tak szybko?

Unoszę brew.

– Czas to pieniądz, Lucy.

Mama śmieje się z mojej przerysowanej parodii zachowania ojca i wszystkich hollywoodzkich producentów.

A prawda jest taka, że nie mogłem spać przez większą część nocy, rozmyślając o tym, jak Dori zareagowała na pocałunek. Ona nadal mnie pragnie. Nieważne, co mówi – czy czego nie chce powiedzieć i z tego powodu odmawiała rozmowy ze mną. Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, jej uniki wydają się jeszcze bardziej podejrzanym, bo widywałem już zagniewaną Dori, a w jej wczorajszym zachowaniu nie dostrzegłem ani śladu gniewu, nawet w obliczu mojej ewidentnej zazdrości o jej przyjaciela.

Doktor Shaw byłby szczęśliwy, gdyby się dowiedział, że nie przywaliłem grubym słowem (ani pięścią) Nickowi – facetowi, którego ubiegłego lata podczas Habitat omyłkowo wziąłem za jej chłopaka, bo w oczywisty sposób chciał być jej chłopakiem. Jeśli wziąć pod uwagę, że wczoraj przez dwie minuty podejrzewałem, iż to z jego powodu Dori nie chce ze mną gadać, uważam, że wykazałem się nadzwyczajnym opanowaniem.

– Pokój Rivera jest już gotowy – mówi mama, przerywając moje rozważania.

– Mamo, na pewno nie masz nic przeciwko obecności Rivera? Oboje z tatą myśleliście, że już lada dzień pozbędziecie się mnie z domu, wiem o tym. A wygląda na to, że nie mogę sobie pozwolić na mieszkanie osobno.

Mama uśmiecha się i przykrywa dłonią moją rękę.

– Reid, ten dom ma dziesięć tysięcy stóp kwadratowych, z kilkoma garderobami lub bez nich. Mamy służbę, która jest z nami od lat i która zasługuje na pełne zaufanie. Dom zapewnia prywatność. Zapewnia bezpieczeństwo. To dla niego doskonałe miejsce. I dla ciebie, na razie. Nie na zawsze – na razie.

Kiwam głową. Nadal nie mogę wyjść ze zdumienia, w jaki sposób moi rodzice zareagowali na tę sytuację.

Mama popija swoją kawę, a ja swoją. Oboje jesteśmy zatopieni we własnych

myślach. I nagle mama przerywa milczenie.

– Od dłuższego czasu rzadko wspominasz o Dori – mówi. – Jak się czuje jej siostra? I jak jej poszedł pierwszy semestr na Berkeley?

Potrząsam głową.

– Nie mam pojęcia, ani co do pierwszego, ani co do drugiego.

– Hmm. – W tym jej „hmm” nie wyczuwam specjalnego zaskoczenia.

– Kiedy ją spotkałem, widziałem w niej tylko altruistkę, osobę czyniącą dobro. Widziałem dziewczynę bez makijażu, noszącą najmniej prowokujące ciuchy, jakie tylko można sobie wyobrazić – szczególnie kiedy wiadomo, że ja znajdę się w pobliżu... – Mama przewraca oczami i potrząsa głową, patrząc na mnie. – ...i spodziewałem się, że będzie nudziarą. Codziennie chodziła w T-shirtach, wspierała wszelkie możliwe zbożne cele i uznałem ją za krytyczną, łatwo ferującą wyroki świętoszkę.

Podczas naszego pierwszego obiadu na mieście Dori przyznała, że jest nieco świętoszkowata. Temu wyznaniu towarzyszył filuterny uśmiezek, który później zacząłem celowo wywoływać. To był chyba ten moment, w którym się w niej zakochałem.

– Ale bardzo się co do niej myliłem. Nawet kiedy kwestionowała swoją dobroć, potrafiła dostrzec coś dobrego we mnie. A potem jej siostra miała ten wypadek. To ją załamało. Odebrało jej wiarę we wszystko. – Przygryzłem wewnętrzną stronę wargi. – We wszystko, poza mną. Jakimś cudem zachowała wiarę we mnie. A ja ją potem okłamałem. Mogę sobie wmawiać, że to nie było kłamstwo, tylko przemilczenie, jakby to było coś innego. Coś mniej poważnego. Ale to jednak pozostawało kłamstwem i wiedziałem o tym każdego cholernego dnia, w którym jej o tym nie mówiłem.

– Reid, jeżeli ona straciła wiarę w Boga, to nie od ciebie zależy...

– Tak, ode mnie. Ona próbowała, mamó, bardzo się starała ją odbudować. Ale potem umarł jej pies, a ja nie powiedziałem jej o Riverze. Teraz mam syna, od którego nie mogę się odwrócić...

– Oczywiście, że nie możesz. Dori nie oczekiwałaby tego. Nie chciałaby tego. Na pewno nie.

– Ale jestem rozdarty. Nie wiem, jak to naprawić. Jak mam to naprawić? – Patrzę w oczy mamy, takie same jak moje, wpatrzone we mnie. – Nie mogę jej stracić. Kocham ją.

– Widzę, Reid. Ale jeśli w ciągu ostatnich miesięcy czegoś się nauczyłam – a myślę, że i ty również – to tego, że ludzie muszą sami siebie naprawić. To jedyny sposób, który daje nadzieję na to, że zmiana będzie trwała. – Mama ściska moją rękę.

Z jej serdecznego palca mruga na mnie ogromny, nieskazitelny brylant o okrągłym szlifie, który mój ojciec wręczył jej, przyklękając na jedno kolano,

kiedy byli młodzi.

Nie tak młodzi jak ja dzisiaj.

Tata miał dwadzieścia dziewięć czy trzydzieści lat, kiedy oświadczył się mojej matce. Miał trzydzieści pięć lat, kiedy urodziłem się ja, jego jak najbardziej legalny syn. Trzydzieści pięć. Nie piętnaście. Nie był takim cymbałem, któremu nie przyszło nawet do głowy, że dziewczyna, z którą uprawiał seks – dziewczyna, z którą się kochał – mogła zajść z nim w ciążę, niezależnie od tego, co robiła potem i z kim.

Mama podążyła za moim spojrzeniem, zerka na swoją rękę i potem znowu na mnie. Przechyliła głowę na bok.

– Reid?

– Mamo. Muszę cię o coś zapytać.

Naciskam dzwonek przy drzwiach Cantrellów i słyszę dobiegający z głębi domu melodyjny świergot, ponieważ wszystkie okna i drzwi są szeroko otwarte. W LA jest piękny, wiosenny dzień.

– To do mnie! – woła Dori, zbiegając po schodach. Zawiadamia mnie w ten sposób, że jedno z rodziców, lub oboje, są w domu. Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy usłyszałem jej głos, uderza mnie jego melodyjne brzmienie.

Po chwili Dori pojawia się stopniowo w polu widzenia – najpierw widzę na schodach jej białe stopy, potem idealnie zgrabne nogi w szortach koloru khaki, następnie jeden z jej najpaskudniejszych podkoszulków – batikowany T-shirt z nadmiarem kolorów, które zlewają się w obrzydliwy brąz. Z nadrukiem programu propagującego śpiew chóralny wśród nastolatków, sponsorowanego przez chór z jej szkoły średniej. I wreszcie w polu widzenia pojawia się śliczna twarz Dori.

Jak mogłem kiedykolwiek uważać ją za pospolitą? Musiałem być ślepy.

– Wiesz, że nie odstraszyś mnie tym obrzydliwym podkoszulkiem – mówię, kiedy podchodzi do siatkowych drzwi.

Otwiera i spogląda po sobie.

– Na większość osób to działa. Mogę stać na ganku w charakterze stracha na wróble, nikt się nie zbliży.

– Poza mną. – Przyciągam ją bliżej i obejmuję. – Wiesz, kiedy trzymam cię naprawdę bardzo blisko, to właściwie go nie widzę. W dodatku jest bardzo mięciutki, nawet jeśli to najbardziej odrażający T-shirt, jaki kiedykolwiek wyprodukowano.

Jej wargi drgają.

– Wygląda trochę tak, jakby ufarbowano go w kale.

– Tak, to prawda – śmieję się.

Chciałbym ją porwać na ręce, zanieść do sypialni i zdjąć z niej ten

podkoszulek. Ale w tej chwili to nie wchodzi w grę. Po pierwsze, w domu są jej rodzice. A po drugie, musimy porozmawiać.

Dori odwraca ode mnie wzrok, jakby umiała czytać w moich myślach. Na szczęście dla mnie związała włosy w koński ogon i jej odsłonięte, zaróżowione uszy mówią mi, że ona potrafi czytać w moich myślach. Przygryza wargę, co zdradza jej wewnętrzny niepokój.

Czas być poważnym, choć najchętniej pomógłbym jej pozbyć się tego niepokoju.

Biorę ją za rękę i prowadzę w stronę kanapy. Na suficie nad naszymi głowami wiruje wentylator. Posłanie Esther nadal stoi w kącie, choć kolekcja jej zabawek została już spakowana. Krzewy róż na podwórku pyszną się wieloma kolorami, a przez otwarte okna napływa ich aromat, równie silny jak w oranżerii. Choć dom moich rodziców jest taki luksusowy, uwielbiam ten. Sypialnię Dori utrzymaną w barwach morza i tę rybę płynącą po jej suficie. Myślę, że River też by ją pokochał.

Ręka Dori spoczywa w mojej, dłonią do góry. Obrysowuję kształt jej palców i staram się ją uspokoić. Oczy ma nadal spuszczone, obserwuje, jak mój palec przesuwają się po jej skórze. Dzięki wczorajszemu pocałunkowi wiem, że mnie pragnie, ale ona zawsze umiała odpychać od siebie pożądanie. Jeśli nie pogłębimy naszych relacji – jeśli Dori nie dopuści mnie do siebie, dalej, poza reakcję czysto fizyczną, nie zdołam jej zatrzymać.

– Przepraszam, że ci nie zaufałem – mówię, a ona marszczy czoło, podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. Nie takiego wyznania się spodziewała. Dobrze. – Bałem się, co sobie o mnie pomyślisz, jeśli – lub kiedy – dowiesz się o Riverze. Ale ty byłaś jedyną osobą, która zawsze dostrzegła we mnie coś wartościowego i pomagałaś mi to zobaczyć – i powinienem był pokładać w tym zaufanie.

Przypominają mi się słowa wypowiedziane przez nią, kiedy dowiedziała się o Riverze: „Postępujesz właściwie i jestem z ciebie dumna”. Jej oczy robią się szkliste i kiedy obejmuję dłońmi jej twarz, uderza mnie nagle odkrycie. Do diabła ciężkiego, jak mogłem tego nie widzieć?

– Ty wierzyłaś we mnie – ale nie we mnie z tobą.

I przez to wszystko. Dori zamyka oczy i już wiem, że mam rację.

– Kochasz rodziców, ale myślisz, że cię nie znają. Możesz nadal wierzyć w Boga, ale nie w to, że Mu na tobie zależy. Zrywasz więzi, starając się chronić siebie. Ale, kochanie, to nic nie da. Jestem tu, żeby ci powiedzieć: to nic nie da.

Nagle Dori zaczyna płakać, a ja modlę się w duchu, żeby ta rozmowa nie oddaliła jej jeszcze bardziej ode mnie.

Wstaję i wyciągam z kieszeni małe kwadratowe pudełeczko. Klękam przed nią, nasze oczy znajdują się na jednym poziomie.

– Dori, ja wierzę w nas. Nie wiem, jak inaczej mógłbym ci udowodnić, że

chcę być z tobą na zawsze. – Otwieram pudełeczko i kładę je na jej otwartej dłoni. Dori głośno wciąga powietrze. – Babcia zapisała mi ten pierścionek w testamencie, żebym dał go kobiecie, z którą będę chciał spędzić całe życie. Umarła sześć lat temu, nie wiedziałem wtedy, co mi przyniesie przyszłość – że w moim życiu pojawi się ktoś taki jak ty. Że pojawi się w nim River. Nie wiem, gdzie rzuci mnie los za następnych sześć lat, ale wiem, że chciałbym, abyś ty była tam ze mną. Z nami.

Dori wpatruje się w ogromny szafir otoczony drobnymi brylancikami w platynowej obudowie. Nie mówię jej, że ten pierścionek należał również do mojej praprababki. Pradziadek ze strony matki należał do tych cwaniaków, którzy wycofali pieniądze z giełdy na kilka miesięcy przed krachem i uchronił swoją rodzinę przed niewypłacalnością w czasach, gdy wielu z jego kolegów straciło wszystko. Ich syn ofiarował ten pierścionek mojej babci, ten ominął jedno pokolenie i trafił do mnie.

Zamykam pudełeczko i zaciskam wokół niego palce Dori.

– Weź go. Chcę włożyć ci go na palec, kiedy będziesz gotowa go przyjąć. Chcę, żebyś poznała mojego syna. I żebyś zgodziła się wejść do mojego świata – bo cię w nim potrzebuję. Te medialne brednie to tylko PR. Bułka z masłem dla ciebie, zaufaj mi. Znam setki osób gotowych pomóc nam je zdemaskować. Pozwól, żebym ci pomógł odbudować wiarę, bo ona stanowi o tym, kim jesteś, a ja cię kocham taką, jaka jesteś.

– Pamiętasz, jesienią, kiedy potrzebowałam stać się beztroska, powiedziałem ci, żebyś mnie wykorzystwała? Teraz przyszedł czas, żebyś stała się nieustraszona. Nie mogę ci obiecać, że nie zostaniesz znowu zraniona, bo życie potrafi dokopać. I czasami to boli jak diabli. Proszę cię tylko, żebyś uwierzyła w jedno, na początek: że kiedy jesteśmy sami, ja jestem tylko Reidem, a ty tylko Dori i że będziemy się kochać przez całą resztę życia.

Dori wpatruje się we mnie, zaciska w dłoni aksamitne pudełeczko. Pochylam się i całuję ją, czuję słone łzy, moje, czy jej, nie wiem.

– Przyjdź do mnie, kiedy będziesz gotowa stać się nieustraszona. Chyba że możesz patrząc mi prosto w oczy powiedzieć, że mnie nie kochasz.

Nic nie mówi, jej dolna warga drży. Całuję ją jeszcze raz i wychodzę.

Rozdział 28

Brooke

– Brooke – odbiera Janelle. – Proszę, powiedz, że dzwonisz, aby powiedzieć tak *Papierowym oceanom*.

– Dzwonię, żeby powiedzieć tak *Papierowym Oceanom*.

– Och, dzięki BOGU! – Moja agentka zaczyna pisać z radości, więc gwałtownie odsuwam telefon od ucha. Jee-zu.

– Janelle, mam jeden warunek – krzyczę do telefonu.

Piski cichną.

– Okej. Miejmy to już za sobą. – Wzdycha. – Jestem twoją agentką, urodziłam się po to, żeby mi dokopywano i żeby mnie opieprzano. Wal.

Uch. Co za dramatyzm.

– Obejdzie się bez dokopywania. Ten jeden warunek dotyczy Stana, powiedz mu, żeby uśmiercił Kirsten Wells, bo ona już nigdy nie wróci na tę przeklętą plażę.

Janelle piszczy z uciechy.

– Okej... Poważnie? Po tym, co ci powiedział podczas zdjęć w tym tygodniu, może mnie pocałować w...

– Więc dobrze! – przerywam, nie dając jej dokończyć myśli. Z zaskoczeniem stwierdzam, że wolę, aby to pozostało niedopowiedziane. – Zgadzą się w tej sprawie. Do czerwca jestem niedostępna, z wyjątkiem okazjonalnych, wymaganych przez PR-owców wywiadów i tych spotkań przed zdjęciami, kiedy producenci zażądają mojej obecności. Przez ten czas będę krążyła pomiędzy LA i Austin.

– O, więc jednak przeprowadzasz tę adopcję? – W jej głosie wyczuwam niedowierzanie.

Zaciskam zęby. Janelle jest przekonana, że należę do kobiet, które nigdy, przenigdy nie będą mieć dzieci. Ja również tak sądziłam, do niedawna. Awersja do rodzicielstwa była czymś, co nas łączyło. Nie mogę oczekiwać, że nagle zmieni stosunek do moich nowych priorytetów – aczkolwiek oczekuję, że będzie brała je pod uwagę w pracy.

– Tak. Reid zgodził się wziąć go na czas mojego pobytu w Australii. W czerwcu ma przerwę pomiędzy filmami.

– Ha. Jestem pod wrażeniem. Wy dwoje zachowujecie się lepiej niż większość moich dzieciatych, rozwiedzionych znajomych, choć oni mają po trzydzieści, czterdzieści lat. Te biedne dzieciaki są szarpane przez obie walczące strony, są kartą przetargową w rękach nienawidzących się rodziców. Ja, dzięki Bogu, nie muszę już nigdy rozmawiać z żadnym z moich wypindrzonych eks.

Instynktownie czuję, że nigdy nie będę miała tego typu problemów

z Reidem. Pomimo swoich dawnych i obecnych przewinień, zachował się w sposób, jakiego się po nim nie spodziewałam. Gdyby nie Dori, mogłabym znowu się w nim zakochać.

Ale on ją kocha. A ja bardzo potrzebuję jego przyjaźni, ze względu na Rivera i ze względu na siebie. Dostałam nauczkę z Grahamem, którego przyjaźń jestem zdeterminowana odzyskać. Z czasem. Jeśli Emma pozwoli.

– Głowa w górę, Janelle. Rowena ma zrobić ekskluzywne zdjęcia Reida, Rivera i mnie. „Złapie” nas, kiedy będziemy po raz pierwszy wymieniać się dzieckiem. Przewiduję, że bomba wybuchnie pod koniec tygodnia. Zastanów się, komu dać tę bajeczkę do druku. To powinno się ukazać równocześnie.

– Wow. Wykorzystujesz Rowenę? – pyta Janelle. – To będzie bombowa historia! Same zdjęcia, zamiast oficjalnego ogłoszenia. Masz jaja. Czemu mnie to nie dziwi? Oczywiście wchodzisz w to tak samo, jak we wszystko inne: rzucasz się głową naprzód.

Nie mogę z tym dyskutować.

– Muszę kończyć. River będzie tu lada chwila.

– Dzięki za wspaniałe nowiny! – piszczy Janelle. – Będziemy w kontakcie!

Muszę kupić zatyczki do uszu.

Nigdy w życiu nie robiłam tak dużo tartego sera, a pochodzę ze środkowego Teksasu. Ale River lubi zanurzać w tartym serze wszystko co je, a ponieważ powinien nabrać ciała, pediatra dał mi zielone światło na nieograniczone ilości sera w jego diecie. Dla mojego syna wszystko – poza owocami – jest lepsze po zanurzeniu w serze. Ale jeśli dam dziecku kawałek panierowanego kurczaka, zielony groszek czy seler naciowy, natychmiast trafia do miski z serem.

Zrobiłam również coś, do czego Kris nie była całkiem przekonana: kupiłam mu do sypialni podręczną lodówkę.

– Chyba to nie najlepszy precedens – powiedziała Kris, ale wiem, że pomyślała też o tym samym, o czym myślałam ja, kiedy ją kupowałam: przynajmniej jedzenie, które chowa, nie będzie się psuło. Może dzięki temu będzie to robił otwarcie, co w rezultacie doprowadzi po pewnym czasie do tego, że przestanie odczuwać potrzebę chowania jedzenia.

River lubi też od czasu do czasu przesiadywać w swojej szafie, za niemal całkowicie zamkniętymi drzwiami. Zrobiliśmy więc w głębi coś w rodzaju namiotu z koców i poduszek, daliśmy mu również latarkę, ale i tak czasami siedzi po ciemku. Kiedy nie mogę go znaleźć, wiem, gdzie jest. Siadam na jego łóżku i wołam, jakby od niechcienia, że czas na lunch, albo na kąpiel, czy na piżamę i książkę. I w końcu wyłazi, zawsze ściskając Hot Doga, któremu już wkrótce również będzie potrzebna kąpiel. Jego futerko aż się lepi od najrozmaitszych

rzeczy i, co nie dziwi, wiórków sera.

– Cześć, River – mówię, jakby to było najnormalniejsze w świecie, że dziecko przesiaduje w ciemnej szafie. On wspina się na łóżko i siada obok mnie, a ja uśmiecham się, choć pęka mi serce, że mój syn odczuwa potrzebę chowania się. Że nie otrząsnął się jeszcze z przerażenia. Że jeszcze nie zaczął mówić.

Miałam go u siebie przez trzy dni, a teraz pojedzie z Reidem do jego domu.

– W tym tygodniu raz miał zły sen – mówię po cichu do Reida, kiedy River podchodzi do barierki w punkcie widokowym i patrzy na wielki napis Hollywood widoczny w oddali. Wyciąga paluszek i obrysowuje w powietrzu kształt liter. – Krzyczał: „Nie” i „Nie bij mamy”. Ale był pogrążony w głębokim śnie.

– Jezu – mruczy Reid, obserwując Rivera. Oboje uśmiechamy się szeroko, bo Rowena stoi w pobliżu i pstryka zdjęcia. Uśmiech na mojej twarzy jeszcze nigdy nie był tak nienaturalny.

– Zadzwoń do ciebie, gdybym miał jakieś problemy. – Reid spogląda na mnie z góry z niekłamaną troską w oczach. – Miej włączony telefon przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Uśmiecham się do niego.

– Poradzisz sobie doskonale. Ale tak, będę miała zawsze telefon włączony i przy sobie przez najbliższe cztery dni.

Drugim ulubionym miejscem Rivera jest ogromna piaskownica w moim ogrodzonym patio. Przysłał mi ją tata z liścikiem: *Brooke, dałem taką samą Evanowi i on ją uwielbia. Pomyślałem, że Riverowi również się spodoba. Enan zaczyna grać jako napastnik w drużynie piłki nożnej, a ja jestem pomocnikiem trenera. Rory interesuje się samochodami, więc w czasie długiego weekendu wybieramy się na samochodowy show w NYC. Dzięki za radę. Była idealnie trafiona. Kocham cię, tata.*

Reid planuje zabrać Rivera na prywatną plażę należącą do rodziców Johna.

– John uznał, że został wujkiem – mówi Reid. – Muszę wybić mu z głowy kupowanie Riverowi sportowego samochodu dla dzieci. – Kręcę głową. Cały John.

– Zapakowałaś mu ten buldożer, który – jak mówiłaś – tak lubi?

Kiwam głową.

– I dźwig. Żebyście obaj mogli się bawić.

Wybuchamy śmiechem i River odwraca się, żeby na nas popatrzeć. Jego urocza drobna buzia jest bardzo poważna, ale przynajmniej nie ponura.

– Gotów do drogi, chłopie? – pyta Reid i kuca. River wchodzi prosto w jego ramiona, a ja przygryzam wargę i odwracam twarz w przeciwną stronę, niż stoi Rowena, dopóki na moje usta nie wróci sztuczny uśmiech. Obserwuję, jak Reid przypina Rivera do fotelika dla dzieci na tylnym siedzeniu ojcowskiego SUV-a i podaje mu Hot Doga.

– Domyślałam się, że Immaculada dorwie tego psiaka któregoś dnia – mruczy

– i wrzuci do pralki.

– To dobrze – odpowiadam równie cicho. – W obecnym stanie, gdybyśmy go przyłożyli do ściany, to by się do niej przykleił. – Przesuwam dłonią po miękkich włoskach Rivera, falujących i w takim samym odcieniu słonecznego blond jak włosy Reida. – Do widzenia, River. Baw się dobrze z Reidem i do rychłego zobaczenia. – Pochyliłam się, żeby pocałować go w czoło, a on zwraca się buzią w moją stronę. Nie oddaje mi pocałunku, ale przyjmuje mój.

Mówiłam zawsze, że nigdy nie będę potrzebowała mężczyzny i żaden chłopak mnie nie zatrzyma.

Myliłam się.

Dori

Ja: Jestem gotowa porozmawiać, jeśli jesteś wolny.

Reid: River jest u mnie drugą noc. Chodzi spać o ósmej. Mama właśnie mu czyta. Wygląda na bardzo śpiącego.

Ja: O! Nie chcę przeszkadzać ci w czasie, kiedy go masz.

Reid: Przyjedź o dziewiątej. On będzie już w łóżku, więc w niczym nie przeszkodzisz. Proszę, przyjedź.

Ja: Na pewno nie będzie za późno?

Reid: Nic podobnego, Dori. Otworzę bramę, zaparkuj na swoim zwykłym miejscu.

Mam swoje miejsce, choć od ponad dwóch miesięcy na nim nie parkowałam.

Biorę głęboki oddech i patrzę na dom, w którym wychowywał się Reid. Przypomina mi zamek – piękny potworek architektoniczny. Ale dla niego to po prostu dom. Nie postrzega świata tak jak ja – nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że to jest jego rzeczywistość. Jego rzeczywistość to życie celebryty. Jego kariera. Jego reputacja. Jego syn.

I chce, żebym i ja się stała częścią jego życia.

Mama po kryjomu podsłuchiwała naszą niedzielną rozmowę. Nie wiedziałam o tym aż do następnego dnia. Stała w drzwiach mojego pokoju i zapytała, czy mam chwilę na rozmowę, kiedy segregowałam uprane rzeczy – wieszałam w szafie te, które będą mi potrzebne przez nadchodzący tydzień w domu, a pakowałam te, które zamierzałam zabrać z powrotem do Cal w czasie następnego weekendu.

– Jasne, mamo. Kayla i Aimee wpadną po mnie dopiero za kilka godzin.

Przyjaciółki zaplanowały wspólny wieczór, obejmujący film *Serca nad Manhattanem*, nie mając oczywiście pojęcia, że gra w nim matka dziecka Reida – którego istnienie pozostaje jeszcze ciągle tajemnicą.

Mama przysiadła na brzegu łóżka i rozejrzała się po moim schludnym

pokoju.

– Tęskniłam za tobą, Dori. Kiedy Deb wyjeżdżała do college’u, ciężko mi było patrzeć na jej odjazd, ale w domu nie zapanowała cisza – choć oczywiście zrobiło się spokojniej.

Deb, tak całkowicie pozbawiona słuchu, jak to tylko możliwe, zawsze śpiewała pod prysznicem, ile sił w płucach. Ryczała ze śmiechu, rozmawiając przez telefon, albo oglądając telewizję. Gotując, waliła garnkami i patelniami. Nie potrafiła wejść do pokoju, czy wyjść z niego po cichu. Ale była taka słodka i zawsze radosna, że mama i ja, z natury bardziej powściągliwe, nie krytykowałyśmy jej wrodzonej żywiołowości.

Te wspomnienia mają teraz słodko-gorzki smak – w tych rzadkich chwilach płacząc i śmiejąc się równocześnie, z mieszanymi uczuciami.

– Miałaś dopiero dziesięć lat, kiedy ona wyjechała na studia – powiedziała mama z uśmiechem. – Jeszcze chętnie opowiadałaś tacie i mnie o wszystkim, co cię spotkało każdego dnia, pomagałaś robić ciasteczka i bawiłaś się z Esther. Dzięki tobie dom był nadal pełen życia, a teraz zrobił się taki cichy.

Wsuwam wieszak w kolejną bluzkę i wieszam ją w szafie, nie wiem, co odpowiedzieć.

– Słyszałam jedną z twoich wczorajszych rozmów. Z Reidem.

Odwracam się twarzą do niej, osłupiała. Moja mama nigdy nie podsłuchiwała, nie należała do wścibskich matek. Żadne z moich rodziców nie wtykało nosa w moje sprawy. Do ubiegłej jesieni, kiedy spędziłam noc z Reidem, rzecz jasna.

– To prawda, co powiedział? Uważasz, iż cię nie znamy i że Bóg o ciebie nie dba?

Wzruszyłam ramionami – bo to bezdyskusyjnie prawda. Ale jak powiedzieć rodzicom, którzy cię zawsze kochali, że tak naprawdę wcale cię nie znają? Nie mogłam jej też okłamać.

– Okazywałaś mi wiele cierpliwości w okresie, gdy powoli uświadamiałam sobie pewne sprawy. Na przykład to, że jesteś inteligentną, umiejącą kochać młodą kobietą i że czas zaufać twojemu wyborowi osoby, którą kochasz. Jeżeli uznałaś, że cię nie znam, bo ingerowałam w twój związek z Reidem, tym bardziej mi przykro. Jesteś moją córką i pragnę tego, co dla ciebie najlepsze. Ale decyzja należy do ciebie, choć ciężko mi to przyznać.

Otworzyła ramiona i czekała, aż podejdem, żeby mnie uściskać.

– Przepraszam, mammo.

– Nie masz za co przeproszać – powiedziała, potrząsając głową. – Jeśli dostrzeżasz w tym chłopcu coś dobrego, to jest w nim coś dobrego. Ufam twojej opinii, Dori. I zawsze ufałam.

– Jest w nim dużo dobrego, mammo. I chcę ci o tym wszystkim opowiedzieć.

No, prawie o wszystkim. – Rumienię się w poczuciu, że się zdradziłam i że Reid uśmiełby się z tego.

Pukanie w szybę wrywa mnie z zamyślenia. Mrugam z zaskoczenia na widok Reida, który stoi przy samochodzie i czeka, aż wysiądę.

Odpinam pas, a on otwiera drzwi, które skrzypią jakby na znak protestu, jak zwykle, choć mogłabym przysiąc, że robią to znacznie głośniej, kiedy parkuję na jego podjeździe.

– Cześć – mówi. – Cieszę się, że przyjechałaś. – Zrównuję z nim krok i wchodzimy do domu. – On śpi. Chciałabyś... chcesz go zobaczyć?

Kiwam głową, gryząc wargę.

Drobne światełka wzdłuż listwy podłogowej na korytarzu prowadzą od lekko uchylonych drzwi pokoju Rivera do schodków i pokoju Reida – jak w przejściach w dobrych teatrach. Reid szerzej otwiera drzwi pokoju syna i wchodzi na bosaka. Zrzucam klapki na korytarzu i podążam za nim.

W pokoju jest ciemno, palą się tylko dwie słabe lampki nocne, ale nasze oczy szybko przyzwyczajają się do słabego oświetlenia i możemy wejść głębiej. Przechodząc wzdłuż półek z zabawkami, zauważam telewizor i konsolę do gier, ogromny wyściełany fotel i zgrabne biurko.

Łóżko stoi na podwyższeniu, z drabinką na końcu, ale nie na tyle wysoko, by uznać je za piętrowe. Drobne ciało dziecka jest zwinięte wokół pluszowego pieska. River ma na sobie piżamę w mrówki z filmu rysunkowego, właśnie w mrówki. Jego jasne włoski, bez wątpienia blond, są dłuższe niż na zdjęciu z telefonu Reida. Z lekko rozchylonych ust dobiega cichuteńkie pochrapywanie.

Zawsze kochałam dzieci, ale świadomość, że to synek Reida sprawia, że to uczucie jeszcze przybiera na sile. Muszę zacisnąć pięści, żeby nie wyciągnąć ręki i go nie dotknąć.

– Jest śliczny – mówię.

Reid patrzy na mnie ciemnymi oczami. Jego włosy są niemal tak jasne jak Rivera – wydają się bezbarwne, jakby był czarno-białą wersją samego siebie, tym bardziej, że ma na sobie biały podkoszulek i ciemne dzinsy. Bierze mnie za rękę i wyprowadza z pokoju.

Zamiast zabrać mnie do swojej sypialni, prowadzi mnie do niewielkiego saloniku z dala od części dziennej domu. Siadamy na kanapie, obok siebie.

Zsuwam z ramienia torbę w stylu Mary Poppins i wyciągam torebkę prezentową.

– To spóźniony prezent urodzinowy. Musiałam wykrzesać z siebie wyjątkową kreatywność, bo ty masz wszystko. A raczej będziesz miał wszystko, kiedy to odpakujesz.

Zaskoczony Reid otwiera torebkę i rzuca na podłogę bibułkowe opakowanie. Wyciąga T-shirt i parska śmiechem. Przez ostatnie dwa dni myszkowałyśmy z Kaylą i Aimee po lokalnych szperankach w poszukiwaniu ZWARIOWANEGO podkoszulka podobnego do mojego. Były wstrząśnięte, że chcę dać Reidowi coś „używanego”, ale gdy już wpadłam na ten pomysł, nie mogłam z niego zrezygnować. Kazały mi tylko przysiąc, że nigdy mu nie powiem, że miały w tym swój udział.

– Mam ją teraz przymierzyć? – zapytał, unosząc brew.

O, kurczę! Ależ on jest przystojny, najchętniej kazałabym mu zdjąć podkoszulek i nie wkładać już nic. Ale jeszcze nie skończyliśmy.

– Mam dla ciebie coś jeszcze.

Reid odsuwa na bok koszulkę i opakowanie, a ja znowu sięgam do torby i wyjmuję małe aksamitne pudełeczko. Patrzy na pudełeczko, potem na moją twarz, ale nie robi żadnego ruchu.

– W tym, co mi wtedy powiedziałaś, było dużo racji. Zrywałam związki. Nie wierzyłam, że rodzice mnie znają. Nie wierzyłam, że Bogu zależy na mnie czy na mojej siostrze. Nie byłam pewna, czy On w ogóle istnieje. I nie wierzyłam w przyszłość z tobą.

Biorę głęboki oddech i podaję mu pudełeczko. Reid przełyka ślinę i zaciska zęby, ale otwiera dłoń. Kiedy kładę na niej pudełeczko, zamyka wokół niego palce.

Oblizuję wargi i z kolei ja biorę głęboki oddech.

– Powiedziałeś, że wierzysz w nas. Powiedziałeś, żebym przyszła, kiedy będę nieustraszona. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy potrafię być nieustraszona. Zagubiłam się, Reid, i nadal się boję. Ale chcę spróbować. Jeśli ty nadal tego pragniesz, jestem gotowa.

Mruga powiekami, kompletnie zaskoczony, i otwiera pudełeczko. Sięga po moją lewą rękę, spoczywającą na kolanach, wyjmuje pierścionek z zagłębienia w poduszeczce i wsuwa mi go na palec. Jakimś cudem pasuje idealnie. Ciemnoniebieski szafir i okalające go brylanciki wypełniają połowę mojego palca, do knykcia. Reid przysuwa się bliżej, delikatnie muska wargami moje usta, początkowo, ale potem całuje o wiele mocniej, przyciąga mnie do siebie, nasze piersi stykają się, łączą, aż oboje zaczynamy łączyć i chwytają powietrze, ciężko dysząc, jakbyśmy przebiegli milę pod górę.

Przez długą minutę Reid patrzy na moją dłoń zamkniętą w swojej, gładzi kciukiem obręczkę na moim palcu, a potem spogląda mi w oczy.

– O której musisz być w domu? – Jego głos jest niski, podszyty bólem, który i ja czuję w sercu.

– Powiedziałam, że mogę dziś wrócić później – mówię.

Łapie moją prawą rękę, nie dając mi powiedzieć nic więcej, i ciągnie mnie przez cały dom do swojej sypialni. Programuje znajdujący się po wewnętrznej

stronie drzwi system intercomu – na ekranie pojawia się napis: „Pokój Rivera: WŁĄCZONY”.

– Ja go słyszę; on nie słyszy nas – wyjaśnia Reid.

Zatrzaskuje łokciem drzwi i zamyka mnie w ramionach.

W następnej chwili miażdży moje usta, a ja cała płonę. Płomień pochłania mnie. Otwieram usta, a on całuje mnie mocniej, przyciskam się do niego, zarzucam mu ręce na szyję. Czuję na plecach jego twarde dłonie, palce wpijające się w skórę, przesuwane się w dół, na moje biodra i obejmujące je mocno. Pchnięcia jego języka rozpalają płomień w głębi mojego ciała, płomień, który rozprzestrzenia się błyskawicznie.

Unoszę kolano i przesuвам nim po zewnętrznej stronie jego uda, a on niespodziewanie łapie moją nogę, unosi ją wyżej i otacza się nią w pasie. Zaraz podąża za nią druga, a Reid unosi mnie bez wysiłku w górę. Krzyżuję kostki nóg za jego plecami. Jedną ręką obejmuje tył mojej głowy i opiera mnie o ścianę. Z głośnym cmoknięciem odrywa wargi od moich ust, wędruje nimi wzdłuż linii szczęki i po szyi w dół, a ja z trudem łapię powietrze. Zaciskam palce na jego włosach i przyciągam twarz Reida z powrotem do ust, całuję go gorączkowo, niecierpliwie, nasze języki łączą się.

Reid podciąga moją tunikę i obejmuje rękami piersi, jego kciuki wślizgują się pod gładką satynę, a mnie jest ciągle mało jego bliskości. Reid nie potrzebuje rąk, żeby utrzymać mój ciężar, więc mogę sięgnąć nisko i poczuć, jaki jest twardy, ale dzieli nas zbyt wiele warstw materiału. Ciężko dysząc, rozpina z przodu mój biustonosz i rozchyła go na boki, dotychczas udawało mi się zachowywać milczenie, ale krzyczę, kiedy wciąga do ust moją pierś. Wyginam się ku niemu, zagryzając wargę, aż drętwieje, w nagrodę słyszę jego pomruk. Reid odwraca się, wielkimi krokami podchodzi do łóżka i rzuca mnie na nie.

Gapię się jak sparaliżowana na Reida, który zdziera z siebie koszulę bez rozpinania guzików. Rzuca wywróconą na lewą stronę na podłogę, a ja zrywam z siebie tunikę i stanik. Reid podchodzi i rozpina moje szorty, nie odrywając mrocznego spojrzenia od mojej twarzy. Patrzę mu w oczy z mocno bijącym sercem i zaczynam rozpinąć jego dżinsy, powoli, bezwstydnie.

W chwilę później on rzuca moje szorty na podłogę i wciska mnie w materac. Kiedy nasze usta spotykają się znowu, moje serce się otwiera i wspomnienia wracają jak potężna fala przyływu, poczynając od tamtego pierwszego urzekającego pocałunku w różowej szafie. Reid wydaje się cięższy, większy, twardszy niż kilka miesięcy temu, ale jego piękna twarz jest nadal kanciasta, z wyjątkiem ust, pełnych i pulchnych, i z wyjątkiem wywiniętych rzęs okalających ciemnoniebieskie oczy.

Jego pocałunki są takie same – namiętne i wymagające, ale nigdy wyrachowane. Idealne. „Jestem dla ciebie dobry, nawet jeśli jeszcze o tym nie

wiesz” – powiedział mi wtedy i czekał potem kilka miesięcy, aż to zrozumie. Aż w to uwierzę. Aż przestanę wątpić w niego.

Łzy sączą się z kącików moich oczu i wsiąkają we włosy, ale trzymam się i odpłacam pocałunkiem za pocałunek, miarka za miarkę.

– Kocham cię – mówię w końcu, a on nieruchomieje, odsuwa się i patrzy na mnie. – Kocham cię – powtarzam – choć jestem śmiertelnie przerażona, Reid. Ale wierzę w nas.

Muska opuszkami palców boki mojej twarzy i bierze mnie w ramiona.

– Na tym właśnie polega wiara, prawda? – mówi. – Wierzy się w coś, czego nie można poznać. Wpadaj w moje ramiona, Dori. Złapię cię, zawsze, i nie puszcę. – Jego wargi muskają moje, leciutko jak piórko. – Powiedz to jeszcze raz, proszę. Tak długo czekałem, żeby to usłyszeć.

– Kocham cię. – Przewracam go delikatnie na plecy i pochylam się nad nim. Patrzę mu w oczy. – Kocham cię. Proszę, nie puszczaj mnie.

– Mam cię. I nie puszcę. Jeszcze raz. Proszę.

– Kocham cię.

Zamyka oczy i prosi szeptem:

– Znowu.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – To szept cichy jak westchnienie.

– Wiem – mówię, a on ze śmiechem przewraca mnie na plecy, splata nasze palce i unieruchamia moje ręce.

– Znowu.

Patrzę w jego oczy i na moich ustach pojawia się lekki uśmiech, widzę siebie tak, jak on mnie widzi. Czuję się kochana, przerażona, ale i pełna nadziei. Czuję się dostrzeżona. I myślę: Tutaj zaczyna się moja wiara. Tutaj jest moje na zawsze. Właśnie tutaj. Właśnie tutaj.

– Kocham cię, Reid.

Epilog

Reid

Nowy Jork – czerwiec

Oczy siedzącej naprzeciw mnie Emmy otwierają się trochę szerzej, wpatrzone w coś ponad moim ramieniem, a Graham kaszle, zakrywając dłonią usta, żeby ukryć uśmiech.

Oglądam się przez ramię i widzę, jak Cara i River wyłaniają się u wylotu korytarza prowadzącego do dwóch sypialni – Grahama i Emmy po jednej stronie, a Cary po drugiej. Emma nadal studiuje na NYU, ale zamierza opuścić semestr jesienny, żeby przyjąć zaproponowaną jej właśnie rolę na Broadwayu, a na wiosnę powróci na studia... albo nie. Kiedy Graham kręci film na miejscu, Cara część czasu spędza u niego, a część w mieszkaniu jego rodziców, oddalonym zaledwie o dziesięć minut drogi.

Oboje byli niezwykle podekscytowani spotkaniem Dori i Rivera, którzy przylecieli na JFK poprzedniego wieczora. Mam przed sobą jeszcze trzy dni zdjęciowe. Brooke wczoraj wyleciała do Brisbane, po wielokrotnym sprawdzeniu numerów kontaktowych i ustalonych godzin spotkań na Skypie.

– Nie, idź tak. – Cara kroczy naprzód z rękami na biodrach, jej kroki wybijają rytm na podniszczonej, drewnianej podłodze – tup, tup, tup. Różowe prześcieradło, zawiązane na szyi, ciągnie się za nią, a na czubku jej głowy lśnią jak królewskie klejnoty kryształy górskie. Ze śmiertelnie poważną miną odwraca się, żeby popatrzeć na Rivera. – Teraz ty spróbuj.

Mój syn wchodzi do pokoju mniej energicznym krokiem, ustrojony w fioletowe prześcieradło. W odróżnieniu od przesadnie głośnych kroków Cary bosa stópki Rivera nie robią najmniejszego hałasu i poruszają się ostrożnie. Zastanawiam się znów nad tajnikami genetyki, bo jakim sposobem z połączenia genów moich i Brooke mogło się zrodzić tak spokojne, niezwracające na siebie uwagi dziecko.

I w tym momencie zauważam jego głowę. A konkretnie to, co ma na głowie – i co tłumaczy rozbawienie Grahama.

– Sukinsyn.

Mój głos jest stłumiony, ale Graham musi znowu zakaszleć, żeby go zagłuszyć i znowu tłumi wybuch śmiechu. Najchętniej bym mu przywalił, bo to w pewien sposób jego wina. Dori kładzie miękką dłoń na moim przedramieniu. Spoglądam jej w oczy. Ciemne i błyszczące z rozbawienia,omal nie przekonują mnie, żebym również się roześmiał. Omal.

– Czy mój syn... – Wdycham powietrze przez nos, żeby nie podnosić głosu.

– ...nosi diadem?

Graham podnosi ręce w geście poddania się i chrząka, żeby oczyścić gardło, kiedy spoglądam wprost na niego.

– Cara lubi się bawić w księżniczkę. – Racjonalny głos Emmy wyrywa mnie z rozważań na temat stosowania przemocy. – Pewnie namówiła Rivera, żeby został jej księciem.

– On nie jest księciem, on jest królem – świergocze Cara, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. Z gracją składa ręce przed sobą, szeroko otwiera duże brązowe oczy i unosi przyozdobioną diademem głowę ku naszej czwórce, popatrując na nas jak na przygłupów. – Księcia niesie na rękach.

No jasne, chwytem, który bardziej nadawałby się do trzymania piłki niż dziecka – czym jestem akurat cholernie podekscytowany w tym momencie – mój dzieciak trzyma na rękach owiniętą kocykiem lalkę.

– Jezu Ch...

Palce Dori delikatnie przesuwają się po moim ramieniu, przypominając mi, żebym przełknął słowa cisnące mi się na usta. Mimowolnie wzdycham. Nigdy nie zdołam pojąć, jak jej się udaje to osiągnąć za pomocą jednego dotyku.

– Jak ma na imię mały książę? – pyta Dori, a Cara odwraca się i ostrożnie bierze lalkę z rąk Rivera, jakby była zrobiona ze szkła i nie odbiłaby się zwyczajnie od podłogi, gdyby jedno z nich ją upuściło.

– No, ja chciałam dać mu na imię Tristan albo Edward.

Cara chmurnie patrzy na ojca, który znowu zaczyna chichotać. Emma daje mu kuksańca, ale on po prostu przyciąga ją do siebie i całuje w skroń, a ona wtula się w jego objęcia.

– To są bardzo książęce imiona – zapewnia Graham córkę.

– Tak. – Cara kołysze łysą lalkę niemowlaka, której oczy są zamknięte, ze względu, jak sędzę, na pozycję horyzontalną. – Ale nazwaliśmy go Reid, bo River mówi, że książęta dostają imiona po dziadkach.

Ręka Dori nieruchomieje na moim ramieniu.

– Co powiedział? – Moje słowa są ciche, ale zdają się odbijać echem w całym lofcie.

Dziewczynka nie odrywa oczu od lalki.

– Okej, tak naprawdę to powiedział tylko „Reid”, kiedy wybieraliśmy imię, ale to ty, więc na pewno to właśnie miał na myśli.

– Powiedział „Reid”? – Mój głos nie jest silniejszy od szeptu.

Cara kiwa głową, nieświadoma, jakie znaczenie ma dla mnie to, że ten chłopiec, który nigdy nie mówi, kiedy nie śpi, postanowił wypowiedzieć właśnie moje imię, choć ja tego nie słyszałem. Ale Dori wie. Jej oczy są szkliste, kiedy zerkam na nią z ukosa, jej śliczna twarz rozmazuje mi się przed oczami pełnymi łez, których wolałbym nie uronić w obecności Grahama i Emmy.

River, ciągnąc za sobą fioletowe prześcieradło, zwija się w rogu kanapy, nie odrywając ode mnie spojrzenia, zaskoczony i zaniepokojony. To ostatnie, co chciałbym, aby czuł.

Otwieram ramiona, a on wdrapuje się na moje na kolana, nie przestając patrzeć mi w oczy. Jego oczy mają chmurny odcień błękitu. Spod diademu wymykają się kosmyki jasnych włosów. Każdy rys jego twarzy jest drobny i kruchy. Wprawiam go w cholerne przerażenie. A mnie wprawiają w cholerne przerażenie uczucia do niego. Stąd wiem, że są właściwe.

Przysuwa się bliżej, wciągając mi na ramię fioletowe prześcieradło, a ja walczę z impulsem, by go zmiażdżyć w uścisku i ponad jego głową zerkam na Dori. Jej łzy nie pasują do rozanielonego uśmiechu, zupełnie jakby promienie słońca przedzierały się na ziemię, rozrywając burzowe chmury. Głupiutka, przepiękna dziewczyna – która nosi mój pierścionek, dzieli ze mną łóżko, akceptuje moje dziecko, moją przeszłość i przyszłość.

Mały paluszek mojego synka dotyka zewnętrznego kącika mojego oka i uwalnia łzę. Cholera. Wiem, że Graham i Emma patrzą, ale choć czuję się wystawiony na widok publiczny, nie mogę się ruszyć. Nie oddycham.

– Nie płacz, tato – szepcze River, ciepły oddech muska moją szyję poniżej podbródka, jego policzek spoczywa na moim sercu.

I nagle wszyscy zaczynają ocierać łzy, a Graham i ja spoglądamy na siebie w milczącym porozumieniu, że ta chwila jest przeznaczona tylko dla nas czworga i taką pozostanie. Na zawsze.

Cara bierze Rivera za rękę i ciągnie go ze sobą.

– Chodź, River. – Chłopczyk zsuwa się z moich kolan i pozwala się ciągnąć, a żadne z nas nie jest w stanie powstrzymać się od śmiechu, kiedy Cara mruczy pod nosem: – Jeszcze jedno powinieneś zapamiętać, jeśli chodzi o rodziny – czasami wszyscy po prostu robią się dziwni.

¹ Hell's Angels (ang. Anioły Piekła) – gang motocyklowy (początkowo klub), którego członkowie jeżdżą na pojazdach firmy Harley-Davidson (przyp. red.).

² LAX – port lotniczy w Los Angeles (przyp. red.).

³ Aluzja do filmu *Kotka na rozgrzanym blaszanym dachu* w reż. Richarda Brooksa (1958) z Elizabeth Taylor i Paulem Newmanem (przyp. red.).

